# POEZYE

## A. G. SPASOWSKIEGO.

TOM I.

WILNO.
DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.
1840.

# POEZYE

## ALEXANDRA GROTTA SPASOWSKIEGO.

Nieprawnych wydań i exemplarzy nie naznaczonych moim podpisem, dochodzić będę.



Urodz: Roku 1804.

# POEZYE

## ALEX. GROTTA SPASOWSKIEGO.

Chociaż to szczyre brednie, jednak własne moje.
*Zimorowicz.*

Z PORTRETEM AUTORA.



TOM I.

Kajetan Piotrowicz

Nakładem Autora.

WILNO.

drukiem Józefa Zawadzkiego.

1840.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 1 Sierpnia.

*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego*
Jan Waszkiewicz.

JJ. WW.

JANOWI I ANNIE Z BOBROWSKICH

# SZCZYTTOM

na dowód wysokiego

szacunku i uwielbienia

przynoszę

Autor.

# ZA PRZEDMOWĘ.

Ten wołał: gaście ogień!— Tamten: ogień gaście!
*Krasicki.*

Noc grudniowa była już w większej połowie swojej, mroźna, burzliwa, znać to po wyciu wiatrów i dudniącej w okna zamieci; od dawna nie słychać wołającej straży, ani psów szczekania, zegar w jadalnej wybił trzy kwadranse na piérwszą,—dla mnież jednego tylko? gdy wszyscy domowi spali, tak głucho, na złość waśniącemu powietrzu i ckliwo dokładnym czasu wymiarom. Otoż i piérwsza,—nudny, metodyczny starzec, on zawsze swoje; ciągle rad gdyra i budzi, bez względu, że uśpić może swą przestrogą, tym ciężkim morałem, ostatniego słuchacza. Mimo to czuwałem wszakże, podsycając raz po raz ogień na kominie, rzucanemi

z biórka papiery. Światły czytelnik zechce odgadnąć, jakiego były rodzaju, sam bezpośrednio; przykro mi bowiem, wraz na wstępie, wchodzić w rozbiór powodów i przyczyn tego rozmyślnego zabójstwa, męczeńskiej śmierci, tylu rzuconych na stos bezbronnych, *nieszczęśliwych myśli.* Było to wszakże dziesiątkowanie tylko, na więcej bowiem patron ich żarliwy, miłość własna, za nic się zgodzić nie mogła; ona padających ofiarą nawet zaklęła najuroczyściej, że to jedynie tylko obrzęd ich oczyszczenia przez ogień, mistyczna Metampsychoza, po dopełnieniu której w obec Najjaśniejszej Salamandry, odrodzą się znów kiedyś, w doskonalszej formie i treści, na wieczne życie. Cóż? chętne czy niechętne, zdały się biedaczki tym andronom uwierzyć, jak owa Indyjska wdowa na stosie, woląc choć słabą nadzieję prześladowania męża i za grobem, nad smutną pewność ostatniej wzgardy w tém życiu; jak przesycony, styrany zbytkiem roskoszy Islamin, rzuca się z rezygnacją na miecz Giaura, w nadziei przejścia tą drogą do nieprzetrwałych względów Huriski, jak... ale i tych porównań dość będzie, które, chociażby nie dowiodły niczego przez się, nie zachwieją przecie mej wiary w Metampsychozę myśli, pewniejszej nierównie od hipotez Pitagoresa. Wiara ta odwieczna,

najwięcej zwolenników zyskała od wielkiej epoki odkrycia druku; o jej dogmatach i powodzeniu między nami wieleby mówić wypadło, więcej może nierównie nad to, co napomkął mniej obaczny o tém: *jak się robią nowe Książki ze starych Książek*, za co, a trzeba wyznać, i bardzo słusznie był naganionym ostro przez skromniejszych jej zwolenników. Zrobiła to nieuwaga, nic więcej, kiedy sam nawet Wielki Kapłan tej sekty, Lord Byron, nie pozwolił sobie, jak tylko zlekka namienić, że godzi się czasami wyrwać zapomnieniu myśl butwiejącą tam, ówdzie, pod rdzawą klamrą gotyckiego in folio, na to jedynie, ażeby ją przyzwoiciej i modniej ubraną, za nową światu ukazać; *NB.* jeżeli tego warta, a nieinaczej, jak za swoją rodzonę.

Tak marzyłem wlepiwszy zamyśloną powiekę do komina, uśmiechając się dziko i boleśnie nad tém *Auto-da-fe* drażliwości mojej, i wyznam, nie mogłem się za nic uzbroić w nieczułość, patrząc jak sposzyt jeden po drugim, przez chwilkę nietknięte, w ślad żółkły od przestrachu, kurczyły się na węglach, czarniały od trawiącej gangreny, zachodziły sadzą zniszczenia, aż nagle wybuchnął płomień, ochwycił je zewsząd, zaszumiał zlekka, uniósł kłąb dymu, a zostawił — garstkę popiołu. Nie byłem do postrzeżeń wówczas, zauważyłem jednak, że

z tej garstki jeszcze można korzystać; schowałem więc jej szczyptę do następnego popielcu, kiedy się tym na obrok duchowny posypię. I bez tego wprawdzie posypią mnie głowę w Kościele, ale czémże, może tylko nędznym prochem zmarłego wiecznie jakiego pedanta, samoluba, głupca, miękkosza; wprawdzie i on zwał się człowiekiem, choćby jak Howard, Lorenzo, tylkoż i takich kości darmo zda się szukać w naszych okolicznych mogiłach. Wybornie pomyślano, w istocie, tym się popiołem posypię, marnym a gorzkim owocem tylu niegdyś zarozumiałych pomysłów i lekkomyślnej nadziei; to zaprzanie się dzielnie mię upokorzy wówczas, i jeśli nie zrobi nadal lepszym autorem, lepszym Chrześcianinem okaże. Tak rozumiejąc zbawiennie, roztargniony, wzburzony, brałem po *kolei* z teki wybrańsze niby arkusze, dla przejrzenia raz jeszcze, nim już pod prassą drukarską ostatecznej dójdą przemiany. Czytałem w głos, półgłosem, poszeptem, zmordowany wkońcu, okiem tylko zatrzymywałem się raz poraz: tu nie rad z wyrazu, tam z formy, ówdzie z całego wyrażenia, gdzieindziej z całej myśli, ze zwrótki całej. Nie rad z siebie znowum się pocieszał, stosując to, raz do źle wybranego punktu widzenia, znów do nietrafnie ułowionej pory. Zpółnocy dawno, władze nasze zwy-

kły wówczas albo zupełnie zawieszać działania, albo, zmuszone działać, działają, widzą chorobliwie, słabo. Walter Skott odkrył, że pora obsercii umysłowej najwłaściwsza z rana, godzi się wierzyć, tak zrobię,—a więc do jutra!...

Odrzuciłem tekę, zajrzałem do komina znowu, krwawo się żarzył; strawiwszy co mu dano na pastwę, drwa i papiery, już bez płomienia i dymu, ze stosu tylko migocących węgli, gdzieniegdzie, kiedyniekiedy, błękitnym buchał płomykiem. Na żarzewiu miejscami płowiały drgające od ciepła lekkie, słoiste warsty; na bliższych mogłem jeszcze dostrzedz rzędy wierszy, przedziały zwrótek, zmiany miar, całą odzież pierzchłego ducha myśli, fizyonomią bez wyrazu, poniklą, trupiej białości. *Wpatrywałem się chciwie w to zgliszcze okiem* ojca, niewładnego odjąć się widokowi zwłok dziecka, nim wieko trumny zapadnie. Śledziłem głoskę za głoską, aż wsparty pamięcią, doszedłem zwrótki, ledwie nie piérwszém jeszcze nakréślonej piórem:

A gdy czas przyjdzie, ostatni z mych gości,
Nie wzywan, spodzian, do biesiadnych stołów,
I treść nieziemną biorąc do wieczności,
Rzuci jej szatę pastwą dla żywiołów;
Może tam, wówczas, z tej grabieży zbawion,
Wznosząc me imie nad zaguby ciemnic,

Nie dasz mu zmarnieć, w przyszłości objawion,
O duchu myśli wysnutej przeze mnie!...

Nieźleby tak, mój ty dobry, czy zły duchu, Aniele, czy szatanie; szkoda tylko, że wypadło wcale inaczej, mnie tu dziś właśnie na twoim czuwać pogrzebie. I wsparty na dłoniach tonąłem w wezbranej myśli... oh tyleż ruchu, szumu, widziadeł, na tej wiecznej fali!.. precz ztąd, precz! źle tu mnie, czuję;—ale cóż znowu? prawdziwie nie wiem, jak to rozumieć... gdym podniósł oczy, znalazłem się na scenie wcale odmiennej. Wpatruję się milczący, nieinaczej... biórko otwarte, pokój oświecony, papiery w ręku. Osób znajomych zda się niewidzianych od dawna, mało spodziewanych w każdej innej, a nigdy o tej porze, w tém miejscu i razem. Na prawą ode mnie siedział mężczyzna podeszły, twarzy chociaż znaczącej, wszakże o łatwych rysach, ubrany schludnie a bez przepychu, gustownie a bez pretensyi, krojem tylko odzieży nie dzisiejszą przypominał datę. Na lewą rozwalał się modniś wymuskany, zaczesany, opięty; twarz blada, ckliwa, brwi scieśnione, wzrok dziko-wzgardliwy, broda postrzyżona tylko. Na przodzie sceny kobiéta, wiek i ubiór której nie mógłbym dość nigdy choć przybliżenie oznaczyć. Najmłódszą zda się nie była, gdy środki kosmetyczne, tak schle-

biające niewinnie, nie przepuszczały przez się żadnej niegrzecznej myśli, szpiegującej lata; odziana jak dzisiaj, a więc nie mam nomenklatury jej strojów, ze wszystkiego znać przecię, że się codzień nosi inaczej. Za nią w kącie na sofie rubaszna, wytuczona postać, z dużém baraniém okiem, z włosem w nieładzie, z czołem zaklęsłém, w trójkąt, z pyzatą twarzą, której gminne rysy napiętnował cierpko normalny samolubstwa wyraz; w jednym ręku miał próbkę do wódki, drugą od niechcenia głaskał, bardzo doń podobnego legawca. Piąta figura żeńska przy samém biórku, czytaniem zaprzątniona, bokiem do mnie. Jej profil, choć już dobrze oznaczony wiekiem, zamawiał z góry dla się szacunek i uwielbienie. Milczeli wszyscy, piérwszy więc, udając przebudzonego, ozwałem się do staruszka, który mnie zdał się bydź kiedyś nieobojętnie znajomym:

J A.

Przepraszam, najuniżeniej przepraszam, bo prawdziwie nie wiem, jak to się stało; mógłżem się tak zapomnieć? długoż nadużywałem ich grzeczności? śmiem o to zapytać Pana, który, jak przypominam...

Staruszek.

Był mu niegdyś dobrze znajomym, nie prawdaż? z czasem, tak, po zbiegu okoliczności, przemianie gustu, mody, szukałeś Pan innych towarzystw, świeższych przyjaźni, stosunków... nie wiem jak mu z tém dotąd, jednak zechciałem raz go jeszcze odwiedzić, nim się na długo, jeśli nie na zawsze, rozstaniem,"— i skłonił się poważnie, w ślad mu wykrzywił grymasę przywitania lewy. Młódsza dama zrobiła to z większą gracyą i sztuką, kiedy starsza, nie odejmując się czytaniu, ledwo raczyła skinąć.

Młódsza.

Zanadto może liczemy na grzeczność literata, nie wezwani zajmując jego pracownię, gdzie zresztą jakkolwiek przydać się możemy. Pan, jak widzę, przygotowuje rękopisma dla prassy, możem mu pomódz w wyborze i układzie materjałów. Jestem Modą, Pan prawy umiarkowanym Klassykiem, Pan lewy żywą próbką szkoły Neofrancuzkiej; ta Pani Reflexyą ogólną, niezależną od żadnego stronnictwa.

Ja.

Tém lepiej, z ostatnią więc chciałbym naprzód radzić w tej rzeczy, a chociaż mało liczę na wartość

pism moich, widząc wszakże to jej zajęcie się niémi... tylkoż tak ciągle podkréśla, nie śmiem przeszkadzać.

KLASSYK.

Może więc ze mną tymczasem... a naprzód, godziż się wiedzieć, gdzie się umieszczą: *Wieśniak* i *Wiosna*, w piérwszym czy w drugim tomiku?

JA.

Już umieszczone, najdogodniej dla siebie i autora, tu obok Pana, w kominie, a to ich ciepłe jeszcze popioły.

KLASSYK.

Przez nieba i ziemię! jakiż zły duch natchnął go tą myślą? Jakże, tyle mu za nie wysypanych *oklasków przeze mnie i moich*, nie byłyż dostateczną powodzeń rękojmią? już rozumiem, ten młody szaleniec, ta modna Pani, tak go przekonali zbawiennie.

JA.

Przeciwnie, z tém Państwem nie miałem *honoru i przyjemności* zaznajamiać sie krócej. (Tu Reflexja, nie odrywając się czytaniu, podaje Klassykowi z biórka recenzją *Ziemiaństwa Koźmiana*. Ten czyta, a czoło mu zrazu pogodne, zasępia, zachmurza się powoli).

Moda (*z ironią półgłosem*).

Biedny Klassyk! Rad ze wstępnej cytacyi, że: *wszystko jest dobre prócz tego co nudzi*, musiał tam dalej gorzką pigułkę połknąć, jakże coraz to częściej zżyma się i niecierpliwi! Co zaś do jego wyrzekań na postępek Pański, wyznać muszę, te były nie w czasie i nie w miejscu, choćby ze względu na mnie. Niegdyś, wczoraj jeszcze, sama to wielbiąc, dzisiajbym dla nich mniej była pobłażającą.

Szaleniec.

Chciałaś powiedzieć tylko, niegdyś; bo wczoraj już poklaskiwałaś tańcom Makabra. Oh! przez wszystkie sztylety, jady, katownie, szubienice i pale! piękniežby się to wczoraj wydał ten Pański *Wieśniak*, ta *Wiosna* z jej obrazami gajów, łąk, jeziór, tańcem Rusałek o xiężycu na pokusę chłopcom pasącym konie w owę straszną noc Świętojańską i t. d. Pięknieby się, mówię, wydały przy naszém pięknėm, zachwycającém *Straszydle*, *Quasimodo*, przy niezrównanych scenach, pod względem wyższego morału i gracji, z jaką *Król się bawi*... dzisiaj, tak — (*obracając się do Mody*,) dzięki jej dziwactwu, wyludniają się nasze teatra, bankrutują nasi księgarze. Pani, uważam, zaczynasz niby pokutować, modlić, straszysz nas jakąś *Poezją Wia-*

*ry, Wybrzmieniem hymnu odrodzenia...* Winszuję, bo właśnie podstarzałej kokietce najdogodniej zostać dewotką. Ale mniejszaby o nią, po cóż było od nas odstręczać młodego i tak obiecującego atletę; poczynał on, jak nie można lepiej, dla podniesienia efektu obrazów, tarzał swych bohatyrów w błocie, darł na nich odzież, wybijał im zęby, wieszał wkońcu, słowem, robił dla nas co mógł tylko, rokując więcej nierównie, aż razem, nagle u wstępu zachwiał się, obejrzał, rzucił maskę i sztylet wysiekacza, i dziś już ze szranków *umiarkowanych*, co wprzód ubóstwiał, wyszydza, co budował, rujnuje. Wiemyć za czyją to sprawą, kto go tak głaszcząc, znów drażniąc, nam odjął, kto go tak wodził na *paskach*, a wodził póty, aż przyprowadził do linii demarkacyjnej, za którą dziś głową wydany, gdy nam jeszcze serce zostawił, jest więc tymczasem między niebem a piekłem, raz pionowo, jak tam nad bagnem Pińskiém Twardowski, znów za skinieniem waszego Arystarcha-Tory układa się horyzontalnie, jak ów krnąbrny, swawolny a bystry uczeń na sławnym Jezuickim pieńku. Ta i owa pozycye nienajdogodniejsze — a szkoda, na nim liczyliśmy wiele; bo co do innych u was... otwarciej powiem: zda się, Pan zlekka sam godziłeś, tam ówdzie, na ten potężny środek. Czemuż

tak nieśmiało, tak krótko? Sumienność, skromność, jakaś tam godność, wstyd młodzieńczy, wieczna o niezszarganie się troska i tyle dziecinnych przesądów, wbrew mu stanęło. Nie, moi Panowie, nigdy wam tego nie dopiąć; nam to tylko, nam, synom tej *młodej, pięknej Francyj*!.. (tu czytająca dama, tak nań spójrzała szydersko, że Moda nawet a za nią wszyscy, zaczęli śmiać się do rozpuku; to go widocznie zmięszało, przestał bluzgać, spuścił oczy i usiadł skromniej cokolwiek).

Tymczasem Klassyk, doczytawszy Recenzyą, rzekł do mnie półgłosem: ,,Nie wiem na co, zaprzątniona Pani, dała mnie tę kartkę; wszakżem już dobrze wiedział, od czasu śmiałego wykrzyknienia pierwszego przeciw mnie ptotestanta w krytyce M. Mochnackiego, że Krasicki, Węgierski, Trembecki nawet, nie są już poetami; wiedziałem dobrze, mówię, że za całą w przyszłości nagrodę, autorom *starego wyznania*, może bydź tylko błahy patent na *gładkich rymotworców*... chyba zkądinąd ma to związek jaki ze spaloną produkcyą Pańską?

J A.

Bydź może, choćby ze względu cytowanych w recenzyi wierszy... naprzykład, przypomnisz Pan sobie, kiedy przed laty jeszcze dziewięcią, w szkole

Oficerów, czytałem mu świeżo napisane... przypomnisz? od wiersza:

Będęż, depcąc te śnieżne, te Alpejskie lody,
Winił ją o nieczułość dla całej przyrody?
Oh, te zmarzłe olbrzymy, otrupiałe szczątki,
Stoją, dla sądów Bożych wieczystej pamiątki.
Przed wieki, człek wygnany uprawiał je może,
Nim padłe, morskim wałom zaległy na łoże,
Aż dźwignione ku słońcu dziś w obłokach giną,
Co zalegną, po wieków nawale, ruiną,
A przepaście, gdy zechcą tego świata losy,
Pójdą roztrącać chmury i wśpierać niebiosy.
Któż zgadnie, czy to wzgórze, na którém rad stoję,
Wdziękami tych okolic pasąc oczy moje,
Kto zgadnie, czy i na niém gród jaki nie gościł,
Którego i nazwania czas nam pozazdrościł.
*O przeszłości! twa ciemnia drażni i urąga;*
Lesny Pińczuk kotwice z błót swoich wyciąga,
A gdzie nieprzebudzanej zimy legowiska,
Na górach Kamczadałów kość słoni połyska...

Klassyk.

Dość, dość, rozumiem; zadrżałeś Pan przed myślą, stać się niewinnie *echem*, co większa *gładkiego rymotworcy tylko*. Gdzieindziej chciano weń wmówić podrzeźnianie tam kogoś, narzucano mu gwałtem cudzy akcent, kiedy, jak wiem, mając swój własny, dzięki Niebu, cudzych akcentów nie lubisz.

Sądzono wszakże; ależ tu widne przynajmniej tych sądów powody. Więcej powiem: gdyby, naprzykład, co się mówi tu, między nami tylko, miało wyjść z czasem za ścian tych obręb, kto zgadnie na jakąby może nie jednego z nas naraziło mitręgę. Jak od okresów do arkuszy, z kolei mogłoby tu przyjść do całej polemicznej książki; mimo to wszakże, jak się często zdarza gdzieindziej, tak i w tém bywa nierzadko, że *pierwszy lepszy*. Bodaj więc milczeć drugiemu. Cierpliwość i bezwarunkowa pokora, wielkie to dźwignie, dla tymczasowych szczególniej, wyrabiających sobie zwykle styl, formę i erudycyą encyklopedyczno-kieszonkową tylko (*). Gdybyś sam właśnie, jak wielu u nas, w czas trafnie milczących, albo potakujących poważnie, pisał się na ślepo tam, ówdzie, cóż robić wkońcu, choćby na owę *już gotową poezyą* nawet, wówczasby może i *praktykujący* był szczęśliwym na równi z tylą dziś nowolęgłemi wyrazy, któremi nowomyślni, jakby erudycyjną mozaiką, ćwiekują na zabój podatną a mocną i przez się, naszą dobrą starą pol-

(*) *NB*. Dla tych *przeważnych*, *znakomitych*, *potężnych* i t. d. i t. d. koryfeuszów, nie lada choru wyśpiewującego co tydzień przynajmniej, ułożoną raz nazawsze kantatę wzajemnie obowiązujących przechwałek.

szczyznę (*). Bo, że wkońcu strącono go aż na dno przypisku, *fatalnego* prawda, za jedno z czyimś nieudolnym utworem; cóż z tego, wszakże mu łaskawie objawiono potém, że choć tam radzi byli piérwsi (nie) przy zdarzeniu o nim pomówić. Mówili zatém ogólnikami, naprędce, tymczasem, a dla ważnych przyczyn niepodobieństwa, rwać ogniwa raz nazawsze już zesnutych teoryi. Fatalne *Ja*,

(*) Ciekawych zrzódła tych napomknień objaśnią NN. 70, 79 i 96 Peterzburg. Tygodnika 1839 r. Mnie tu wszakże wypadnie tylko przeprosić wzajem niepraktykujących poezyą; a choć to w gruncie może bydź skutkiem obskurantyzmu indywidualności mojej, co jaśniej, że inspiracya moja bez usłużnej reflexyi, nie dość trafnie ustawiła kreacyą *w szyk rozumny*, mimo to wszakże, można i należy uważać lepiej, jak się umyślnie nie zdało teoryi praktykę; bo *praktykujący* wolen bydź bez *przyzwoitości, tam przynajmniej, gdzie już jest teoretyk* bez zaprzeczenia. Prawda, dwa te wyrazy, dwa pojęcia, dwie ideje, tak blizkie, pokrewne sobie na pozór, są to przecie, smutném doświadczeniem od wieków, jednej matki przyrody, dwie bardzo różno-względne córy. Dziwna, zrosłe nawet, a ku wstecznym najczęściej swoich widoków siłące się biegunom. *Teorya i praktyka*, w literaturze szczególnej, to Janus dwóliczny, potworne godło wojny i pokoju, dwie twarze niewidzące się, obojętne, zimne dla się, szpiegujące i podkopujące byt i przyrodę wspólną, wśród ciągłych z góry usłużnych oświadczeń, wzajemnego wspierania się, dźwignienia; walczące, a przecie żywe tylko swą walką. Tu gieniusz obserwacyi, dyssekcyi, analizy, i t. d.; rozum nienatchniony, ten *My* najczęściej, od pierwszego wraz pióra, z własnym cyrklem i skalą w zapasie i z wieczną do głucho krnąbrnego brata

to wieczne piętno ułomności naszej, nie jest bez wpływu, nawet na umysły piérwszej wielkości. Czyż bez tego śmiałby kto myśléć, że *jednemu z wybrańszych*, z tak potężną wiedzą, za podkopanie nieprzychylnych zdań kilku, przyjdzie kiedyś aż do porównań, chociażby w swoim rodzaju. Walenroda z Świątynią Knidyjską! pchnięcia go niżej zera! Dla tegoż jedynie, że bohatyr czy twórca jego, dwa, trzy razy na uczynku *zasnął?* czy może dla staranniejszego wykonania? przecięż to nie jest

perorą. Mimo tak doznaną ułomność jego, prawi wszakże, choćby z nałogu tylko, radzi mu słyszeć koniecznie, a ten brat piérworodny, starszy, głuchy i krnąbrny zawsze, nóci, jak nócił, tylkoż by na złość, często głośniej coraz, bez względu na prośby i groźby sąsiednie. Któż on przecie, ten dziwak nieukrócony, samolot; czy gieniusz także? broń Boże, to *rozum natchniony tylko*. Kiedyż więc, powtarzam, to osobliwe monstrum, ta jednoistna a różnodążna chimera, obejrzy się okiem w oko, twarzą w twarz, myślą w myśl, i szczerze po bratersku do się uśmiechnie? albo czy to niewczesne pytanie jest także chimerą niezbędną, jak kamień filizoficzny, zaręka dziennikarzy, wśródziemny ogień, przyszły żydowski Messyasz i przyszły oczekiwany z takim utęsknieniem nasz ów poeta, co to ma, jak prawią, uważnie, rozumnie, nie dziwacząc, osobliwsze skarby gminnej poezyi, w wierszu *porządnym, obrobić, przerobić, przetworzyć, odtworzyć, w duchu jej tworzyć*, albo otwarciej, wbrew może jałowym kompilacyom, wprost stworzyć od siebie, dla nas lub poźniejszych; cóż przecie?..., o, gmach nielada, arcydzieło... z *gotowej już poezyi*, poezyą gotową. *Parturiunt montes!....*

dawniejszém naszém *maślném wygładzeniem*; bo pewna nie dla pomysłu, nad który nic godniejszego nie znam. Są usterki, są i piętna na tém słońcu; Mochnacki twierdzi, że tej wielkiej rzece na mializnach nawet nie zbywa... nie przetoż, *żadną miarą* niepowinno bydź wzorem to arcydzieło. Mówiąc o takim, bądźmy tym więcej obaczni, im wziętsi, albo inaczej, nic już świętego nie będzie. Wielką jest władza analizy trafnej, rozumnej, bezstronnej, mimo to wszakże prawdziwa twórcza zdolność jest większą — większą o tyle, o ile trudniej, a za to godniej i chlubniej, budować niż walić; wie o tém uczony krytyk i Edward Tarsza wie o tém. A toż uszczypliwe przedzierzgnienie zmian wiersza na jakieś skakanie? kiedy gdzie indziej, przez umyślną *wyrzutnię podrzędnych środków niejako*, i w ślad za tém, *o ile to można*, że tak wystrychnione *cieniowanie myśli* trąci bezsensem i literackim rarogiem, Pan o tém i sam wie dobrze i nie mniema, żeby kto, choć w najmniejszej mierze, mógł wierzyć inaczej. Taż znowu obowiązująca, obmyślana, zimna prawdziwie trwoga w rzeczy naśladownictwa, za użytą jedynie miarę dla kilkadziesięciu wierszy (*), którą przedtém, chociaż dla innych

(*) *Te* hexametry, jakich po dwakroć użyłem, nie są to scisle wzięte hexametry greckie, o innego zaś rodzaju hexametrach nie wiem.

wcale pomysłów, ktoś użył. W istocie, jak śmiał Malczeski, naprzykład, użyć budowy wiersza, której przed nim Trembecki, Dmochowski i tylu innych użyło. Owoż co właśnie dowodząc szkodliwej w czas nieukróconości badawczego w sztuce talentu, zakrawa smutnie na scholastyczną dyalektykę w krytyce, niestety, jeszcze takim uwieńczonej podpisem. Dziwna, lecz w tém, na szczęście, widne tak od razu sąd i powody. Kiedy gdzieindziej samą tylko własną Pańską opieszałość czy okoliczności skarżyć należy. Słyszanoż trzymać dziś cokolwiek w tece lat dziewięć!... Za czasów Horacego mogło to uchodzić, ale dzisiaj, dzisiaj, kiedy dla po-

---

Bezpośrednio grecki hexametr nie idzie najtrafniej do polszczyzny, między innemi daktyle, a szczególniej spondea (— —) wielką w tém są z natury naszego języka przeszkodą. I tu więc znika pozór naśladownictwa nawet, gdy użyłem pierwszy, zda się, rodzaju miarowego wiersza, jaki w pewnych względach do narracyjnej poezyi szczególniej wydał mi się dość przypadającym.

Bohdana Zaleskiego poezye dość mię zajęły, bez wyższego zainteresowania przecie; talent wielki, chociaż jednostronny, wielki na swoją skalę, a jak powiedziałem gdzieindziej, śmiało powtarzam, jest to Mistrz słowa, wszakże *w swoim rodzaju tylko;* a jezeli i mnie z kolei przyznano nieco talentu, natchnienia, a nawet możności rozumowania nad sztuką, toć już wbrew temu wszystkiemu, jeślibym kiedy zbłąkany aż do naśladownictwa miał upaść, upadłbym nie na takie diminutiwa przynajmniej.

śpiechu aż siłę pary zastosować musiano do prass drukarskich....

MODA.

Dobrze mówi; lecz nie przerywając, śmiemże zapytać, czy Pan rzuconą rękawicę sam i podjąłeś na zawsze?

JA.

Nie rzucałem jej nigdy, wszakże gdyby i tak było, pierwszybym podjął.

MODA.

Godzi sięż wiedzieć dla czego?

JA.

Minąwszy inne, choćby tylko dla szacunku przeciwnika i siebie.

KLASSYK.

Innemi słowy, może nie zdaje mu się, jak to dawniej u nas, w poezymie nawet, nowo przybyłemu, wyzywać z góry już uplacowanych *de plagis* albo *de loco*.

JA.

Właśnie, choć to literackie bezwarunkowe szermierstwo, gorszy częściej niżeli naucza. Każdy z nas ma swoje i zostanie na swojém miejscu, a ten mnie chlubny wysoki szacunek...

Szaleniec.

Wyborne sentymenta! niema co mówić... to mnie wyrozumiałość niemiecka! szacunek przeciwnika?... tego nie rozumiem. Ach, moi Panowie, powtarzam raz jeszcze, te przesądy was zgubią. Nam to jedynie, nam, synom *tej pięknej*... i zamilkł nagle, znać przypomniawszy, że dziś ta butna a zużyta fraza, zdolna tylko śmiechy obudzić.

Gdy deklamował ostatni, korzystając z mej pauzy, pchnięty ciekawością, acz niegrzecznie zajrzałem przez ramie Reflexyi, wartującej moje pisemka. Boże mój, co się to znaczy? przeklęta ciekawości! ileż tam kresek, linijek, zygzaków, przestawek, dopisów, przemazań! Zawrzałem — i kiedym w gniewie chciał jej wypalić z góry — cały text prawa o własności autorskiej, z godnością spójrzała na mnie spokojnie, a ja w kłopocie, jak zalotnik pode drzwiami kochanki złowiony na gorącym podsłuchiwań uczynku, ledwom zdołał wyjąknąć: bardzo przepraszam i owszem, niech Pani kassuje... gdy tymczasem w myśli: o moja kochana, za nadtoś mnie się rozgospodarzyła nieproszona, gdyby cię tylko pozbyć się ztąd prędzej, a w ślad za tobą precz pójdą te wszystkie uwagi. Trzebaż, gdyby jeszcze ta baba... młódszym, piękniejszym, tak... więcej nierównie, czasem, po-

zwalamy z sobą;—ale tej, nigdy... rozumna wprawdzie; lecz co mnie rozum, ja sam mam rozum— Może kto wątpi? chce go widzieć? natychmiast: hej rozum, rozum!... nie słychać;— czylim go dokąd nie posłał, gdzie nie zostawił? zaraz: u A...? nie, tam trochę próżności tylko; u B...? trochę daremnie straconego czasu; u C...? miłości czy szacunku, dobrze nie pomnę; u D...? nieco zarozumienia. Cóż, u E...? bynajmniej, aż smutno wspomnieć, ilem tam rzucił, za pozwoleniem, głupstw moich. To jakże, rozumu nigdzie? znać nigdzie—a przecie bydź musi gdziekolwiek. O bez wątpienia, proszę wierzyć, inaczej z ich strony byłoby niegrzecznie....

MODA.

Pan się, jak uważam, zamyśla, kłopoci o cóś; tymczasem muszę go jeszcze zapytać: co do drobnostek... czy one także wydaje?

JA.

Nie inaczej; teraz już bowiem chcę wszystko zarazem.

MODA.

A mnieby się zdało, że to jakoś... ja przynajmniej dziś takich nie czytam, i w moich nie umieszczam dziennikach. Lubię wprawdzie, drobnostki,

rozmaitki, dziecińwstwa i fraszki; dają mnie to wszakże, w błyskotniejszej ramie, w większym rozmiarze. Fraszki A, rozmaitki B, drobnostki C, dziecińwstwa D, większa część, starego i nowego świata, Dzienników, Tygodników, Kwartalników, Roczników; te almanachy, Muzea, Galeryje, Panoramy i t. d., od in folio aż do duodecimo, mniej więcej, fraszki, zapewna; przecięż ich żaden z wydawców i przedsiębierców, tak nie nazywa otwarcie. Wołasz Pan swoje z góry po imieniu, przez co wątpię czy kogo zobowiążą dla siebie. Momencik, słówko jeszcze. Co do piosnek gminnych, tak dziś poszukiwanych przez *gminomanów* szczególniej, czy niema także ich zbiorku?

JA.

Teraz nie, ale z czasem....

MODA.

Z czasem nie zechcę, dzisiaj, wraz nie inaczej. Z czasu to i jego widzi mi się, korzystać winien przezorny, gdy dość nieufny w sobie, stawić nie śmie swą niezależność w obec, wbrew popędom większości; a dziś ten popęd, ta dążność: *gminomania* bezwarunkowo wezbrana. Podsycający ją nie chcą przypuścić nawet możności rozwinięcia się bez niej bezpośrednio, narodowej poezii; dla nich staro-

polski szlachcic, choć nieraz, oszczęt zamożnego wprzód domu, ex-poseł w szaraku, nie wolen dziś, pod karą bannicyi krytycznej, stawić się nalcżniej, przemówić rozumniej, od wymistykowanych podrobionych mimo wiedzy gminu, często nawet nietrafnych zlepków ze szkockich kobzystów, tych niby litewskich dudarzy i ukraińskich lirników. Oh, Jowiszowi wiadomo tylko, jak mu się z głowy narodziła Minerwa.... Wszakże, co do mnie, dzisiejsza codzień, przewodnicząc większości w dobrej wierze, do jutra przynajmniej, na gminomany wotuję. Rzeczą bowiem moją, nie dochodzić i śledzić, co i dla czego wzięte za złe lub dobre; ale już wzięte, puszczone w obieg, kierować i podtrzymywać, póki w tém sama nie znudzę. Nie na wybor i sławę, *na głosność* i *większość liczę* zawsze i przyznam, ten środek nie zawiodł mię nigdy. Kiedy M. Mochnacki, autora zamku Kaniowskiego, zaliczył do poetyckiego triumwiratu, nie wiem, może dla liczby tylko, przez brak innych pod ręką, postrzegłam zaraz w ówczas, całą niedorzeczność tego wyboru, tak dobrze, jak wiedzieć, czuć łatwo, że przesada, naciąganie, osowiałość, nadętość, obmierzłość w końcu obrazów, nastręczana ciągle, umyślnie; słowem, że szpetota moralna, nigdy istotnie poetyczną nie była. Cóż z tego, piérwsza wówczas

podtwierdziłam ten nietrafny wybor krytyka-poety, pewna, że nowość sądów, głębszy punkt widzenia poezyi i przyrody, chociaż i arcy niemiecki i niezaprzeczona zdolność krytyka, wesprą mię z góry,— i zgadłam. Dziś nawet, kiedy już dawny Zamek Kaniowski i w oryginale i w kopii, leży ruiną, dziś są jeszcze, co choć przez upor, wbrew może przekonaniu własnemu, chcą nienajudolniejszy ten utwor, podtrzymywać jakkolwiek. Pan niegdyś tego zamku, Starosta Kaniowski, duch wywołany ze swą przeszłością razem, poźniej nieco, tak poetycznie, prawdziwie jawnie; przecięż autor jego P. Groza, ledwo uzyskał nadzieję, zostać z czasem, za to już wprost Ukraińskim, poetą. P. Tyszyńskiemu miano za złe, zmięszanie gatunków prozy: teoryi i krytyki z romansem, to jest, że swej dwuwzględnej kreacyi nie ustawił w szyk rozumny (*),

(*) Jesliby się zdało, tam ówdzie rzucone alluzye, stosować do zdań w tej rzeczy M. Gr... najusilniejbym prosił wówczas, światłego czytelnika, widzieć je tylko, jak widzę, w duchu umiarkowania i prawdy. Autor Lit. i krytyki źle mnie zrozumiał, sądząc że chciałem z nim wystąpić do walki. Objawiać swoje widzi mi się nad czyjémkolwiek zdaniem, nie jest, ani brane bydź może, za oznakę chętki zapaśnictwa. Wysoce wielbiąc i ceniąc zasługę i zdolność recenzenta, gdybym chciał i mógł z nim się rospisywać, rospis ten więcejby zapewna zajął czasu i miejsca, nad to, ile mych kilka uwag

mimo wszakże tej pedagogicznej nietaktyki, uzdolniony autor *Amerykanki w Polsce* wyszedł i wychodzi, w obec powszechnej opinii, zwycięsko. Pomnę nadto, własną Pańską przepowiednię przed kilką laty o poczynającym w ówczas autorze dziełka: *Wielki świat małego miasteczka*; kiedy wznoszącym ramiona, z ubolewaniem chwiejącym głową, na ich obojętne o tém pytanie, nieobojętnie odrzekłeś: *nie płaczcie nad nim....* słaby to wschód wprawdzie, obiecującej wszakże, jak sądzę rośliny; jeżeli dość silna z przyrody, by przenieść burze, duszące chwastów sąsiedztwo i szkodliwsze często dotknięcie szorstkiej dłoni mniej trafnego ogrodnika, słowem, jeśli to, coś jakby nieujęty Proteusz, albo owa *noli me tangere*, wówczas ona, sama przez się, bez uczynnego wsparcia i natrętnych nożyc, wzniósłszy koronę ku słońcu, pięknie wybuja w swe lato.... zgadłeś a chlubny z tego i słusznie. Czémże się więc dzieje i przez co, że np.

---

zajęły. Każdy z nas mieć może swój punkt widzenia oddzielny, bez wyłącznego przywileju wszakże na intolerancyą i monopolium literackie. Mówię jak myślę, jak czuję, nie parifrazując, ani podszywając się, opatrznie a lękliwie, przykładem tylu dzisiejszych, pod cudze widoki. Ztąd więc z własnego uczucia i przekonania, co rzekłem, rzekłem! ani mam w tym się odeprzeć, ani tego żałować bynajmniej.

Groza, Tyszyński, Kraszewski i podobni, trafiają tak do sympatyi ogółu, mimo krytycznych, często, zarzutów? omylnie może, sądzę jednak, że ta szczególna własność moralnego ich organizmu, uczucie odrębne, jakaś domyślność, nie wszystkim dana, owo wieszczenie poety,— mimo ich wiedzy prawie, nastręcza obrazy i ramę, jakie właśnie, nie raz, wręcz cyrklowi i skali teoretyków, uczuciem żyjącemu, najlepiej zdolne wpaść w oko? Dla czegożby tak?— ha, dla wielu, bardzo wielu przyczyn, nie najchlubniej o nas świadczących; minąwszy owe, choćby dla bardzo naturalnej,— że, między teoretykiem a praktykującym (tak) w poezii właśnie, co do ich punktu widzenia przyrody i sztuki, jest istotna, nieobojętna różnica: piérwszy wciąż widzi umyślnie, zimno, rozważnie; drugi, w pewném tylko usposobieniu, czasie, zwykle oznaczonych jakimś stanem niewysłowionym, bezwzględnym, uczuciowym wyłącznie,— ów ciągle odwołuje się do wzorów i rozumu, ostatni, do swej wiedzy i serca.

Tak widzę a przecię, nie zawsze tak mówię jak myślę. Nie czując się na większe, koszlawi atleci moi, rzucili się na gminność dzisiaj,— kopią się jak w mrówisku a ja pobudkę im trąbię i jakkolmnie z tém jeszcze dotąd. O jutro nie dbam; i na

jutro, zapragnę czego innego. Dzisiaj mnie piosnek, powiastek, przypowieści, klechd nawet, a co, chociaż, jak trafnie powiadał już jeden, że wszyscy chwalą a nikt nie czyta, wszakże grunt na tém, że chwalą, a chwalą tak, że te recenzye, krytyki, rozbiory, słówka, wzięte razem, bodaj czy nie obszerniejsze od samych zbiorków rzeczonych. Mimo to wszakże, wraz mnie tych kamyczków, kamieni i mniej więcej ociosanych głazów; gruzu z odkrytych ruin, mogił, kurhanów, uroczysk; składajcie mnie tu, osobno każdy, nim jutro, dziś nawet, przyjdzie budowniczy, sprawdzi, przewartuje, te już *gotowe*, lecz tylko materjały gotowe, słyszycie? i z wybrańszych dźwignie, trafnym pomysłem, w stylu *swoim*, gminnym w częściach, *lecz czysto narodowym w całości* (*), domek wiejski, pałac, kto zgadnie, całą świątynię,

(*) Naprzykład: utwory Jaraczewskiej, niektóre Bernatowicza i Tańskiej, Marya Malczeskiego, są czysto narodowe; B. Zaleskiego w części. Goszczyński w Zamku Kaniowskim, pisząc po polsku, dla obrazów Kozaczyzny wyłącznie, nie jest narodowym dla nas, chociaż wbrew temu jest nam narodowym A. Bronikowski, pisząc po niemiecku. Tak u obcych Waszyngton-Irwing, T. Moore, za kopie nie swojej przyrody i ziomków czysto narodowymi nie są. Wymknęło się to dotąd z pod uwagi teoretyków naszych; napomknąłem więc tylko, o czem może w innem miejscu damy obszerniej.

może, Bogom przeszłości waszej. Piérwsza tam wówczas przyjdę zamieszkać, dłużej lub krócej, świetniej lub skromniej, podług godności przybytku. A bydź to może, godzi się spodziewać, tylkoż bez przesady w nadziejach nawet, bez śmiesznych szperań w pociemku, bez tej napuszonej analizy. Tłum Anatomików nad trupem — mrówki; jeden drugiemu zawadza. Odkrył coś, piérwszy, lub zdało mu się że odkrył; drugi, by mieć udział w tym losie, mruknąwszy to, owo, czepia się odkrycia na ślepo. Wpada trzeci, nigdzie bezeń, dziwne jakieś *perpetuum mobile*, głos swój zabiéra, głos tylko, bo myśli zabrał, piérwszego. Omawia, mitręży, protestuje gdzieniegdzie, a jednak nie spuszcza go z oka, jak xiężyc słońca, któremu winien swą widnię. Tam, ówdzie, poszedł sam niby; lecz w końcu obaczny, pomny na swoją przeszłość i przyszłość, godzi się i podpisuje. Na większą miarę tylko, a było przecię coś podobnego, gdzie indziej, dawniej; kiedy długiém wysilon czuwaniem, gieniusz Grecki usypiał, zatrwożona szkoła Alexandryjska chciała mu wrócić siłę żywotną galwanicznym teoretyzmem; cóż? ruszył się wprawdzie, skrzywił potwornie dwakroć i trzykroć, nie ożył jednak. Stało się to wszakże z wysilenia i wielu innych przyczyn; gdy dziś u was poczynających, ledwo....

J a.

Nie przerywając, dam tu więc do składki od siebie, powieści, ballady....

M o d a.

Ballady, przepraszam, już nie dość świeże, zleżały się w tece; kto wie nawet, czy wydobyte na światło, nie staną się, nagle, echem... ale mniejsza o to. Do Prozy — pisałeś, zda mi się, prozą; jej tu wszakże nie widzę a dziś tak modna: proza poetyczna, poezya prozaiczna, romans historyczny, historya romansowa, powieść... wszystko w prozie. Sam wiek nasz, którego dwie części już wychodzą na jaw, dwie drugie na wyjściu, w tece *Nieśmiertelnego Autora*, czémże jest, proszę, jeśli nie prozą, w najrozmaitszych jej przeobrażeniach, odcieniach. *Co zaś do prozy Jego*, między innemi, te *dwa portrety*, dość trafnie naszkicowane tylko, a wszakże już mię zajmują. Jest tam bowiem, krajobraz i powieść, Włochy i Włoszka, Mnich i zalotnica, Zbir i Lazaroni; a wszystko w tym pięknym nieporządku, w tym lubym nieładzie, jak dzisiejsze bawialnie; w tej barw pstrociźnie, jak okładki dzienników, jak ten mój *skromny* ubiorek. Niech Pan odczyta, wprawdzie drzemią już wszyscy, Reflexya nawet, lecz mniejsza o nie; ja i mój sąsiad milczący, radziśmy ją słuchać.

3*

JA.

Przepraszam; tak przemazana, na świstkach; wątpię nawet czy się znajdą wszystkie.

MODA.

Otoż są, proszę zaczynać, słuchamy:

DWA PORTRETY.

Roku 18... podróżując we Włoszech, przez zbieg okoliczności, zmuszony byłem zabawić, dłużej nad zamiar, w Neapolu. Komukolwiek z czytelników moich, zdarzyło się odwiedzić choć raz w życiu, Włochy, tę ziemię klassyczną wielkich wspomnień, osłonioną wiecznie ciepłém i roskosznem niebem, ojczyznę i rosadnik sztuk pięknych: komukolwiek, mówię, los pozwolił, wielbić to wspaniałe Italskie słońce, tak brylantujące toń modrą Neapolskiej zatoki, zachwycać *siebie* majestatyczną panoramą, płonącego Wezuwjuszu, ten, łatwo odgadnie, że, to jasne, roskoszne Niebo, to wspaniałe słońce, widok ogniem rzygającej góry i ten w końcu, prawdziwie niemiecki peryod, zaokrąglić muszę koniecznie, włoską kobiétą. — Ani może inaczej sądzić, zwłaszcza ktoby wiedział, że Autor powieści, liczył sobie wówczas dwadzieścia pięć lat tylko. W tym wieku, to jest, nie w powszechnym XIX$^{m}$, ale we dwudziestym piątym roku życia, jadący do Włoch, chce szczególniej, choćby napatrzyć się

tylko, na arcy-dzieła sztuk pięknych; gdy zaś przypuścimy, że we wszystkich klimatach i stronach, kobieta jest *sztuką nadobną* mniej więcej, to, we Włoszech ona, bydź musi *sztuką piękną* koniecznie. Roku zatém 18... dnia 19 Sierpnia, ja wędrowiec bez wyłącznego celu, miłośnik sztuk pięknych w ogólności, o godzinie szóstej z południa, wyszedłem z kwatery, chcąc odetchnąć po dziennym upale, świeższém powietrzem wieczora. Jestto właśnie ta pożądana godzina, kiedy świat *wielki* i *mały*, najroskoszniejszej ze stolic Europy, po dniu gorącym, tłoczy się, na głównych miasta ulicach, w tłumie krążących i krzyżujących się pojazdów, różnego wytworu i datty, w ciżbie pieszych, różnego wieku, stanu, fizyonomii i narodów. Spójrzyj na prawo; omija ciebie smagła, czarno-oka Włoszka, w pasterskim kapeluszu na głowie, z koszykiem kwiatów lub owoców w ręku, wykazując miękko, zalotnie, swą lekką kibić i nóżkę drobniuchną... patrz, jak ją pożera oczami, to opasłe, rumiane głupstwo, włóczące się po świecie w ścisłém *incognito*, pod skromną firmą Antykwaryusza, zbyt czynnego i honorowego, jak zda się, członka niejednéj Akademii. W lekkim koczyku, przebłysnęły dwie drobne, białe twarzyczki Mis E... i Mistris A... w ślad za niemi, bystrym poskoczył galopem, mło-

dy Londyński Dandy; skłonił się z angielska, niedbale, skrzywił się nakształt uśmiechu, skinął pejczem na perspektywę zatoki i dowolny, jadąc obok, usiłował, jak najwięcej, poruczać ich względnym spójrzeniom siebie i swojego wierzchowca. Oh patrz, ledwo nie zdratował półnagiego Lazaroni, co zaprzątnąwszy głowę swojém *far niente*, zapomniał, że są prócz niego ludzie, którzy nie więcej odeń myślą, i nie dalej widzą przed sobą. Z lewej strony przebiegł ci drogę wymuskany, jak lalka, strzępiący się jak rarog, a wszakże zbyt obaczny, żeby się nie stracił w ciżbie ludu i umysłowych roztargnień. Jest to Graf de V... cenzor i postrzegacz dobrego tonu w S. Germain; żywy obrazek neofrancuzkiej szkoły, rzucony, jakby na probkę, za granicę pomysłów i stylu PP. de Balzac, Sue, Lacroix, Sand i komp. Podróżuje samotny, *incognito* z Paryża do Neapolu w ogólności i w szczególności, przez wszystkie jego ulice. Spójrzał na cię zyzem, z podebrwi, tak komicznie zmarszczonych; poznaj że gardzi tobą i wszystkiém, co się oku jego nastręcza. Człowiek tajemniczy, fantastyk, jedna z tych ciemnych, niepewnych figur, przemijających się, jak w czarnoksięskiej latarni, w odurzonej porterem głowie Hoffmana. Przybył tu, żeby wzrok napaść widokiem wybuchającego wulkanu, żołądek Mes-

syńską pomarańczą, pragnienie nektarem *Lachrimae Christi*, ucho harmonią wycia i szczekania psów Scylli. Niestety! jak na złość *przyjacielowi ludu* i *praw człowieka*, Wezuwiusz ani myśli niszczyć lawą przyległe wsie i winnice, a Scylla, ta klassyczna Scylla, z całym chorem, nie sprawia i połowę hałasu, jaki się rozlega codziennie z Areopagu *szalonych*.... Tam, w przecięciu ulicy, pod wspaniałym frontonem, zwróci bez wątpienia na się całą twą uwagę, ta wysoka, blada, wychudła postać, schylona u ramion, jakby pod ciężarem o dużych połach kapelusza, co się nań wtłoczył aż po brwi same. Obcy weźmie go zrazu za członka jakiego liberalnego klubu, gdy, zda się, na złość policii, wystawił na widok siebie, swą pałkę i zielone rękawiczki, — a jest to przecię, ni mniej ni więcej, tylko olbrzymi Orang-Utang, bardzo podobny do człowieka, naśladujący trafnie jego ruchy i odzież, codzień na przechadzkach i przez dzień w teatrze; zagląda do magazynów mod i do winiareń, można go wszakże widzieć czasem w wybrańszych salonach, jakby dekoracią, z chińska, komina albo filaru, nie parzystą cyfrę zabawy, trzynastym gościem u stołu, figurą do najęcia w krytyce malarskiej. Czyta dzienniki i gazety, rzuca się oślep na wnioski; lecz na nieszczęście, fakta i datty

na wieczną wojnę powaśnił. Płeć piękna, sztuki piękne, tak niedawno wszystko to kochał, z całego serca, ze wszystkich sił swoich.... dziś wszakże, jak go widzicie, orzucając przygasłem okiem, tę wystawę obrazów i żywe gruppy migocących do koła tych wdzięcznych twarzyczek, dziś ten wczorajszy amator, nuci tylko, obojętnie przez zęby ariętkę z Opery, *Con amore!*... Owoż, jeśliś dość już utrudził twój słuch i oko, tym nieustającym stukiem, turkotem i gwarem, zlanej i rozlewającej się na strony, tej massy pstrej, nieobejrzanej i niepoliczonej, jednorodnej w całości, różnorodnej w częściach, całej massy męskiego, żeńskiego i *nijakiego* rodzaju, toczącej się w pojazdach, galopującej z konia, sunącej, przeskakującej i przewalającej się z nogi na nogę; białej i rumianej z natury, białej i rumianej ze sztuki, wesołej i posępnej, roztargnionej i poważnej, wymuskanej, owonionej, z podfałszowaną kibicią, z zaszklonem okiem, z zakupionym włosem, z przymileniem, z odrazą, z parasolem, pałką, pomarańczą w ręku, z punktem honoru w minie, postawie lub giestach; słowem, jeśli już wszystko i to jeszcze nieoznaczone, elastyczne i t. d. i t. d. przeciągnęło mimo ciebie postokroć, trąciło we cztery części twojej osoby, spójrzało na cię, podrzeźniło, zaleciło się, zapytało,

podsłuchało, nie dosłuchało, nie domówiło i poszło... daj pokój i drogę, niech idzie, czwałuje, bieży, leci, pod jedném godłem i hasłem: *viva isonari*!... daj im pokój, mówię, jeśliś zapragnął jego dla siebie a jednak, tu nigdzie, o tej porze nie znajdziesz, na żadnej ulicy, na żadnym placu przechadzek. Wszędzie toż samo, te *nieskończone szeregi* Biota i Lagranża, te niezliczone przemiany, jednych i tychże samych wyrazów, różniących się tylko wykładnikiem potęgi, do jakiej ich, los, ten sławny algiebraista, wyniósł na chwilę.

Owoż w końcu, z tych tłumów wybrnąwszy, gdym z Toledańskiej ulicy, zmierzał ku kościołowi di Giesu-Novo...,, Za pozwoleniem, Pani musiałaś następną kartkę zatrzymać, braknie tu ciągu.

MODA.

Bynajmniej, chyba mój sąsiad...,, a ten sąsiad zapłonił się aż po uszy.

SĄSIAD.

Trzebaż roztargnienia!... w czasie ich sporów, nie mając co robić, brałem tu, z okna, te szpargały, a nie sądząc że się na co lepszego zdadzą, zapalałem niemi moją fajkę; bydź zatém może... a więc przepraszam najsolenniej...

Przygryzłem usta; chcąc zaś wyrozumieć lepiej tę figurę, którą moda nawet mnie piérwiej nie-

przedstawiła, spytałem: ,, Podczas naszych rozpraw, Pan, zda się, byłeś słuchaczem tylko, równie zadowolnionym *ze wszystkiego i wszystkich*, chciałbym przecię wiedzieć, jak sądzi o moim zamiarze objawienia się w końcu.

Teraz nic, prawdziwie nie wiem... wszakże gdy Pan wyda...

J A.

I gdy za tém, ukaże się krytyka.

O N.

Z tej więc, jako gotowej wskazówki, a dla krótkości dogodniejszej do przejrzenia, korzystać pospieszę, ku przekonaniu siebie i swoich, jak o tém sądzić należy. Bo, przyznam się otwarcie: życie nasze zanadto krótkie, żebyśmy czas drogi trwonili nad czytaniem, ba jeszcze, rozważném. Właśnie o sobie tu powiem: oto wyszedłem już był z probką do gorzelni, chcąc naocznie sprawdzić zły wypęd spirytusu i jako tako zaradzić temu; trzebaż mnie było, kto wie jak i po co tu się zabłąkać. Czas więc i kilkadziesiąt złotych stracone, bez owocu niezwrótnie, gdy niewyspanemu, kto wie jeszcze, jak przyjdzie trafić na poroszę do Sędziego, jutro z chartami, — a przecię dla interesu mego wiele na tém, bardzo wiele zależy!,, Powstał, a ja zachodząc się ode zgrozy i złości: ,, Nieszczęsny

gł...!,, krzyknąłem tak głośno, żem się aż przebudził, sam przez się. Przetarłem oczy, spójrzałem do koła, wszystko jak piérwiej, komin tylko widać, zagasł od dawna, a świéca zamierzchła sadzą, ledwo migoce. Też figury... ta Jejmość?... niespokojny, zajrzałem do teki; dzięki losom, tam wszystko jak przed tém, bez żadnych odmian, spało spokojnie, obok poezye i wiersze... jakem ich umieścił, jak je wydam a wydam zaraz, natychmiast, już wydaję. Kto wie, czy to nie była przestroga, żebym w końcu pospieszył, nim zaprawdę, nieproszony jaki i ten mój biédny, wydziesiątkowany ostatek, przyjdzie podkreślać, mazać, kłaść gwałtem pod notę muzyczną, lub gorzej, jak ów łaskawca, w niewinném roztargnieniu, zapalać nim fajkę. *Nie, tego nie będzie... potém*, tak, co innego, *gdy sobie go kupi* i *przeczyta* lub nie przeczyta, może wówczas, jak ze swą własnością, robić dowoli, — a gdy nadto, będzie dość grzecznym, żeby w złym razie, chciał mnie o tém powiedzieć, a ja dość będę ostróżnym, żebym go o to miał badać, w każdym więc względzie, gdy już kupi...

,,A gdy nie kupi?,,— Wszelki duch Pana Boga chwali! toż noc uroków — i jak piłka podskoczyłem z krzesła. A! to ty duszko; nie spisz jeszcze... jakżeś mię przelękła.

„Słyszałam cię deklamującego, chętka mię wzięła podsłuchać; ależ, o jakiém to projektujesz kupnie? —Nie o kupnie, o zbyciu.... zresztą potém o tém, zostaw mię samego, skończę natychmiast mój rachunek. Odeszła — Trzebaż.... nigdy nikt trafniej nie odpowiedział przypadkiem. Czemuż mnie to dotąd samemu nie przyszło do głowy? gdy nie kupi.... i w rzeczy samej, drukować własnym nakładem, kłopocić się, jeździć, a za to wszystko, połknąć krytykę w końcu i stracić koszta, prawda, wiele stracić!... cóż z tego, alboż nie tracą gorzej, więcej i mozolniej? nie tracąż na grę, bale, pojazdy, stroje, pieniactwo? nie ścigaż ich w końcu, często Wierzyciel, Urząd, a żal po czasie i krytyka zawsze? Przykład wszakże mało tu zda się; po ojcach dzieci marzą o wygranej, urzędach, zbiorach. Co do mnie, choćbym miał stracić, zawsze jednak stracę, mniej, odrębniej, przyzwoiciej, godniej....

Bądź co bądź zatém, rzucone losy, probujmy!...

Pisałem w Stefanowie.
1839 roku Grudnia 27 dnia.

# BALLADY I POWIEŚCI.

Ex noto fictum carmen sequar.

*Hor.*

# OSTATNIE ŁOWY.

*(Z podań Białoruskich.)*

....meminisse juvabit....

Śnie młodości, śnie mój złoty!
Tak ockniony, niedospany;
Śnie roskoszy i pieszczoty,
Jakże urok twój rozwiany.
Pierwotnego świtu mary,
Na tle dziwnych ideałów,
Dla was niosłem me ofiary,
Z natchnień, rojeń, łez, zapałów;
Ja, com kochał, czcił jak dziecko,
Długom tęsknił, bolał długo,
Gdy mię budząc, tak zdradziecko
Odbiegły jedna za drugą....

Dziś, na świątyń ich ruinie,
W cześć zielonych chwil tych Świątek,
Myśl już tylko rzewna płynie
Na westchnieniu, do pamiątek.
Ileż, biedna ta posłanka,
Błądzi w skałach życia stromych,
Nim przyniesie co do wianka,
Od dalekich tak, znajomych;
A syt wieści, pozdrowienia,
Cóż w podziękę daję za to?
Cichy uśmiech, żal wspomnienia,
Oh, łza częstszą im zapłatą!...
Śnie mej wiosny! widma twoje,
Nigdyż, zbiegłe nie powrócą,
Twe nadzieje, niepokoje,
Zalśniąż kiedy, zamigocą?
I prysnąwszy w gwiazd tysiące,
Na mej skroni znów zapłoną,
I uniesień fale wrzące
Dźwigną, zleją w wieszcze łono?
Natchnęż piosnką martwe zlepki,
Z dziwu, cudu, przeszłość ciemną;
Coście jeszcze u kolebki
Niegdyś, śpiewały nade mną...

W czas tu do mnie, przyjaciele!
Do tej chatki samotnika,
Gdzie ta ustroń głucha, dzika,
A dla uciech, tak niewiele.

Dla mnie jednak ten zakątek
Luby z całym swym nieładem,
Gdzie codziennym gonię śladem,
Od pamiątek do pamiątek.
Czy zkąd widnie bór, jak chmura,
Struga, smuga tamta, owa,
Horoczewicz łysa góra,
Sine garby Czeresowa,
I zamczysko... cóż po mianach.
Z dymem, z wiatrem poszły dzieje,
Lub marnieją, gdzie te knieje
Po mogiłach, po kurhanach.
W czas tu do mnie! lecz co właśnie,
Chcecie piosnki lub powieści?
Tu, jak ludzie, smutnej treści
Piosnka dziewic, starców baśnie;
Jak zeń mało dni potomne,
Obraz przeszłej zgadną twarzy!
Lub, czekajcie, zajrzę, wspomnę,
Może mnie się co wymarzy.

Kto z nas nie miał, w lat pierwiastek,
Starych matron do usługi,
Kto nie słuchał ich powiastek,
W adwentowy wieczór długi?
Straszno wspomnieć, wówczas właśnie,
Kiedy komin wpół zagaśnie,
Zmierzchną kąty, wiatr zawzięcie
Szronem w szyby dudni, smaga;

Jaka cichość i uwaga,
Choć u wszystkich dusza w pięcie.
Kółko coraz ciaśniej, bliżej,
Usta szérzej, oczy niżej,
Przerażeni i ciekawi;—
A tymczasem stara prawi:
O tych sławnych, dawnych wiekach,
O ich dziwach niepojętych,
O upiorach, wilkołakach,
Nawiedzonych i zaklętych.
O Królewiczu, Dziewicy,
Wiedmach, wróżkach, czarownicy,
O najazdach, zbójcach, śmiałkach,
O chochlikach i rusałkach.
Ha, Rusałki... nie wiem czemu,
Gdym we wszystko przeżył wiarę,
W dziw i urok, jak w sen, marę,
W nie wierzyłem po dawnemu,
Długo, mocno, dłużej może,
Jak zgadniecie, osądzicie,
Bo też długo byłem dziecię,
Takie gminne, odpuść Boże!
O rusałkach dziwne wieści,
W jakiém goszczą miejscu, czasie,
O nastaniu, figlach, treści,
Ile pomnę: rzecz tak ma się:
Gdy niemowlę piérwiej skona,
Nim chrztem, wiarą, nie ożyje,
Wyjdzie martwe z matki łona,
A zdrój życia go nie zmyje,

Biedne ono, długo potém
Błądzi, marnym w świecie lotem,
Ani w niebie, ni na ziemi,
Między duchy powietrznemi.
Bywa, ciche, ponad chatkę
Spływa, gości całe noce,
Wita we śnie siostrę, matkę,
W dzień z jaskółką zaszczebioce;
Jak mgła, lekkie i powiewne
Tło z półcienia, półpromienia,
I rozwiane i niepewne,
Jak gry świetlnej przywidzenia.
To się wplące w tłum motyli,
Znów z kukułką kuka, kuka;
Ze szczebiotką w tarniu kwili,
Zda się tęskni, kogoś szuka....
A niemściwa, nieszkodliwa,
Jak *gość, tułacz* tego świata,
I o piérwszym ranku żniwa
Nieznać po co, gdzie odlata;
Lecz są inne, ich istota
Hasło dziwu i bojaźni:
Gdy im niebios, piekieł wrota
Wciąż zamknięte z Bożej kaźni,
Oh za grzechy, ciężkie grzechy,
Matek zbrodnie i szaleństwo,
Co, przestępnej płod uciechy,
Dały na śmierć i przekleństwo;
Tym nadzieja, miłość, wiara,
Nie podała swego łona,

Im wbrew winy, wieczna kara,
Tu, na ziemi, przeznaczona.
Każdy słyszał, gdy jesienią
Lasy żółkną i czerwienią,
Niby modłę, płacze, jęki;
To jęk, modła, płacz ich męki,
Gdy wszczepione w rdzeń osiny,
Szemrzą w liściu spowiedź winy.
Lecz tę mowę, któż zrozumie?
Dziwne brzmienie, słowo ducha,
Jedna matka pojąć umie,
A ta jedna, jakże głucha!
Idzie przecie — mróz i wija,
Kąpie w śniegu, w lod spowija,
Jęczą, kwilą... słyszy co dzień,
Zabłąkany to przechodzień;
Co noc w okno od ulicy
Zajrzy, puka do świetlicy:
»Nie śpij matko, gdzie rozdroże,
Marzną dzieci, twoje może?"
»Ach, nie, gościu, to po lesie
Szumią wiatry a zamieci,
Nie mam dzieci... gdzież me dzieci?
Jak Bóg widzi!" woła, klnie się,
I zatrzasła sienie drzwiami:
»Ha, ha wiedmo" gość powiedział,
Westchnął, ścisnął ramionami,
I tak odszedł, jakby wiedział...
Mija zima, za nią wschodzi
Słońce wiosny, któż wypowie,

Jak się lubo świat odrodzi,
Zagrzmi słowik po dąbrowie!
Tyle natchnień, takie życie,
W każdém życiu szczęścia tyle,
A w tém szczęściu jakież chwile,
Sny, uroki, w tym zachwycie!...
Gdy tak wiosna w pełnej krasie
Woni, barwy i uśmiechu,
Wówczas właśnie, dzieci grzechu,
Dziewic wdzięki biorą na się
To Rusałki. Gdy las żyta
W kłos wypłynie i zakwita,
A z powonnej łąk pościeli,
Tak obiegłej niwą, gajem,
Kwiat tysiączną barwą strzeli,
Wzdłuż po smudze, nad ruczajem,
Kiedy drażniąc śpiew słowiczy,
*Gdyra derkacz tajemniczy,*
A zalotnie i nieskromnie
Przepiórka woła: »pójdź do mnie!"
W czas rozkwitu, jak na wianek
I wasilków i smolanek;
Zdala cerkwi i smętarzy,
W ciszę południa, w zmierzch, o świcie,
Dziwnie tam się widzi, marzy,
Jak, to pewna, sami wiecie.

Gdym raz, podróżny w spoźnionej porze,
Przeze ćmę błądził niemało,

Stanąłem wkońcu przy jakimś dworze,
Tak się przynajmniej wydało;
Lecz, był to raczej obraz zwaliska,
Ciemnące budów ostatki,
Gdy mię oświecił blask od ogniska,
Oknem stérczącej wbrew chatki.
Jedna tu przecie żywa istota,
Gdy wszystko zaszło tęsknicą.
Cicho a głucho, gościnne wrota
Zarosły chwastem, bylicą.
Czy pani domu, słońce tej wioski,
Wiecznej ją święci żałobie,
A mąż i dziedzic pędzi dni troski,
Gdzieś, na dalekim jej grobie,
Czy to sprawiły wojny, rozboje,
Że dwór tak smutnie odziczał?
Powiedz mi starcze, cóś lata swoje
Pod jego strzechą policzał:
»Bogu tam wiedzieć losy dziedzica;
Znikł, umarł, zginął, któś powie;
Lepiej to może wie okolica,
A o témż marzyć mej głowie;
Dziś, tak ciekawi, mądrzy zakaty,
Gdzie to im sprostać, Bóg świadkiem,
Choć rzecz tak jasna, że Pan przed laty
Na łowach zginął przypadkiem."
Zginął, tak zginął, kędyż, jak, przecie?
Gdym słów, omówień nić łowił:
Niech się więc stanie, gdy tak już chcecie,
Wierz, albo nie wierz... i mówił:

»W obec, pod kupą tych gruzów, gdzie głog się plącze
z tarnią,
Jest rdzawa krata do lochu, jedyny ruin ostatek;
Widz on naoczny, choć przeżył zamek i jego dziedziców,
I wiele, wiele wypadków gorzkiej a lubej pamięci.
Czemuż dziś milknie zazdrośny, nieczuły, głuchy i niemy?
Gdy jednak mógłby tak prawić zasiadłym w koło przy-
chodniom,
On przeżył ludzi i czasy, co panowały tej stronie,
Radość i nędzę tych ludzi, burze i pokój tych czasów!
On słyszał każdy brzęk kielni, wznoszącej dumnie te
gmachy,
Wiekami poźniej z tych gmachów, każdy stuk padłej
dachówki,
Aż wszystko legło ruiną, na jego ciemne podziemia,
Co go zakryło od zguby; tak nieraz biedne pachole,
W nocy grabieży i rzezi, jedno zostanie przy życiu,
Pod stosem trupów schowane, krwią ich ocickłe dymiącą.
O ranku zbiegną się ludzie, śledzą, wołają na żywych,
Pachole oddech stłumiło, nowego mordu obawą;
Głosy rozróżnia przyjazne, znajomą odzież i lica,
Zalękłe jednak, zdurzone, milczy na prośby i groźby.
A gdy ochłonie z popłochu i zacznie straszną im powieść,
Powieść tak pójdzie nieładem w zwikłanej myśli osnowie,
Jak dzikie gwary szaleńca, brednie trapionych gorączką.
Co do mnie, choć od półwieku ta mię odziewa siwizna,
Chociaż mię, starzy już nawet, swym nazywają pra-
dziadem,
Lecz gorzkie dziecko, gdy wspomnę, że na tych gruzach
igrałem,

Sądź, ile czasów i ludzi tu przeciągnęło nad niemi.....
Ludzie i czasy! oh może śmieszy to ciebie, mój Panie,
Że pismiennemu, ja prostak, chcę cóś nowego powiedzieć!
Wy macie xięgi, tam wszystko to zapisane bydź musi,
Co, jak i kiedy, gdzie było, że bydź nie mogło inaczej;
Ztąd dumni, lepsze i większe dla swej chowając nauki,
Co niezbadane a dziwne, nam porzucili z przekąsem.
Takżeście mogli swą karmię spożyć niebacznie i chciwie,
Że wasza głodna ciekawość łaknie dziś strawy tej lichej,
A nasycona, kto zgadnie, wzgardąż nie zelży gościnność,
Nie nazwie powieść, czczą brednią, dziecinnym starca gadułą?
Dla cudu zasług potrzeba; wiary dla dziejów tajemnic,
Rozum źle widzi, patrz sercem, z czuciem młodzieńca i wiarą;
Bo zimny promień rozumu, serce tak ciepłe ognisko!
Chociaż mniej jasne, niepewne, dziwne, jak właśnie co powiem:

Nadeszła zima, wiatr po zamieci,
Leci a wyje, wyje a leci,
A noc zimowa tak ciemna, mroźna,
Że człek przed sobą śladu nie pozna,
Brnie wciąż na oślep, krzepnie, upada,
A zamieć po nim przeszła i — biada!...
Kiedy tak głucho, martwo w około,
W zamku Stolnika szumnie, wesoło,
Wesoło, szumnie, hucznie i ludnie,
O nocach światło, jakby w południe.

Stolnik się żeni, Pan to nie z panków,
Dwunastu włości, ośmiu zaścianków,
Otrąbił ucztę na trzy powiaty,
Zapalił beczki na czterech drogach;
Pięć dni z moździerzy biją wiwaty,
Pięć dni na pańskich tańczą podłogach.
Ale gdy radość świtą, kto zgadnie,
Zkąd przyjdzie burza, piorun wypadnie,
Stolnik to nie zgadł, wesoł, rad, hulał
I młodą, piękną żonę przytulał.
Tak od niedzieli aż do niedzieli,
A gdy się goście na rozjazd mieli,
Pan młody poił w ostatnie drużbę,
A Pani hojnie darzyła służbę.
Czeladź a dworzan i tłum ubogi,
Co w koło pańskie oblegał progi.
Samotna, niema, ciżbą zakryta,
*Stała na stronie jakaś kobieta,*
Na wszystko, zda się, głucha, niebaczna,
A na niej odzież pstra i dziwaczna,
Z różnych okrajek, licha, zszargana,
Na takie zimno, taka łachmana!
A choć dziś licha, sądzić należy,
Że na to z lepszej przyszła odzieży;
Choć twarz tak nędzna, pobladłe czoło,
I wzrok co dziko błądzi w około,
Dłoń wyschła, warkocz spadły bezładnie,
Czém była niegdyś, zgadnąć to snadnie.
Wielu też może, co ją ujrzeli,
W doli i szacie lepszej, tu znali;

Lecz dziś ją poznać, witać nie śmieli,
I obce zimne twarze skłamali.
Każdy w milczeniu zdala ominął,
Jeden drugiemu cóś szepnął, skinął.
Aż, po kolei gdy panna młoda
Wita uprzejmie, dary jej poda;
Wstecz się rzuciła, zaszła w rumieniec,
Cisnęła okiem wzgardliwie, dumnie;
»Precz mnie z twym darem, droższe są u mnie,
Któreć przynoszę z serca na wieniec,
A jakby kradzież, wróćęż ukradkiem?
Nie, w obec dworzan, służby, kapeli,
Idźmy gdzie szumią goście weseli,
Niech twój pan młody będzie ich świadkiem."
I wionie lekka, przez dziwne moce,
Na ludnych komnat rząd długi,
Sprasza za sobą pany, a sługi
Przyzywa, klaska, chichoce.....
Walą się tłumy z prawa i z lewa,
Skinęła, milkną;—i śpiewa:
»Witaj mnie, panie młody, ochoczy,
Co się w czas umiesz weselić;
Pozdrów nas przecie, nie kryj tak oczy,
Chcę twoję radość podzielić.
Przynoszę dary tobie na wiano,
Ceną kupione zbyt drogą,
Ustroisz niemi żonę kochaną
I na mnie wspomnisz ubogą.
Kosztowny pierścień odbierz z tej ręki,
Cacko to znane ci, może?...

Dałabym jeszcze, lecz nasz maleńki
Śpi, tam w zarośli, na górze.
Nie śmiałam budzić, sen ma tak cichy,
Skłócić te mógłby łzą gody,
Pozdrowień twoich zatruć kielichy,
Szlachetny panie nasz młody.
O niech wypocznie, wiosną obudzę,
Wyjdę z nim igrać na rosę;
Czujne psy uśpię, straże ułudzę,
Co noc do zamku przyniosę.
On was uściśnie, czule obejmie...
Lecz się nie dąsaj, nie zgrzytaj,
A za wieść dobrą, pozdrów uprzejmie,
Dawną znajomę powitaj:
Oh kwili, kwili, znam go po krzyku,
Ziębnie tam, może się stracha;
Lecę, bądź wesoł panie Stolniku,
Do *widzenia* się — *cha, cha, cha!..*"
Krzyknęła, *znikła, tylko* po sali
Świetny się piercień zatoczył,
A choć tak wszyscy na to patrzali,
Nikt doń i za nią nie skoczył.
Pan młody, zda się, oniemiał, zgłuchnął,
A nie był przecie już pjany,
Aż jak szalony, gniewem wybuchnął,
Wrzasnął na sługi, dworzany:
»Łowcie, krępujcie, w ślad mnie hołoto,
Porwać tę wiedmę z motłochu,
Związać ją, na dno rzucić do lochu,
Jutro niech w koło ją wplotą.

Oh nie, wraz, dzisiaj, tu przed oknami
Ściąć ją, powiesić, to mało,
Roztargać końmi, rozszarpać psami,
Pan wyrzekł i tak się stało....

Jesień już, jesień, bo czas tak płynie,
A w nim tak wszystko dojrzewa:
Uciechy, nędze, ludzie i drzewa,
Tu, na tej płaczu dolinie.
Lecz, gdy tak cicho, posępnie w koło,
W zamku Stolnika szumnie, wesoło,
Wesoło, szumnie, hucznie i ludnie,
O nocach światło, jakby w południe,
Długoż samotniał, niewidzian prawie,
Po młodej żony nagłym pogrzebie;
Czemuż tak razem odludnił siebie?
Któżby śmiał o to badać ciekawie.
Aż znowu naścież rozwarł komnaty,
Rozesłał gońce po czterech drogach,
Otrąbił łowy na trzy powiaty,
Zagrzmiały rogi wciąż po rozłogach.
Ciągnie na lasy myśliwa tłuszcza,
I całém gardłem zawrzała puszcza.
A wre tak ciągle ode dnia do dnia,
A pan się bawi już od tygodnia.
O nocach hula, o rankach śledzi,
Łożyska wilków, dzików, niedźwiedzi.
Wielkież to były puszcze tych czasów,
Jako świat dawne, jak przeszłość ciemne;

Ochocie jednak zabrakło lasów,
Zwierz padł lub pierzchnął, czaty daremne.
Był jeszcze ostęp gęstwi jodłowej,
Tam ślad nie postał żywego ducha,
Gdy Pan go nazwał, podszedł gajowy
I cóś trwożliwie szepnął do ucha;
Stolnik się zdało, zmieszał i zdumiał,
Jak gdyby począć z sobą nie umiał.
I — hola naprzód! długo nie myśli,
Nie cofa, zmienia, co raz zakryśli.
A gdy ktoś mruknął pomimo świadki,
Że, jak w ostępie grób waryatki,
Nikt zeń bez szwanku nie wyszedł wcale,
Pan krzyknął: wara, w łeb ci zapalę!...
Krzyknął, służba pędzi lasem,
Każdy w zawod konia sunął,
Wrzask myśliwych z psów hałasem,
Jedném *długiém echem* runął;
Runął, warczy przez parowy,
A Pan woła: to mi łowy!
Piérwszy dotarł, łanię zoczył,
W pędzie za nią jezdnym skinął,
I jak strzała w ślad poskoczył,
I w lot strzelce, psy wyminął...
Lecz któż woła, Pan Bóg z nami,
Klnie się, żegna, prawi, pyta:
Czy kto widział? tuż przed psami
Dołem, górą, mknie kobiéta,
Mknie, a dziecię ma u łona,
Rozczochrana, okrwawiona...

Czy to mara, urok pusty?
Aż tłum strzelców wypadł z kniei,
Przysiągł na to piąty, szósty,
Cała zgraja po kolei.
Lecą, krzyczą: Panie, Panie!
Lecz cóż nada, pędzi czwałem,
Klnie a woła: »strzedz mi łanię,
Jakiej nigdy nie widziałem!
Tu, tu, za mną, hola, żwawo!
W skok przeze mchy, okien bezdnę,
Pędzą strzelce w lewo, w prawo,
Gdzie przed nimi grzmi pojezdne;
A grzmi coraz dalej, dalej.
I zacicha, gon psów głuchnie...
Tylko słychać jak szum fali,
Kiedy powiew na nią dmuchnie,
Jak pieśń chichot i klaskanie:
»Do nas, do nas, luby Panie!...”
Lecą na głos, przylecieli,
Milknie w koło, darmo krzyczą,
Tylko słychać u topieli,
Rozpłoszone psy skowyczą;
Toż jezioro? w imie Boże!
Jak się wzięło, zkąd wybiegło?
Gdzie ów padoł i rozdroże
Dwuch samotnych mogił strzegło...
I dreszcz zimny obiegł w koło,
I zalękłe wciąż milczenie,
A gajowy potarł czoło,
Szepcząc: »wieczne odpocznienie....”

# ŚWIĘTE JEZIORO.

*(Biało-ruska.)*

Po lewej stronie drogi od Kijowa,
    Ledwo wyjedziesz za knieje,
Jak okiem rzucić u stop Mohilowa,
    Piękna równina widnieje.
Tu Dniepr półkolem brzegi jej oblewa
    I toczy siebie nieskoro,
Tam po na wzgórzach zielenią się drzewa,
    W końcu równiny jezioro.
Wielem też o niém nasłuchał się baśni,
    Lecz nic się pewnie nie dowiem,
Aż mnie przypadek całą rzecz objaśni,
    A jak to było opowiem:
Jadę raz, konie wóz zaledwo wloką,
    Ciągnąc się nogę za nogę,

Kurzawa dusi, a słońce wysoko,
    Skwar, znieść pragnienia nie mogę.
Jakby tu począć: »posłuchaj Antoni,
    Nie ma się po co zbyt kwapić,
Zaczekaj chwilkę, wszak piana u koni,
    Czybym tu nie mógł gdzie napić?”—
»A już-ci miasto od nas niedaleko,
    Ściągnąć doń musim koniecznie.”—
»Patrz, tam jezioro,”—»oh, wiedźmy urzeką,
    Kto go nawiedzi bezpiecznie.
Żaden tam nigdy nie powstanie z ludzi,
    W znojniejszej stokroć godzinie.”
Czemużby przecie? ciekawość mię budzi:
    »Bo z wieków jakoś źle słynie.
W każdym tu razie trzeba bydź ostróżnym,
    Żeby ujść chorób, boleści.”
Stary woźnica mruknął głosem trwożnym,
    I tak przyczynę obwieści:
»Gdzie te samotne błękitnieją wody,
    Była tam wioska zamożna,
Stwórca od wszelkiej ją chronił przygody,
    Bo wioska była pobożna.
W sprzęt, bydło, konie, zamożni rolnicy,
    Zazdrościł kraj im daleki.
Obfitych plonów żyta i pszenicy,
    Nie pomieszczały zasieki.
Bóg błogosławił starych gospodarzy,
    Bóg błogosławił ich dziatek.
Głód w okolicy bywało się zdarzy,
    A u nich wszelki dostatek.

Domy jak pańskie, każdy z ogrodem,
W gumnach aż ciasno od zboża;
Gęste chmielniki, ule pełne miodem,
Na wszystko łaska tam Boża!
Cerkiew pośrodku wsi wybudowana,
Wzniosła ją gminy pobożność,
A przy niej piękny domek dla kapłana,
Świadczył na kmiotka zamożność.
Byłoć tak długo, o czemuż nie zawsze!
Bo gdy zapomniał lud Boga,
Grozić poczęło Niebo, wprzód łaskawsze,
I głodu spadła nań trwoga.
A więc do pracy, bez wstrętu i śmiele,
Kto ile tylko sił czuje,
W dni uroczyste i święte niedziele,
Z rana do zmroku pracuje.
Dzień nadszedł wzięcia do Nieba na wieki
*Przeczystej Bogarodzicy*;
Śpieszy lud na msze bliski i daleki,
A tu na pole rolnicy.
Napróżno kapłan zagrzewa do cnoty,
Napróżno gromi i błaga,
Gdzie podła chciwość wiedzie do ślepoty,
Mało tam rada pomaga.
»I będziesz kornie szanował dzień święty!
Dziatki, to Boże nakazy;
Kto ich nie słucha, przeklęty, przeklęty!
Ach on przeklęty sto razy!”
Rzekł, i nadbiegła sprawiedliwość Boska,
Błysnęło Niebo, grom runął,

Wstrzęsła się ziemia, zapłonęła wioska,
A grunt ją w przepaść osunął.
I z tej przepaści woda dziś wytryska,
Ludzie tej wody nie biorą,
I ztąd dlań poszły dwa sprzeczne nazwiska:
Święte i Straszne jezioro.
W dzień trapi nawet trwogą i kłopotem
Do swej zbliżonych topieli;
Lecz przez noc całą, aż strach wspomnieć o tém,
Dziwne tam rzeczy słyszeli.
Kilku raz śmiałków, zaległszy na ziemi,
Ku wodzie ucho gdy skłonią,
Słyszało jawnie, że łzami rzewnemi
Płaczą i w dzwony tam dzwonią.
I brzmiała ciągle w głębinie jeziornej
Kapłana święta przestroga;
Gorące modły, jęczenia pokorne,
Niewcześnie słanc do Boga.
Ale czas przyjdzie, ich mękę zakończy,
Jeżeli wierzyć siwiźnie;
Jezioro znowu w podziemia się wsączy,
A wieś z wód łona wyśliźnie.
I znów zakwitnie w najobfitsze żniwa,
I będzie wioska zamożna;
Bo wioska będzie korna i cnotliwa,
Bo wioska będzie pobożna."

*1829 r. Mohylow.*

# ROTMISTRZ DRĄŻKOWY.

*(Ze wspomnień starego, ostatniego sługi).*

Idąc czy jadąc mimo wioski mojej,
Gdyby zajść chcieli podróżni ciekawi,
Kędy krzyż wielki, pochylony stoi,
A starzec, zda się, plonom błogosławi,
Co, chyląc kłosy ku jego podnożu,
Szemrzą, jak pacierz, o wiatru powiewie:
Gdyby kto, mówię, stał przy nim na wzgórzu
Taki, co dziejów tych okolic nie wie,
Snadźby osądził, że i ten zakątek
Karał Bóg głodem, powietrzem lub gradem...
Oh nie, dla cięższych on wyrosł pamiątek;
Zajścia i waśni z burzliwym sąsiadem;
Bo, gdy twarz gniewną Niebo wypogodzi,
Gdzie plonu, człeka zabraknie i śladu,

Tam plon i człowiek dziwnie się odrodzi;
Ale, zły sąsiad, w czas klęski nieładu,
Nie da o sobie zapomnieć tak snadnie,
Jak ów Pan Rotmistrz, w swawoli zapasie,
Ile nabroił, kto zliczy a zgadnie,
O naszym przeszłym, opłakanym czasie.
Znać Ten, co bierze pamięć i rozsądek,
Nim za grzech, ludom ciężką zrzuci karę,
Tak im dopuścił, aż nowy porządek,
Wszystkich, pod jedną pchnął wagę i miarę. —
Owoż, Pan Rotmistrz tak niegłośny pierwiej,
W czas praw letargu bez mocy i sądu,
Przed stróżą nowych a na dawnych przerwie,
Siadł, wielkim żydem, na karcie bezrządu.
Więc zdradzał, knował? mógłby kto powiedzieć;
Nie, on był tylko do kufla i stągwi,
I niech mu grzechów Bóg raczy nie wiedzieć,
Jak on swej nigdy nie widział chorągwi;
A walczył przecię, świadczy okolica.
Zarzecze, Horki, Stefanow, Zornica,
A walczył długo, lecz nie z cudzoziemcem,
Snadź nimi gardził, tak z Memelskim Niemcem,
Co słysząc, że go ktoś Rotmistrzem witał,
Z knechtów czy jazdy? gdy jak ziomka spytał:
Precz djable! czmychnął, a komu tak czmychnie,
Ten mu się więcej w obec nie uśmiechnie;
Przeczuł *her lejtnant*, bo nim wpadły sługi,
Przez ogród, chmielnik, uniosł się, jak długi.
I było przed kim, spójrzałem nań, dziecię.
Raz tylko, nigdy nie zapomnę przecię,

Gdy tu, przed laty, zajechał w gościnę,
Nie źlem go zdołał widzieć przez szczelinę:
Choć, tak już siwy, postać hajdamacka,
Nosił się, jakoś z Węgierska i z Lacka;
Barczysty, krępy, z długim do plec włosem,
Z sinim, jak śliwa, narostem czy nosem;
Pjanym rumieńcem zapalone lica,
Słowem, wyglądał, jak pełnia xiężyca;
Pił wielką miarą, a gdy tej już dopił,
Głowę w ramiona, oczy w brwi utopił;
A potém ciągle przymawiał i czmychał,
Patrzył do koła, szyderczo uśmiéchał,
O dawnych czasach dziwne plótł androny,
I że tu, niegdyś, hulał nieproszony.
Zawsze pod starość, tém zazwyczaj kończył,
Z przechwałką próżne pogróżki rad łączył,
Lecz był już cicho, prócz, że o tej porze,
Łowią mu *włościan* w świrnach lub oborze,
A Rotmistrz sądzi i karci tak snadnie,
Zły schow, czy kradzież? nie każdy odgadnie.
Lub na granicznej jeziora zatoce,
Gdy szarpią niewod zaczepy i kloce,
Zkąd się to wzięło, kto zgadnie lub dowie,
Choć pozna, zgadnie, nie każdy wręcz powie.
Jakkolwiek było, te i owe sprawki,
Jeśli rad czynił, to snadź dla zabawki,
Przez nałóg tylko a z myślą niezdrożną,
Poczynać z cicha gdy głośniej nie można.
Lecz byłże takim w owe sławne lata,
Kiedy dziarskiego dosiadłszy bachmata,

Biorąc na siebie cudzych pol dożynek,
Płoszył sąsiednie włości Bernardynek?
Gdy sąd go karci, *in deletis bonis*,
Wieżą, *sub penis contraventionis*,
A to po cichu, nocą i zaocznie,
Junak, szedł, izbę otoczył niezwłocznie
I w moc odwetu, nad struchlałém gronem,
Trzykroć na *salve* dał ognia plutonem.
Niechże w sąsiedztwie gdzie balik zaświta,
On piérwszy z gości na ucztę zawita;
Tam wrogów, drużby, rad nie wie i nie zna,
(Tak, ów, bił Sasy i gościł wśród Drezna),
A że mu mu snadnie do czary i wojny,
Stąd Rotmistrz zawsze i konny i zbrojny.
Choć sam, rej wodzi i ucztuje z pany,
Lecz kozak czuwa a koń osiodłany.
Wyjeżdża wkońcu, po zarękach długich,
Dla jednych względu, przyjaźni dla drugich;
Gospodarz rady do ganku poskoczył,
Gdy ten już dosiadł i koniem zatoczył,
Dziedzic się kłania i żegna go czule,
A Rotmistrz wdzięczny szle za nim dwie kule.
Tak, *extra limen*, choć rad figle płata,
W domu gościnny, jak prawy Sarmata,
Nie szczędzi jadła, win i przepalanki,
Tylkoż mu trudno dotrzymać hulanki;
Pij, pewny w końcu, aplauzu lub kary;
Bo kto się poda, przed potęgą czary
Kto legnie piérwszy i swą kolej straci,
Ciężkim tę winę haraczem opłaci.

A gdy sam uległ, któżby się spodziewał
Że go przepiją! dąsał się i gniewał.
Wbrew wielbiąc, wówczas, skrycie nie pobłaży,
Jak to raz było, gdy od Sieńskiej straży
Z poza kordonu na ucztę junacką,
Zebrał do siebie starszyznę kozacką:
Tęgież to głowy, co nic tracąc chwili,
Dwie nocy ze dniem bez szwanku przepili,
I dwa dni z nocą wciąż jeszcze, a przecie
Każdy mógł, w razie, stanąć na wedecie.
Rotmistrz w ostatnie brał przed się i zżymał;
Stało się! pierwszy kroku nie dotrzymał;
Legł, lecz nie upadł; chwała kto tak legnie!
Cześć, komu z siłą, dzielność nie odbiegnie!
Słabe to duchy razi strach niemęzki,
Gdy Rotmistrz, woła, potężny śród klęski:
»*Si illabatur orbis* a nie zginę
»*Inpavidumque ferient ruinae!*
»Wam pierwsza sława dziś z *Bacha* uznoju,
»Lecz czyście równie tak wprawni do boju?»
Co? my do boju?— nastrzępili wąsów;
Nuż z nim w przekąsy, Rotmistrz rad z przekąsów,
Podsadził minę i uciecha nowa:
»Pomniż kto z Panów szturm do Oczakowa?
»Ha nikt, więc dobrze, będzie szturmu próba,
»Bo jak to było, wiem z ust Sołohuba.»
Zgoda i Amen; koni, krzyczą, koni!...
Wionęli, tuman im wzbił się w pogoni,
I Rotmistrz w zawod, tak słaby przed chwilką...
A toż więc czary, lub udawał tylko;

Bo, że mógł hasać na dzielnym wierzchowcu,
Wie płot i parów na każdym manowcu;
Lecz jeździec z jeźdzcem, koń z koniem, różnica,
A koń i kozak,— wiatr i błyskawica!
Ba, więc dziw widać, tam górą rej wiedzie,
Patrz, słabną wiatry, bekieszka na przedzie!
Stanął, dobiegli, zmieszani widocznie;
Rotmistrz, co zdał się nie zważać, tak poczuie:
»Jakem więc mówił, Sołohub Pólkownik,
»Co niegdyś u mnie bawił jak domownik,
»Pijąc brat za brat przy trąbie i surmie,
»Cuda nam prawił o tym sławnym szturmie.
»Tak był Oczaków; ztąd, Liman przedmurzem
»Legł mu, jak owo jeziorko za wzgórzem;
»Tu szańce, fossy, a jak tamte drzewa,
»Janczary z prawa a Tatary z lewa.
»Teraz więc przed się baczność i ochotę,
»Wziąć tę na piki lub zdeptać piechotę,
»I dalej, marszem ubocznym, przez parów,
»Odciąć Nogajską jazdę od Janczarów,
»A potém, runąć piorunem na Chana,
»Zbić, zmieszać, resztę wpędzić do Limana!...
»Brawo Pan Rotmistrz!» a na zgody wsparcie,
Z kolei, duszkiem wypili po kwarcie.
Nim zatém wojak swoje półki sprawi,
Mgnieniem plac boju obejrzym ciekawi:
Tam, kędy radzi z Hetmanem starszyzna,
Polem szerokiém ciągnie się płaszczyzna—
Skarb to dla jazdy, wzdłuż do rzeki brzegu;
Z przodu jeziorko, kres szturmu czy biegu;

Tylkoż sęk właśnie, gdzie z równiny góra
Leci urwiskiem w przepaść do jeziora,
Ztąd zejść niesnadnie a cóż jeździec pocznie...
Krzyknęli, pędzą, szaleni widocznie.
Nie zdąża Rotmistrz, bo mu koń się wspina:
Baba, nie Rotmistrz! woła nań drużyna,
On na nich: w lewo, dla Boga, przez parów!
Nie słyszą, hurra! i wprost na Janczarów...
Nadbiegł zdyszany, po szkodzie, zapoźno,
Patrzy, dwa konie pobiegły już łożno,
Dwa drugie nazad chromieją ku górze,
A cała jazda kąpie się w jeziorze;
Ci klną a tamten woła na wojaków:
Cześć wam i chwała! niech ginie Oczaków!
Żart choć zaciężki, lecz drużnie skończyli,
Gdy sińce, guzy, węgrzynem zapili;
Bo niech, kto mądry, zdoła tu wyśledzić,
Trafem czy sztuką, dał się im wyprzedzić,
Ów Rotmistrz właśnie, co tak nie pobłaży,
Kto mu brać czoło przy kuflu odważy.

Z tych kilku rysów, które czas zacienia,
Ledwo już widnych przeze ćmę wspomnienia,
Danych, na czarno, przez powiastek krocie,
Czém był, jak zgadnąć, ten człowiek w istocie.
Dawnoż... a zda się, sto wieków prześniło,
Tak się to w mgnieniu rozgadło, zmieniło;
Dziwnieśmy inni, choć z tak bliskiej mety,
Że wieść, jak bajka, prawdziwa niestety!

Z nich jedną taką, z ust świadka, jak słyszę,
*In bona fide* ciekawym wypiszę.

»Rzeczką, tam kędy rozdroże z kurhanem,
Graniczył Rotmistrz z naszym niegdyś Panem,
Dom z domem w obec, że zbyt wszakże blisko,
Dalsze w ustroniu wziął sobie siedlisko,
Na zrębie puszczy stawiąc dwór i sioło;
Pan wątpi? prawda, pnia nie ma w koło,
Gdzie mym oszczepem, jak tamta pszenica,
Szczwana w załomie, legła niedźwiedzica,
Świadkiem... Oh zkądbym dziś tu świadka dostał,
Gdym, widz i świadek ostatni, pozostał.
Nowy ten dziedzic, z urzędu był Sędzią,
A choć, jak mówią, swą mierzył się piędzią,
Lecz z chwałą liczne niosąc obowiązki,
Miał w koło swoje stosunki i związki;
Jak brat, za szlachtę stał w każdym obrócie,
Gościnny, grzeczny i biegły w Statucie;
Gdy Rotmistrz, co tak nie jednego zaciął,
Nie mógł na swoich dość liczyć przyjacioł.
Choć go wsparł nie raz, ów bannita Miński,
I z Bobynickim, sławny Pan Boliński,
Choć Wojewody w czas doznał faworu,
Tak mu nie z worka a równy z humoru;
Lecz owi panki a sam Wojewoda,
Raz na Sejmikach, gdy się los nie poda,
Ścigan w Uszaczu przez Bujnickich stronę,
Trzepał w zakrystji *pod Twoję obronę*...

Kędy, salwując pod ciężkim momentem,
Za przenajświętszym skrył się Sakramentem.
Nie przetoż Rotmistrz mniej ważył od innych;
Miał i on swoich krewnych i powinnych,
Głowę i ramie nie w jednym opoju,
A tacy właśnie najlepsi do boju.
Ztąd, jeden wojnę, a drugi niosł skargi,
Pan Sędzia pozwy, Pan Rotmistrz zatargi;
Ząb za ząb wiecznie a na kolej wszelką,
Ten czuwał z piórem a tamten z szabelką.
Lecz bieda nie śpi, kto u niej na celu;
Dziedzic spokojny po zabiegach wielu,
Gdy jakoś zcichło, czujności zaniechał
I do Uszacza na sądy odjechał.
Sędzia za wrota, a Rotmistrz w gościnę,
Bo mimo waśni, poważał Sędzinę,
Konno i zbrojno, z razu niebezpieczny;
Lecz znalazł *gości*, *był mówny* i grzeczny,
Bawił się długo, a gdy wraca czwałem,
Ktoś go z zasadzki powitał wystrzałem.
Czmychnął i na dym rzucił się do krzaków,
Ale zmrok jeden dwuch zawiodł junaków.
Więc pędem nazad, jak gdyby z pogromu;
Czy że tu bliżej było niż do domu,
Lub co już knował, a tylko po nocy,
Rozsadził wrota, tłukł we drzwi, co mocy,
Klął, łajał... Pani strwożona nie mało,
Gdy nie wie, co tu stanie się lub stało,
Bo wciąż o zdradzie bełkoce i pieni,
Wskazała mocniej drzwi zawrzeć od sieni;

Lecz on już pomknął, tylko słychać, biada!...
Biada, zaprawdę, komu tak powiada.

O! piękne lato, gdy wieśniak wesoły,
Przez tydzień zbożem zawala stodoły,
A syty plonu, w dzień świętej niedzieli,
Z drużbą a służbą rad w dobre podchmieli!
Nie źle tak począć, w dzień piérwszy tygodnia,
Lecz zkąd te zjazdy u Sędziego co dnia,
Gdy Sędzia w grodzie? zkąd tak w jego domu
Gość liczny, zbrojny, jakby groził komu?
Młodzież, pyszałkom co wraz utrze nosa,
Z Rotmistrzem wszyscy, jak z kamieniem kosa,
A krewni Sędzstwu, jak tyczka po chmielu,
Albo, dziesiąta woda na kisielu.
Ludnie, bezczynnie, dzień za dniem tu idzie,
Spłotłże kto duba o grożącej biédzie,
Zemstą, najazdem pofałszował wieście?
Bo, co tu pocznie, choćby wpadł nareszcie?
Ubiedz nie snadnie, gdzie tak wciąż się włóczą,
A wbrew, toć zaraz mores go nauczą.
Już ci nauczą, jednakże nie wróży
Dobra ztąd nadal, z Woźnym Podkomorzy.
Wprawdzie nie widać tam żadnych poruszeń,
Mógł jak pogróżek, zaniechać pokuszeń;
Dziś, ledwo przed kim, skarży się i złości,
Lecz, czy jak w ustach, w sercu Jegomości?
Co, gdy śpi nawet, nie bywa mniej groźny,
A ręczy za to z Chorążym Oboźny.

Snadź więc zważywszy jak tu rzecz podobna,
Przysięgli czuwać razem i z osobna;
Trzebaż, na biédę, wpadł z lisem gajowy:
Krzyknęli, baczność! — i poszli na łowy.

Ranek był cichy, posępny, wilgotny,
Nie znać, dzień będzie pogodny czy słotny,
Co wiedzieć wszakże siła na wsi waży;
Bo dzień, jak złoto, drogi dla żniwiarzy,
Kiedy, w czas dobry, na polu tak ludnie.
Mgły rzedną, słońce weszło na południe,
Choć późno, zda się większym blaskiem wschodzić,
Jak gdyby chciało swą zwlokę nagrodzić.
Zajrz teraz światu od kąta do kąta,
Jak żywo rolnik, tu sieje, tam sprząta;
Lecz po co będziesz chodził gdzie daleko,
Patrz, *białym ślakiem żniwiarki się wleką*;
Widzisz tę sierzpów srebrną błyskawicę,
Co wdłuż migoce, z pnia waląc pszenicę?
Już skwar wolnieje, słońce jawniej zniża,
Tam ode dworu, Pani się przybliża;
Lube żniwiarkom takie odwiedziny,
Matka nam była z tej Pani Sędziny,
Świeć tam jej Panie! gdy zwiedzała pole,
Zawsze coś niosło, w ślad za nią, pachole,
A za nim dworne i chłopce i dziewki,
Sér, dzbany z piwem i z mlékiem nalewki.
Owoż nadchodzi, lecz nim o co spyta,
Rada drużyna piosnką wraz powita;

Ba piosnki u nas sypią, jak z rękawa,
Gdy Pan nie hardy a Pani łaskawa,
Względy swym kmiotkom niosą w upominek,
Tam radzi śpiewać co dzień jak w dożynek.

### Pieśń Żniwiarek.

Sajetowe Pańskie szaty,
Piękne sady i komnaty,
Brogi, stogi pełne zboża,
A na polu łaska Boża.
Nieprzebrane jego zbiory,
I pasieki i obory;
Bujne łąki, żyzne niwy,
Bóg mu szczęści dobrotliwy.
Lecz nad sady, nad pokoje,
Milszą posłał mu dziewoję,
Jak słoneczko, jasnolicę,
Młodzicę, krasawicę.
Idzie do nas, z piwem, miodem,
Bo śpiewamy korohodem;
Idzie z łaską i uśmiechem,
Bo jej żniemy łan z pospiechem.
Gdzie, nim spadnie biała rosa,
Nie zostanie ani kłosa,
Wówczas, miody wypijemy,
Panią wiankiem ustrojemy.

Gdy tak śpiewają, Wójt stojąc na wzgórzu,
Długo z pod ręki, patrzył ku rozdrożu,

Zbladł nagle, skinął im laską i głową,
Schylił się, powstał, by przysiąśdź nanowo;
Raz jeszcze spójrzał, zkąd się tuman wzbija
I krzyknął: Najazd! broń Jezu, Maria!
Tam, od granicy najazd, kara Boża!
I w mgnieniu wszystko prysnęło do zboża...
Tak pada w chrósty biały tłum gołębi,
Gdy się nad smugą przemknie lot jastrzębi.
Bliżej a bliżej mgła leci ugorem,
Wprost na dwór Pański, cóż będzie ze dworem?
Gdzie, jak to na wsi zazwyczaj, z południa,
Ludnieją pola a dom się wyludnia.
Kilku próżniaków ma tam czuwać niby;
Lecz, ci do karczmy, owi w las po grzyby,
Strawny z woźnicą gdzieś chrapią za domem,
W domu więc tylko Pisarz z Ekonomem.
A Pisarz młokos, na sam widok zgrozy,
Oknem, parowem, co żywo do łozy.
Jan Macedoński (dziwny zbieg nazwiska!
Nie król, ekonom) sam tu sławę zyska.
Jak nie raz dotąd, tak i dziś, rad nie rad,
Ten ex-Bernardyn i ex-Konfederat.
Gdy, z krzykiem do wrot tłumne chłopstwo wpada,
Patrzy, ha ptaszek! wziął na cel sąsiada,
Co w bramie, z konia dowodzi i czmycha,
Palnął przeze drzwi i chybił, do licha,
Na szczęście może, bo po tym obroku,
Dowódzca naprzód nie zrobił i kroku.
A tylko krzyknie do swoich, czasami:
Pjanych a zbrojnych dzidami, widłami!

Bij w okna, we drzwi, wciąż na cztéry końce!
A ci już wpadli i tłuką obrońcę...
Oh zdrajca pisarz, Jan nieszczęsny woła;
Tłum szuka zdrajcy, rozbiegł się do koła,
Właśnie jak w porę, gdy tamten śród lasu,
Porwawszy konia piérwszego z wypasu,
Bez uzdy, siodla, więc się ujął grzywy,
I kłusem, czwałem, na hałas myśliwy.
Z razu szło nie źle, trudna w końcu rada
Z tępym szłapakiem, choć go wciąż okłada,
Giestem i słowem zagrzewa jak może,
Aż pomknął wreszcie i wpadł z nim we zboże,
Owies dojrzały jął zmiatać jak kosą;
Ztąd go już żadne moce nie wyniosą.
Darem nań z góry wołano a klęto
I bito w pauzach kułakiem i piętą;
Zsiadł, skropił jeszcze, nim pieszo znów dalej,
A ten mu wierzgnął i tak się rozstali.
Ach, czemuż nie w czas, te zgubne ochoty,
W jednym do jazdy, w drugim do piechoty;
Co, gdyby nie to, jakże piękne pole!
Lecz już zapóźno; znać dały patrole,
A więc w ostatnie, nim odwrót zatrąbią,
Co w oczy wpadnie gdy tłuką i rąbią,
Z gumien i z bramy placówka znów strzeli:
Wypadli, wsiedli i na łeb pomknęli...

Cicho a głucho na Sędziego dworze,
Tak cicho głucho, jako nigdy może.

Wiatr nawet, zda się, ztąd wymknął ukradkiem,
Jakby strwożony tym dziwnym wypadkiem;
Tak milkną letnie nasze piękne noce,
Gdy człek nie łaje, ptastwo nie świegoce,
A duchy tylko w starym błądzą gmachu...
Lecz tu dzień biały; o mocy postrachu!
Ileż ci ofiar niesie ród człowieczy,
Tu, blisko nawet... słychać gwar odsieczy,
Tentent i rżenie a straż przednia z psiarni,
Pierwsza dopada — rozwartej mleczarni.
Jazda za nimi obses, długim ciągiem,
Strzelec z dwururką, a dojeżdżacz z drągiem,
Bez czapek, chustek i konno i pieszo,
W ślad im, zziajani, na wyścigi spieszą,
Na gwałt, na głowę, przez honor i wiarę,
Całe do nogi *brachjum militare.*
Już wpadli na dwór: pomsta! każdy krzyczy,
Bij łotrów, woła z Miecznym Budowniczy.
Pomsta! gdzie? na kim? spójrzeli i zgadli,
Jak nie w czas wyszli, zapóźno dopadli.
Wchodzą do domu, do ruiny domu;
Jakiż to obraz gwałtu i pogromu!
Stłuczone okna świecą z bojowiska,
Szafy i stoły legły na zwaliska.
Drzwi połamane, zrąbane podłogi,
Tu biust bez głowy i krzesło bez nogi,
Tam dzban bez ucha legł śmiercią rycerską,
Gdy swą do kropli przelał treść węgierską.
Oparty na nim, w rozdartej odzieży,
Z sińcami na łbie, ranny wojak leży,

Jęczy a duma, syt chwały i guzów,
(Jak ów Mariusz, wśród Kartagi gruzów)
Z podbitém okiem, na twarzy rozbrzękły;
Nie mógł go poznać cały tłum przelękły,
Aż, gdy na zdrajcę wojak spójrzał zezą,
Pisarz wykrzyknął: *quo numine leso!*
Tyżeś to, dzielny Macedoński Janie?
A Rycerz westchnął, oparty na dzbanie.
Jakaż więc rada, od czego tu począć?
Ci krzyczą: działać, gdy tamci: odpocząć!
A wszyscy: zemsta! niech nasz Sędzia żyje!
Dojeżdżacz z ganku, w róg bije a bije...
Ucichły wkońcu wiwaty i groźby;
Zaczął Pan Łowczy od rady i prośby,
Wstrzymać się z wojną, zaniechać pogoni
Nie w męztwie, słabszej i w liczbie i w broni;
Bo jeśli trafić na ślepo znienacka,
Co zaczął napad, dokończy zasadzka,
A choćby dopaść szczęśliwie i snadnie,
Że wręcz nie czeka z przyjęciem, kto zgadnie?
Radził więc tylko mieć się na odsieczy,
Nim wróci Sędzia i poczni w tej rzeczy.
Pomknął doń goniec o zachodzie słońca,
Sędzia o wschodzie już wyprzedził gońca,
Wpadł na dziedziniec niespodzian nikomu,
Spytał ponocnych, a Jejmość czy w domu?
Czy zdrowe dzieci, ekonom jak ma się?
I na wieść dobrą cały ożył, zda się.
Potém swych gości jął budzić pocichu,
Wszystkich, prócz szlachty na sienie i strychu.

Radzili skrycie, zmowa była długa,
Ale jej żaden nic podsłuchał sługa.
Dzień przeszedł, w nocy wezwano ukradkiem,
Siomkę z Mikitą do dworu, ja świadkiem.
A gdyśmy weszli do pokoju sami,
Pan wysłał chłopca, drzwi przymknął za nami,
Chodził, to siadał, coś mówić zaczynał,
Blady, zmieszany, mówił i ucinał;
Cedził przez zęby, to klątwę, to skargi,
Ważył się, gryząc paznogcie i wargi,
Aż, rzekł, stanąwszy, oko topiąc w oku,
Oh nigdy tego nie zapomnę wzroku:
»Dzieci, bo mogę tak nazwać mych kmieci,
»Gdy ich osłaniam, jako własnych dzieci,
»A Pani, byłaż wam Matką czy Panią,
»Mówcie, czy kiedy zapłakał kto na nią?
»Spytajcie waszych żon, matek, czeladki,
»Starców i sierot wezwijcie na świadki,
»Czém nie raz dla nich w ciężkiej była doli
»I czy was dzisiaj krzywda jej nie boli?
»Jej, w takim stanie, ubiedz tyle drogi,
»Lasem a górą, wśród znoju i trwogi,
»We łzach o domku, o dzieciach w rospaczy!
»Cóż jeśli... mówcie, kto zgon jej przebaczy,
»I kto nie gotów z zemstą na mordercę,
»Tu, jak przed Bogiem, mówcie mi, na serce!...»
Łza, jak odpowiedź, spłynęła nam z oczu,
Dziedzic zrozumiał, szepnął na uboczu...
Dodał: tak, nie tak; lecz wara, co gadam,
Przed Bogiem, ludźmi, sam to wyspowiadam.

Nocą a milczkiem wyszliśmy i doszli;
Wśród Filiponów smętarza, zarośli,
Zasiedli, w obec rozdroża do lasu,
Każdy z gwintówką i kordem u pasu,
Kędy zwykł nie raz ów ptaszek ochotny,
Rankiem do wiosek przeciągać samotny,
Tam, wzrokiem rysia na zdobycz z zapadni,
Próżno czyhali dwie nocy i dwa dni;
Na trzeci, znów nas wezwano do dworu,
A Pan, lepszego niż przed tém humoru:
»Cóż, nic? tém lepiej, są prawa i świadki,
»Zaprzestać, inak weźmiem go do klatki...»
Rzekł i w ślad pozwy sypnęły, jak gradem,
Brzemienne, gwałtem, rozbojem, napadem;
Warzy się kasza, we dworze i w grodzie:
Rotmistrz zbył tonu, jąka o nagrodzie;
Bo źle mu słychać, im dalej, tém sporzej,
O grzywnach, wieży, o jamie i gorzej...
On w układ, w zgodę, a Sędzia od zgody,
Jak człek od zwierza i ogień od wody.
Darem Pan Szemesz, sąsiad mu i krewny,
Przyjeżdżał, wracał, to smutny, to gniewny,
Sędzia się zawziął; Rotmistrz nie rospacza,
Zhasał podwakroć do Łużek, Uszacza,
Błagał Magnata, w łapki przed nim dmuchał,
Aż Wojewoda mu się udobruchał,
Przyrzekł Sędziego nakłonić ku zgodzie,
A ten poprawę przysiągł Wojewodzie:
»Swawola mówię; bo i zkąd to Waści,
Aż do otwartej wojny i napaści,

Na dom bezbronny, a słyszanoż gdzie to,
I z kimże jeszcze, chcieć walczyć z kobietą!
Wiesz, czém to pachnie? przestań mnie się łasić,
Nie z twoim trzosem takie sprawki gasić.
Godź się, powtarzam, przeproś, zapłać szkody,
Żle inak, próżne będą korowody,
Przegrasz, choć całą tu palestrę zakup,
Toć nie poradzi sam Spasowski Jakób.» (*)
Zgadł, próżny zabieg, Wojewody nawet,
Sędzia chce pomstą uderzyć wet za wet,
Więc go już zbawi, chyba cud wyraźny,
Przejście za kordon albo list żelazny.
Ale człek marzy, Bóg sądzi niemylnie;
Bo któżby przeczuł, że kędyś tam, w Wilnie,
Za świetną ucztą Pana Wojewody,
Przyjdzie, ach komuż i z kimże do zgody!
Oh, traf czy zmowa; bis na swém postawił,
Jak o tém hajduk Wojewody prawił:
Pan Wojewoda, że tak już uknował,
A więc Sędziego ujmował, fetował.
Fawor nielada w obec tylu Panów,
Z Korony, z Litwy, Kanclerzy, Hetmanów.
Co raz to częstszy wiwat po wiwacie,
A Magnat ciągle: pij Sędzio i bracie,
Bo, Ojcze Święty! (**) szlachcic o swobodzie
I na ogrodzie, równy Wojewodzie,

(*) Głośny ówczesny prawnik; dziad autora.
(**) Przysłowie ostatniego Połockiego Wojewody.

W radzie i w boju nam dzielny konfrater;
Więc, kochajmy się! zawoła Pan Plater.
I, drogi węgrzyn na kielichy prysnął,
I Wojewoda Sędziego uścisnął,
W krociach oświadczeń, że go rad ogląda,
A Sędzia klnie się czynić, jak zażąda:
Ba, więc mu przebacz!... wszedł Rotmistrz pokornie
A kochajmy się, zagrzmiały waltornie...
Lecz Sędzia odeń, jak od węża skoczył,
Aż, tłum, kielichów wieńcem, ich otoczył;
Niewczesny opor! a gdy ów się korzył,
Sędzia dał rękę i Amen powtórzył...

Tak się to wszystko skończyło, Mospanie,
A choć ból ustał, trwa skaza na ranie;
Ztąd byli z sobą na dal, jak od wieka,
Choć grzeczniej, zawsze zimno i z daleka.
Nie długo potém, ku gorzkiej pamięci,
Dziedzic, krzyż owy dźwignie i poświęci,
Co tak się schylił, że sam tu, jak widać,
Jeden, ode mnie chce starszym się wydać.

*1839 r. Stefanow.*

# PANCERNY.

*(Ballada z podań Białoruskich).*

Dawno dzień skrył się w tumany sinie;
Jak głos tłumionej boleści,
Wiatr, po sąsiedniej błądząc krzewinie,
Liściem pożółkłém szeleści.
Raz, zda się, jęczy, znów, zda się, swarzy,
Z czarną chmur ciężkich gromadą,
A z za ich skrzydła, xiężyc pół twarzy
Wysłonił, zimno i blado;
I szlak oświecił z bliższej dąbrowy,
Co mimo cerkwi tor wiedzie;
Na szlaku słychać tentent podkowy,
Widać że szlakiem ktoś jedzie.

A znać pancerny, bo na nim zbroja,
Jak drugi xiężyc prześwieca,
A ramię dzielne, choć twarz dziewoja,
I kibić lekka zaleca.
Gniadosz powoli stąpał znużony,
Co krok, to grzywę potrząsa długą,
Co krok, to głowę zawraca na strony,
Słysząc szemrzącą gdzieś strugę.
Stąpa a stąpa i gdy najbliżej
Smętarza mijał padołek,
Dźwignąć się zdało nagrobne krzyże,
Drzwi naścież rozwarł kościołek...
Czy to jęk duchów, czy wiatr z nawałą
W narożnej sosnie zaszumiał?
Byłoż to w rzeczy, lub bydź się zdało,
Któż wtedy pojąćby umiał?
A gniadosz zarżał, spiął się jak wryty,
Rzuca się w strony, parska i sapie,
Potrząsa grzywą, lecz nieużyty
Żuje wędzidło i chrapie...
Cmoknął nań jeździec, powstał na strzemię,
Lecz koń się słupi i dąsa;
Nieznaną siłą jak wbity w ziemię,
Z bicza i ostrog natrząsa.
Skoczył zeń młodzian blady, strwożony,
Klęka przed cerkwią na progu,
Żegna się, bije czołem ukłony,
Poleca duszę swą Bogu.
Mówi Ojcze nasz... Zdrowaś Marya...
I Anioł Pański i Wierzę...

Ale są grzechy, moc ich niczyja,
Żadne nie zgładzą pacierze.
W obojga życiu, póty bicz kary,
Smaga zgryzotą, rospaczą,
Aż się użalą jegoż ofiary,
Własnej mu zguby przebaczą.
Byłże tak winien? za jakie dzieło,
Modli się z płaczem i jękiem?
Jakież to przed nim widmo stanęło,
Z dziéckiem na ręku maleńkiem!
Postać, jak czasem we śnie, nad głową,
Przed nami, zda się, rozwiesza,
Niepewnym rysem, niejawną mową,
Gdy trwoży albo pociesza.
Wzrok bez wyrazu, martwa powieka,
Usta rozwarte, twarz blada...
Kto, jak, i poco ten gość zdaleka?
Cóż na to *żołnierz* powiada?
Nic on nie powie, nic on nie wskaże,
Choć wzrok utopił w jej wzroku,
Bo krew zamarła na jego twarzy,
Łza skamieniała na oku.
Cóż w nim tę dzielność, odwagę ziębi,
Sławną w niejednej potrzebie,
Że jak posągi w ołtarza głębi,
Niemiejąc patrzą na siebie.
Aż wyrzekł młodzian, tak echo fali
W jaskiń odzywa się ciemnie:
»Wszelki duch Pana Boga niech chwali,
»Czego ty żądasz ode mnie?»

Może kto słyszał, słowa niejasne,
Gdy rzecz sprawdzona odkryta,
Jak przed świadkami, na zgubę własnę,
Więzień o winę swą pyta?...
Wskazując dziécię, wodą przesiękłe,
Widmo jak dotąd, milczało;
Dziécię tak było sine, rozbrzękłe,
Że się topielcem wydało.
Na piersiach matki krzyż, zda się, mieści,
A krzyż nie zdobi mordercę:
Ach nie, to sztylet do rękojeści
Utopił żądło w jej serce.
Może kto widział, sędziów roskazem,
Na kaźń przestępcę gdy wloką,
Jak on klnie świadka, lica wyrazem,
Co stawał oko na oko?...
A byłże takim? ciemna, zapewne,
Przeszłość i przyszłość młodziana,
Co wsparty czołem o drzwi cerkiewne,
Noc całą klęczał do rana.
Piérwszy go postrzegł, tym idąc torem,
Strzelec na łowy do boru;
Wracając nazad, znów go wieczorem
Postrzegł i dał znać do dworu.
Dwór po kolei dał znać do grodu,
Zdążył Sąd niższy na śledztwo;
Ileż zachodu i korowodu,
Nim doktor wydał świadectwo!
Znaków nie było, zważał pierś, szyję,
Krzywił, zamyślał się, mrużył,

Aż wpadł na «*casus apoplexiae*»
«Apoplexia!» — powtórzył.
Mówiono wszakże, nie za nowinę,
Długo i przed tym i potém,
Że ten pancerny kochał dziewczynę
A wkońcu... nie wiem już o tém.

*1828 r. Mohylow.*

## SKRUCHA.

*(Z podań Białoruskich).*

Dzień przeminął. Noc na niebie
Płonie złotą gwiazd gromadą,
A jak lampa na pogrzebie,
Świeci xiężyc zimno, blado;
Lecz nie nazawsze od ludzi
Skrył się jasny, piękny dzionek,
Jutro ze snu go obudzi,
Piosnką przywita skowronek.
Mój dzień — oh zagasł na wieki,
Nie wróci do mnie mój miły,
Nie wejrzy z martwej powieki,
Nie wstanie z chłodnej mogiły.
Darmo kołacę do ziemi,
Gość nie wraca z tej gospody...»

I łzami Laura wdowiemi,
Zwiędłe zalała jagody.
Postrzegł Jaś płaczącą rzewnie,
Zosia postrzegła toż samo:
»Źle mamie, źle mamie pewnie,
»O czegoż ty płaczesz mamo?
»Dziś może tata powróci,
»Spotkawszy nas śród dziedzińca,
»Twemi się łzami zasmuci
»I nam nie odda gościńca.»
Tak matkę cieszą oboje,
A gorzki uśmiech w jej twarzy:
»Nie bójcie się, dziatki moje,
»Bóg was, za niego obdarzy.
»Tato u cerkwi przy progu
»I dawno, dawno nas czeka,
»Mówiąc paciorek zań Bogu,
»Pódźmy go spotkać z daleka.»
Rzekła, poszła; przy jej boku
Biegną rade, korne dziatki,
A łza cicha w matki oku,
Boleść ciężka w sercu matki.
Raz to czwarty w tej podróży
I Jaś i Zosia wespołek,
Tak służą mamie, jak służy
Jej opiekuńczy Aniołek.
A wciąż głoszą: Tato! tato!
Otoż i rozstajna droga,
Krzyż i cerkiew...» Matka na to:
»On już znać poszedł do Boga.

»A zanim dojdzie do Nieba,
»Pokuty i żalu torem,
»Mówić paciórki zań trzeba,
»Co dzień, rano i wieczorem.
»Gdy me spełnicie przestrogi,
»Choć wiele czasu upłynie,
»Uściśnie was Tata drogi,
»Na Józafata dolinie.
»A tam, gdzie sędzią Zbawiciel,
»Pozwie brat brata, syn ojca;
». . . . . . . . . . . . . . . . . . .
»I z okrwawionym zabójca.
»Twarz twarzą, prawi ze złymi,
»Świadcząc na razy, haracze;
»Niedola, łzami mściwemi,
»Na dumnych świata zapłacze.
»Wówczas Bóg pozwie do siebie,
»Co niewinnymi tu byli,
»Tam wówczas, z tatą na Niebie,
»Będziecie razem gościli...»
Rzekła i klękła, u boku,
Tuląc się, klęczą z nią dziatki,
A łza cicha w matki oku,
Boleść ciężka w sercu matki.
Gdy ten, u wzniosłej mogiły,
Krzyż i piasek jeszcze świeży,
Aż nadto jaśnie mówiły,
Że tu nie dawny gość leży...
Zań to, co wieczor, z dziatkami
Matka, śląc modły gorące,

Karmiła, jękiem i łzami,
Wzbudzonych cierpień tysiące...
Wtém, przebóg! trzasły zapory,
Drzwi się cerkiewne rozwarły;
Jakież to widma, potwory,
Ha trup! ha larwa! umarły...
O biada nędznym, o biada!
Ratuj nas, Boga-Rodzica!
Krzyknęła Laura i pada,
Blednąc, jak światło xiężyca:
»Nie trup, Pan z wami, nie mary,
»Niech was zła trwoga porzuci;
»My, tylko świata poczwary,
»Z sumnienia, z cnoty wyzuci.
»Ludniąc te lasy przestronne,
»Zbójców się korda ujęli;
»Grabiąc niemocne, bezbronne,
»Tę kolej tobie nieść mieli.
»W tej tu świątnicy od chwili,
»Bacząc nim padnie mrok gruby,
»Świadczące twarze ukryli,
»Do czasu waszej zaguby;
»A gdyśmy wychodzić mieli,
»W krwi twej i dziatek zmyć noże,
»Wszyscy, przed słowem zadrżeli,
»Że będziesz karał nas Boże!
»Że tam, gdzie sędzią Zbawiciel,
»Pozwie brat brata, syn ojca,
». . . . . . . . . . . . . . . . .
»I z okrwawionym zabójca!

»Już twe nas złoto nie mami,
»Nic nam od świata nie trzeba
»Żyj, dobra matko, z dziatkami,
»I za nas westchnij do Nieba!»

Głucha północ w okolicy,
Wstają lekkie z gór tumany,
A na omszałej kaplicy,
Migoce krzyżyk blaszany.

*1829 r. Stefanow.*

# ZDRADA I ZEMSTA.

*(Z podań Inflantskich).*

Głuchną, mierzchną zamku ściany,
Gwiazd niepewne blaski świécą;
Żołnierz tylko niezdrzemany,
Czuwa uchem i źrzenicą.
Most podjęty; ślusak twardy
Tarczę bramy ryglem spoił;
A na wałach, z halebardy
Zastęp mężów się uzbroił.
Mglisto, wietrzno... w głębszym mroku,
Alić tentent brzmi kopyta;
Głośniej, jawniej... «stój! ni kroku!"
Grożąc strażnik hasła pyta:
»Rogier!» — i wnet most spuszczony,
Wjeżdża Hrabia, za nim wierni

Ciągną przed zamek uśpiony
I husarze i pancerni.
Znowu cicho, jako wprzódy,
Spoczęły hufce po znoju;
Czemuż tylko wódz ich młody,
Blednąc chodzi po pokoju.
Późna lampa dogorywa,
Przed nim wierny giermek stoi;
Obu cięźka stal pokrywa,
Oba w hełmach i we zbroi.
»Oh będę wierzył tej mowie,
»Jam zdradzony, a on żyje!
»Słuchaj, biada twojej głowie,
»Jeśli w tém się potwarz kryje.
»Ha, na piekło! jakem mściwy,
»Krew spłynie po tym bułacie;
»Lecz pomnij, żeś nieszczęśliwy,
»Gdy krew jego spadnie na cię.»
Rzekł i skinął na miecz srogi,
Pobiegł ku drzwiom, znów się wrócił,
Rzucił własny hełm pod nogi
I swój własny kirys zrzucił,
A wdział giermka hełm żelazny,
Jego zbroję, drot, kolczugi;
Patrzą, hrabia giermek raźny,
Widzą, hrabia giermek drugi.
Zwarł za sobą drzwi niezłomne,
Tonąc w mrokach kurytarza,
Kroki szybkie i ogromne,
Ze sklepień echo powtarza.

Gdzież go rzucił los niepewny,
Czy w objęcia młodej żony?
Tylkoż hrabia zbladły, gniewny,
Przeodziany, przebarwiony.
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
Kryjąc w dłoni śnieżne lica,
W zaniedbanej łono szacie,
Aniołże to czy dziewica,
W odludnej gości komnacie?
Anioł nie wejdzie tym progiem,
Mściciel chyba zbrojny karą;
Hrabia Rogier w waśni z Bogiem,
Przyrodą, bliźnim i wiarą.
Porwana córka to, może,
Wydarta wassala żona?
Lecz hrabia dzieli już łoże
Z córką bliższego barona,
Co z nim stając ramie w ramie,
Sąsiady najeżdżał, gubił,
Aż w końcu, za drużby znamie,
Piękną mu Lorę zaślubił.
Żebrzącą, od swego łona
Odtrącił ojciec surowy,
A korny woli barona,
Dał ślub kapelan zamkowy.
Blada, półmartwa, półżywa,
Przysięgła, pada i mdleje;
Prysły najświętsze ogniwa:
Wiary, Miłości, Nadziei....
Jej to palące westchnienie,

Co, zda się, na czas ból skraca,
Budzi tych murów uśpienie,
I znów zkąd wyszło, powraca.
Tak niegdyś pełen uroku,
Uśmiech odleciał z jej lica;
Jątrzy się boleść na oku,
Zabiega łzami zrzenica,
Te jęki, łkania niewolne,
To dręczące serca bicie,
Świadczą na jej dni niedolne,
Na jej gorzkie, biedne życie.
Dzierży zamki, wsie i grody,
Ona pani licznych włości;
Biada, biada, hrabia młody,
Nie wziął z wianem jej miłości.
Wolą ojca zaprzedana,
Na łup rzucona, jak branka,
Co ginąc w szponach tyrana,
Płonie do objęć kochanka....
Miłość jej życiem, potrzebą,
Słońcem, wiosną dla tej róży;
Tak słaba, czemuż ją Niebo
Rzuca na pastwę dla burzy!...
Jak duch, cicho z za obicia
Weszła, staje przed hrabiną,
Powierna jej nędzy życia,
Z jakąż to idzie nowiną?
»Czas sprzyja, uchodź bez trwogi,
»Świt bliski, droga daleka;
»Korzystaj z chwili zbyt drogiej,

»Allan w ogrodzie już czeka.”
»A Hrabia?”—»Hrabia śpi, pewno,
»Giermek wychodząc z komnaty,
»Z pośpiechem, i zda się gniewno,
»Zagasił lampę u kraty.”
Błogo, kto miłość ślubuje,
Prawe jej paląc ofiary;
Lecz biada, kto się nią struje,
O bodaj nie pić z tej czary!
Mąż — przysięga — miłość — wianek...
Walczy w niej rospacz z nadzieją,
Tak dogorywa kaganek,
Mdłę topol wiatry tak chwieją.
Tam drży nieszczęsna przed wiarą,
Tu miłość serce jej rani,
Paść tylu ciosów ofiarą,
Ostatniaż kara to dla niej?
Wstaje, powraca, usiada...
Na łada szelest zmieszana;
Jak posąg niema i blada,
W rozdrożu uczuć zbłąkana.
Xiężyc wyjrzał przez tumany,
Swiadek straszny, choć jedyny,
A jak milczące te ściany,
Wręcz zbladło lice Hrabinej.
On wszedł ukradkiem przez szyby,
Spójrzał na Lorę nieśmiało,
I serce Lory, jak gdyby
Serce złoczyńcy, zadrżało.
Tak Niebios przestroga właśnie

Ostatniej strony dotyka,
Nim gwiazda cnoty zagaśnie
W skażoném sercu grzesznika.
Stało się... z żądzy uroku
Rumienicc wybiegł na lica,
A w mdławém, modrém jej oku,
Błysnęła zdradą zrzenica.
Za nic pierścień, za nic wiara,
Za nic sława, przepuść Boże!
Grzech wielki, większa ofiara,
Lecz kto z nas sądzić ją może?—
Nie dojrzana, nie śledzona,
Jak strach lekką miota łanią,
Samaż jedna? jedna ona,
Xiężyc przed nią, cień jej za nią.
Przez krużganki, przez podwoje,
Lotem, mimo senne straże,
Jak na górach mgły zawoje,
Tu się skryje, tam ukaże.
Stojąc w rzędach śpią jawory,
Po walce wiatrów burzliwej;
Wszystko drzemie, oprócz Lory,
Oprócz Lory nieszczęśliwej.
Powolnym ginąca jadem,
Drży, staje, traci się, błąka;
Drzew cienie leżąc nieładem,
Rażą jak szpiegi małżonka.
Oh już nie straszne jej rany,
Nie przerazi ją morderca;
Bo straszniejszy cios zadany,

U czułego tkwi jej serca.
Jest, co męztwem pierś jej kryje,
Co ją rzeźwi, wznosi, wśpiera;
Jego życiem ona żyje,
I jego śmiercią umiera.
Lecz któż tam czuwa w ulicy,
Od głowy do stóp we zbroi?
Gra mu xiężyc na przyłbicy,
A on jak trup niemy stoi.
Choć żelazo twarz ocienia,
Godło tarczy, kraśne pióra,
Szarfę zbiegłą od ramienia,
Czyje one, znaż to Lora?
Zna, bo stal go nie zacieni;
Hełm Allana kraśnopióry,
Godło tarczy róg jeleni,
A taż szarfa? szarfa Lory;
Dzielnym wassala żelazem,
Gdy niósł jej ojcu zdobycze,
Wówczas z tą szarfą mu razem
Oddała serce dziewicze.
Na jej widok, w rozrzewnieniu,
Pomieszana, wrząca, blada,
W zapomnieniu, w zachwyceniu,
Na pierś rycerza upada.
»Allanie!”... »Co, podła Loro!”
Rycerz zgrzytnął, bronią szczęknął:
»Allanie! dzika potworo!”
Piekielnym echem wyjęknął:
»Modl Nieba, twój grób otwarty,

»Allan swą czarę już dopił."
I z krwi jego nie otarty
Sztylet w jej łonie utopił.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Dawnoż? w tém ustroniu dzikiém
Był klasztor, nędzarz w klasztorze;
Bez łzy i skargi przed nikim,
Wlekący krzyż swój w pokorze.
Podobny straszącym cieniom,
Nie lata, nędze go barczą,
Piersi nie starczą westchnieniom,
I łzom zrzenice nie starczą.
Nocą od zorzy wieczornej,
Rzuca loch swój ciemny, głuchy;
Zimny, jak mury klasztorne,
Tak on odludny, tak suchy,
Chodzi do mogił ze łzami,
Pod krzyżem i włosiennicą,
I biesiaduje z grobami,
Jak konający z gromnicą.
Srodze znać cierpi, lecz co dzień,
Choć tak i patrzą i śledzą,
Kto on i zkąd ten przychodzień?
Nie powiem, inni nie wiedzą.

*1829 r. Peczersk.*

# JERMAK.

## POWIEŚĆ LIRYCZNA.

(z *Dmitriewa*.)

Jakimże dziwnym widokiem,
Przeszłości! bijesz mnie w oczy?
Pod żałobnym nocy mrokiem,
Gdy xiężyc blaski roztoczy,
Widzę Irtysz (*), z szumem spływa,
Pieni się, warczy, podmywa
Strome wybrzeża swej toni;
Na nich dwaj męże zdumani,
Jak widma czarnej otchłani,
Siedzą oparci na dłoni.

(*) Rzeka w południowej Syberyi, w której Jermak utonął.

Młodzian i starzec u grobu,
Z brodą po biodra, tak siwą,
A broń zabójcza na obu
Błyska na postrach i dziwo.
W ich twarzach bladość rospaczy,
Z ponad czoła ogon smoczy,
Z żelaznych hełmów się toczy,
I skrzydła wieją puhaczy,
Z bark wilcza odzież im spływa,
Pierś skrzyżowana rzemieniem,
Żelazem, miedzią, krzemieniem,
Za pasem szabla krwi chciwa.
U nóg dwa leżą tympany
I dwie błyszczące ich włócznie:
To dwa Sybirskie Szamany.
I starzec śpiewać tak pocznie:

STARZEC.

Płyń szumna rzeko, płacz z nami!
Niech światu jęk nasz powiada,
Żeśmy wzgardzeni Bogami;
Ach biada, biada, biada!
. . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . .
Wieczny! Wieczny!..
Uważ, mój synu; gdym tej nocy
Ćmą zabrnął w lasów głębinie,
I tam, w wylewie mego ducha,

Gdy nad ofiarą modły czynię,
Ryknęła burzą puszcza głucha,
Z drzew rwane liścia mię osypią,
Miotane sosny warczą, skrzypią,
Porznięte kozy wichr roznosi...
Padłem, a z góry bóstwo głosi:
»Nieprzebłagana zemsta Raczy (*),
»Gdy świat nęka ciężką karą;
»Syberjo! gardząc mą wiarą,
»Giń odtąd we łzach i rospaczy.
»Białego Władcy (**) poddanka,
»Niech cię wiecznie zorza ranka
»I noc czarna w więzach wita,
»A czyn Jermaka umyśnie
»Niech w poźne czasy roskwita
»I pod xiężycem zabłyśnie!..."
Rzekło — a piorun trzykrotnie
W czarnych się chmurach rospada....
O Niebo! giniem niezwrotnie,
Ach biada, biada!

MŁODZIAN.

Ach biada!

I wtém wśród jęków, łez obfitych,
Powstając z głazów mchem pokrytych
Bezczynną z ziemi broń podjęli
I brzegiem rzeki pociągnęli,
W odległym niknąc tumanie.

(*) Główne ich bóstwo.
(**) Tytuł Carów Rossyjskich.

Pokój twym zwłokom Jermaku!
Niech w laur uwieńczą Rossyjanie,
Drogi twój posąg, dla znaku,
Że przez cię złoto im błyska
Z gór Syberyjskich łożyska.
Lecz, co ja, o proch niemy!
Com wyrzekł, cieniu znamienity,
Twój koloss? przebóg, dziś nie wiemy,
Gdzie nawet popiół twój ukryty.
Wichrem może rozmiotany,
Przez Ostyjaka zdeptany,
Gdy goniąc stepem w ślad łani,
Zabójczym grotem ją rani.
Nie, ty się uciesz z twej chwały;
Gienijusz wzbity do góry,
Co dzień o zorzy wspaniałej,
W brzasku dniejącej natury
Nad twym się grobem unosi
I w Boskim hymnie cię głosi:

O Wielki! gdzieś ty ni zrodzony,
Choćby w najdzikszych wieków chwile,
Twój zawód sławą owieńczony!
A choćby znikł twój proch w mogile,
I odrodne synów syny,
Zabywszy twe dziwne czyny,
Wśród lasów wiedli byt srogi;
Ty od zabycia daleki,
Ty z chwałą, o mężu dzielny,
Niepożyty, nieśmiertelny,

Pogonisz razem z półbogi
Przez pokolenia, z wieków w wieki!...
I zgaśnie sławy twej ognisko,
Gdy świat i słońce zciemnie wraz,
Gdy Nieba runą na zwalisko,
I na swą kosę padnie Czas.

*1829 r. Mohylew.*

# RUSAŁKI.

Tam, ponad Dnieprem, w południeń, o zmroku,
Gdy maj gałązkę rozstrzeli,
Niejętych dłonią, nieznanych oku,
Grono się dziewic weseli.
Ich złoty warkocz, a łona śnieżne,
Czyjegoż serca nieztają!
Ruchy pożądne, oczy lubieżne,
Wciąż kogoś nęcą, szukają.
Sto razy z sobą w jedną godzinę
Zbiegną się, znowu rozbiegną,
I znów sto razy miękką darninę
Miększemi kształty zalegną.
I na rozstajne smignąwszy drogi,
Wabią przechodnia, po chwili
Wilkże tam skomli, puszczyk złowrogi?
Tu, jakby dziecię zakwili.

Śmielsi tak nieraz widzieli, czuli,
Jak busia rączką wciąż macha,
Jak śpiewa, śpiewa: hu, ta, ta, huli!
A na krzyż Pański, cha, cha, cha!...
Jak z rozpłonionych kwiatów porankiem,
Mniej ważąc miłą przysługę,
Nie dla kochanków uwitym wiankiem,
Rzucają jedna na drugę.
Lub na zuchwalsze goniąc swawole,
Pod niemą gaju ciszą,
Nucą, szczebiocą, i gnąc w półkole,
Na brzoz się liściu kołyszą.
I tańczą tłumem zwianym, rozwianym;
W przezroczu znikną, to błysną,
Zanim przed świadkiem wprzód niedojrzanym,
W ciemnie dąbrowy rozprysną;
Widzisz te gwiazdki, w miąższym jej mroku?
Słyszysz? klasnęły po dłoni,
I z nowym wdziękiem, w nowym uroku,
W Dnieprowej pluszczą się toni!....

O męka temu, z losów niechęci,
I biada wiośnie młodziana,
Co go ich lekka kibić zanęci,
Pierś biała, twarz ich rumiana;
Gdy raz nań spójrzy, zły duch-dziewica,
Rusemi zwiąże kędziory;
Blade z tej pory młodzieńcze lica,
Łzą oko zajdzie z tej pory,

Jak deszcz siarczysty, tak żądza płocha
Spadnie na serca żarzewie,
A kto nań spójrzy, zgadnie że kocha,
Lecz jak i kogo, nikt nie wie.
A z tych wymarzeń, tęsknic, zapałów,
Nie jeden zginął tam śmiałek,
Co z siecią złotą swych ideałów,
Czyhał na wdzięki Rusałek....
Czyhał i zginął, mknie wieść na strony,
Gdzie, jak? nim mędrek się dowie,
Wieśniak tymczasem, choć nieuczony,
»Załoskotały...” odpowie.

*1828 r. Mohylew.*

# STRACHY W ZAMKU.

(*Z podań Litewskich.*)

**On.** Banaluka!
***Ja.*** Ale niech mnie Pan wierzy, — słowo honoru!

***Rozmowa przy kominie 29 Października o godzinie 9 wieczorem.***

Jak szczęśliwy i bezpieczny,
Kogo w burzy złej godzinie
Usadowi los niesprzeczny
Przy pełgającym kominie,
I błogo mu o tej porze,
Myśl skrzydlata igra, marzy;
Gdy warczą wiatry na dworze,
Gdy się niebo z ziemią swarzy.
Nieraz tuląc twarz do futra,
Tak wyrzekam losom szlachty,

I licząc gwiazdy do jutra,
Zębem dzwonię u haubwachty;
Lecz gdy ciepła ujmie chata,
Drużne koło, cóż mnie burze!
Na złość wszystkim baszom świata,
Gdy tak lenię, gram i kurzę!
Nim samowar z wrzącej toni
Bryźnie parę wonną, mglistą,
Baczność, towarzysze broni!
Niosę legendę ojczystą.
A kto uśnie od jej treści,
Wielkie tego klęski, straty;
Bo się nie dowie powieści,
I ani liźnie herbaty;
Próżne będą żal i skrucha.
A teraz — cierpliwość święta!
Kto ma uszy, niech mię słucha
I na ów wyrok pamięta:

*Conticuere omnes.....*

W starym zamku Podstolinej,
Jak świadczą wieść i zapisy,
Przez traf dziwny i jedyny,
Wodzili się niegdyś bisy.
Co za nieszczęście z kobiétą!
I jak tu radzić Jejmości?
Gdy noc w noc djabeł ze świtą
Na pokojach hasa, gości;
Ledwo gwiazdy zmrok zapali,
I zamierzchną kąty gmachu,

Na poddaszu, w sieniach, w sali,
Tertes, hałas, krzyk od strachu.
W Podstolego niegdyś spalnej,
Gdyby zjadłe psy szczekają,
A tam, o dziwy! w bawialnej
Same kije w bilard grają.
W czwał przez wyjścia, kurytarze,
Leci tentent, pstrzą się płaszcze;
Cały szwadron w długiej parze,
Gwiżdże, plaska i w dłoń klaszcze.
Szwadronista, chochlik dzielny,
Na ich czele pędzi z kija,
Wali w bęben marsz piekielny
I ogonem takt wybija...
A tymczasem dwaj urwisy,
Gwoli swojej i skrzypaka
Na zabój, jak Niemcy bisy,
Walą przez noc Walc-Kozaka.
Lecz bywa strach i dla stracha,
Za pierwszym hasłem koguta,
Po capstrychu hoca! cha, cha!
Kończy się straszna reduta.
A rum wszczyna w dworze całym;
Idą, niosą lampy, świécę,
Błądzą w zamku oniemiałym,
Śledząc wielką tajemnicę;
Lecz próżno w gniewie i smutku,
Zdawien dawna widzą, śledzą:
Byli goście, znać ze skutku,
A jak, po co, zkąd? nie wiedzą.

Znalazł się, mówią, paniczek,
Co chciał sprawdzić nocne dziwy;
Wkradł się, zajrzał, wziął w policzek
I powrócił na pół żywy.
Długo trawiąc dam przekąsy,
Za karę godną zuchwalców,
Że mu strach osmalił wąsy
I wypiętnował pięć palców.
Wygrzebł Łowczy z dawnych kronik,
Że się boi czart kadzidła;
Zaproszony xiądz Kanonik,
Użył smołki i kropidła;
Lecz gdy odsieczy nie poda,
Środek ostatni, jedyny,
Ani smołka, ani woda,
Uchwalono przenosiny.
Ledwo xiężyc w czwartym nowiu,
Już na żywo zbudowany,
Staje domek w pogotowiu,
Raźny, schludny, choć drewniany.
Że doń ucieczka jedyna,
Co tchu zatém komu stanie,
Rzuca mury Podstolina,
A za nią wszyscy dworzanie.

Niegdyś głośny, zawołany,
Osierociał gmach ponury;
Pusćieją olbrzymie ściany
Dziwacznej architektury.

Przemiennych losów koleją,
Skrzydła, wieże i krużganki
Opuszczone samotnieją,
W powoju kryjąc się wianki.
Rudera, zpod ciemnych światów,
Gwiżdże z wiatrem przez szczeliny,
I obrazy Antenatów
Stroi w szatę z pajęczyny.
A czém niegdyś dziedzic hardy
Częstował wrogi zuchwałe:
Spisy, miecze, halebardy,
Leżą w kątach pordzawiałe.
Zarosły chwastem chodniki
W ogrody, żwierzyńce owe;
Niewdzięczny piołun, mech dziki
Wszedł na ganki marmurowe.
Czas z obłamków i wyszczerbów,
Pustek heraldyk jedyny,
Treść układa nowych herbów,
Dziedziczki zamku — Ruiny.
Gdzie im dłużej, straszniej co dzień,
Gdy wieść dziwne rzeczy płodzi,
Spójrzy nań zdala przechodzień,
I manowcem go obchodzi.
Tam się wprzód tłumnie cisnęli,
Dzisiaj nikt kroku nie skłoni;
Gdzie brzmiała wrzawa kapeli,
W stłuczone okna wiatr dzwoni.
A w pełnię tylko, czasami,
Jakby strwożony wypadkiem,

Xiężyc pomiędzy lipami
Blednąc migoce ukradkiem,
Lub ciekawy, śmielszy niby,
Patrząc w głąb niemą pałaca,
Na podłogach barwne szyby
Promieniem drżącym pozłaca.

Jest to w przyrodzie człowieka,
Czas go ze wszystkiém oswoi;
Strach, nędza, boleść, chłód, spieka,
Dłuższym nawykiem się goi.
Że zaś nasza Podstolina,
Jak wszyscy ludzie ułomni;
Lat więc kończąc do tuzina
W pokoju, strachów nie wspomni.
I gdyby z bisem nie zwady,
Co złych skutków miały dowieść,
Na témby się treść ballady
I cała skończyła powieść.
O bodaj to siedzieć cicho!
Lecz Jejmość chce balów, gości,
A ztąd poszło całe licho,
Za przeproszeniem Jejmości.
Wielkie dotąd idą sprzeczki,
Kto wszczął kłótnie niepotrzebne,
Dwór, mama, czy jej córeczki,
Zwierciadło mamy pochlebne.
Joasia, Róża, Alina,
Jak kwiat rozwity wspaniały.

Trzy żądze — jedna dziewczyna,
Hymena wieńca czekały.
Lecz jak na złość Podstolinej,
Od pogrzebu nieboszczyka,
Z niewybadanej przyczyny,
Każdy ich domu unika.
Raz więc jakoś, w tęsknej chwili,
W wieczór długi, poziewany,
Jednomyślnie uradzili
Badać kauzę tej odmiany.
Dwór się ważył, dzielił w zdaniach,
A gdy nie mógł dójść do mety,
Po domysłach i badaniach,
Kolej przeszła na kobiety.
Tu, jak wzgląd starszeństwa kryśli,
Jejmość pierwszy głos zabiera,
I zwyczajnie, swoje myśli
Króciutko radzie otwiera:
»Po radościach postać smutną
»Dawno postrzegam w mym domu;
»Lecz boleść serca okrutną
»Nie dałam wykryć nikomu.
»Drugi krzyżyk nie za górą
»Jak Podstoli umarł drogi;
»Czemuż tak dziko, ponuro,
»Od tej chwili, dla mnie srogiej,
»Gdzież ci ludzie, te zabawy,
»Ta młodzież rzeska, dorodna?
»Co wciąż niegdyś do Warszawy,
»Od Wilna pędzi lub Grodna.

»Jak o tej pamiętnej porze
»Widoki były rozliczne,
»Gdy na świetnym naszym dworze
»Goszczą Pany okoliczne.
»Radzą, krzyczą... choć te rady,
»Że chce tego dzielność nasza,
»Nigdy nie przejdą bez zwady,
»A czasem i bez pałasza;
»Lecz gdy się końca dobili,
»Aż to miło wspomnieć o tém,
»Jak hulali, jedli, pili,
»I błyszcząc i sypiąc złotem;
»A co chwila, co godzina,
»W garncowe puhary zbrojni:
»Wiwat, wiwat Podstolina!
»Wołają goście dostojni.
»Tak bywało. Jak sen marny,
»Znikły tych godzin ponęty,
»Od chwili, gdy czart figlarny
»Osiadł ten zamek przeklęty....
»Pięknie biorąc na pazury,
»Wzgardzę strachów grą dziecinną,
»Natchnę życiem zamku mury,
»Tak chcę i tak bydź powinno.
»Gmach ten dźwignę, jeszcze mocny,
»Osadzę go tłumem straży,
»A na jeden strach północny
»Tysiąc szabel się obnaży.
»I naleci znów drużyna,
»I znów zabrzmi, brzęcząc w szklanki:

»Wiwat pani Podstolina!
»Wiwat panny Podstolanki!”

Umilkła. A jak szum puszczy,
Kiedy zawre niepogoda,
Powstał okrzyk radnej tłuszczy:
„Czołem Pani! brawo, zgoda!”
A chociaż mruczał pod nosem
Panicz upoliczkowany,
Lecz on z góry jednogłosem
Był za tchórza obwołany.
Gdy więc wszystkich zapał wznieca
Wziąć szturmem zamek na nowo,
Trzebaż! chochlik zpoza pieca
Podsłuchał radę sejmową:
„Kobiecie wygnać mnie bisa!
Ha, to za grube już drwinki,”
I jął kroić kurtę z lisa,
Wraz na pierwsze wieczorynki:
Ba, któż zgadnie, jaką siłą,
Z bliższego dworu gościńca,
Gdzie się zdawna i nie śniło,
Pełno karet u dziedzińca.
Panicze, Panny, Jejmoście...
Turkot, wrzawa, chaos czysty!
„Podstolino! goście, goście!”
Aż tu i hajduk sążnisty
Wbiegł, z obryzgów płaszcz otrząsa,
Zmokły, czarny, jak z komina,

Poprawił czuba i wąsa,
Chrząknął i mówić zaczyna:
„Komukolwiek dwór ten służy,
„Z liczną gromadą, w potrzebie,
„Nowożeńcy wśród podróży,
„O nocleg proszą dla siebie.
„Stron dalekich to mieszkańce,
„Goście ziemi, gdzie wędrują;
„I po wczasie, po hulance,
„Z wiatrem dalej się posnują;
„Ustali, jazdą znużeni,
„Chcą odbydź w tych murach dzielnych,
„Burzliwą nocą jesieni,
„Rocznicę godów weselnych.
„Nic im, prócz domu, nie braknie
„Dla potrzeby i dla zbytku;
„Czego tylko dusza łaknie,
„Mają w jadle i w napitku!”—
„Zgadzam się chętnie z mej strony,”
Rzecze Jejmość zadziwiona,
„Ale zamek opuszczony,
„Pora tak przykra, spoźniona,
„A w zamku”... nie dał domówić,
I już hajduk nasz u sieni:
Coby to miało stanowić,
Pytają wszyscy zdumieni,
Jaki zamiar ich podróży,
Z taką zgrają, w takiej porze?
Każdy myśli, roi, wróży...
A coraz światlej na dworze;

„Cyt,— dźwięk orkiestry, jak gdyby...
„Czy to sen, czy jam zdurzony?"
Woła Starościc u szyby,
„Patrzcie, zamek oświecony,
„Ach jak się tłoczą u ganku,
„Czy też mię oczy nie zwodzą?
„Panie, pany bez ustanku,
„To wchodzą, to znów wychodzą."
Gdy w zdumieniu, w niepokoju,
Każdy patrzy, myśli, bada...
Nowy poseł w kusym stroju,
Wszedł do sali i powiada:
„Ciemni i Jaśnie Wielmożni,
„Szlą mnie tu jednym roskazem,
„A proszą wszyscy podróżni,
„Zabawić z nimi dziś razem;
„Ze cztérech wiatrów wezwani,
„Tłumią się goście wśród wrzawy,
„Lecz bez dobrej zamku Pani,
„Niema uciech i zabawy."
Rzekł i zniknął. Z ciekawością
Radni przed Panią stanęli;
Ta chęcią i niepewnością
Waży się napół i dzieli.
Odmówić im nie wypada,
Na tak dworne, korne prośby,
Nie odmówić;— przepowiada
Jej ciemne przeczucie groźby.
Lecz ja radziłbym Jejmości,
W tak nagłej, trudnej potrzebie,

Dadź głos córkom, co z radości
Nie wyskoczą ledwo z siebie.
Te głoski uczuć palące,
Łzawej, omglonej zrzenicy,
Piersi żądzą falujące,
Tłumacze letniej dziewicy.
Los... lecz nie los wyniósł tamę;
Wzbraniano po nie przyjść rano,
Potém broniły przyjść same,
A potém — przyjść już nie chciano.—
Po krótkiém chwały swej życiu,
Tak więdnie róża zbyt snadnie,
Albo ją uszczkwić w rozwiciu,
Lub nieuszczkwiona opadnie.
Póki wdzięków jej dostanie,
Póty przy niej słowik śpiewa.
(Za to zdanie, piękne Panie,
Niech się żadna z was nie gniewa).
Lecz czas do rzeczy powrócić,
Mimo uwag, przestróg, żalu,
I żeby tę powieść skrócić,
Wręcz już zacznijmy od balu:
Zadość czyniąc prośbom wreście,
Nie bez wpływu Podstolanek,
Choć do zamku kroków dwieście,
Jadą od ganku przed ganek.
A że czekano już na nie,
Zaledwo klasnęły bicze,
Z szumem, hurmem na spotkanie
Lecą dorodni panicze.

Wysadzonym, zwinnie, zręcznie,
Tłum się zaleca, przymiła;
Dawno tknięte Szwajcar wdzięcznie
Do pokojów drzwi uchyła.
O cudo! błysnęły ściany,
Złota i srébra polorem;
Za nic dumne Azyany,
Za nic Paryż z swym wytworem.
Czyjże pędzel, jakież farby
Przed mém okiem to odsłonią?
Gdzie wydarte Gnomom skarby
Gust rozsypał sztuki dłonią.
Alabastru lśniące biele
Wyrzucane śnieżą stropy;
Złotogłów Katajczyk ściele,
Pod nogi miękkiej Europy.
Tysiące ogni rozsianych,
Światła Niebios dumnie korzą,
Gdy w zasklepach zwierciadlanych
Czarujący przepych wtórzą.
Wchodzi Jejmość Podstolina,
A przy niej córki i świta;
Powstała z krzesel drużyna,
Pan młody gości przywita.
Bal. Orkiestra grzmi polaka,
Wszyscy raźnie i wesoło,
Komu padnie kolej jaka,
Par czterdzieści poszło w koło.
Wielka sala, natłok gości,
Trzykroć jednak w dłuż jej przeszli,

I po pierwszej znajomości
Skłonili się i rozeszli.
Mazurek zabrzmiał.... ujemna
Polka na lśniącej równinie,
Półpowietrzna i półziemna,
Zwija, rozwija się, płynie.
Lotna, czarowna, swobodna,
Zpod czarnych śnieżna pieścieni,
Jej twarz jak niebo pogodna,
Gdy go świt zorzy rumieni...
Ona zachwyca, a wtedy
Nie bez uśmiechu i słówka,
W takt bijąc kiedy niekiedy
Sąsiednia brząknie podkówka,
Namiętnie, żwawiej, leniwo,
A gdy Nimfa doń podpłynie,
W kółku dłonią pożądliwą
Lekką kibić jej obwinie....
Któż szał zapałów opisze,
Któż pulsa natchnień policzy,
Kto z nas, młodzi towarzysze,
Nie pił aż do dna słodyczy?....
Czyrkarska w twarzy i oku,
W czarownem Polka ujęciu,
W poważnym Niemka widoku,
W kibici Włoszka zwinięciu,
Co Sułtanka w pysznym stroju,
Paryżanka w ustach mieści,
To wszystko w jednym pokoju
I oko i serce pieści.

Tańczą — a w salach bokowych,
Ponad zielonym stolikiem,
Faraon, stos obrączkowych
Dzieli piątką i niżnikiem.
Podparty z licem pobladłem,
Milknie Holender ponury;
Lekki Francuz przed zwierciadłem
Wonnej poprawia fryzury.
Zpode łba Anglik pół okiem
Przechodnie śledzi i bada;
I tonąc w płaszczu szérokim,
Hiszpan gra role Alkada.
Niemiec we mgle marzeń gubi,
Włoch umizga się nawiasem;
Polak zmyśla lub się chlubi,
Północnik pije tymczasem.
Gdy tak płynie czas ukradkiem
Wpośród uciech szumnej fali,
Nie wiem zkąd, jakim wypadkiem,
Wtoczył się Kwestarz do sali.
Ledwo gości okiem zmierzył,
Otarł zlane lica potem,
I Bernardyn, ktoby wierzył,
Zasypany zewsząd złotem.
Już pożno, bije na wieży
Dwunasta straszna godzina,
I tłum zalotnej młodzieży
Chce pożegnać Podstolina:
»Ach jeszcze chwilkę, prosiemy,
Zabawić z nami bezpiecznie,

Wszak się dzisiaj rozstaniemy
Na długo, może i wiecznie.
Ten zegar śpieszy niezmiernie,
Nasz lepszej sztuki i mocy;
Bo wszystkim głośno i wiernie
Wybije hasło północy.
A gdy nas z uciech ocuci,
Każdy do siebie niezwłocznie,
Jeżeli trafi, powróci,
I jeśli zdoła, odpocznie.
Jakby nie tkwił strach głęboko,
Znajdzie się chęć i odwaga,
Gdzie błękitne mówi oko,
A czarny wąsik pomaga.
Zgadza się Jejmość na prośby,
Gdy jedna za drugą córka,
Pomimo napomknień, groźby,
Stanęły w kole mazurka;
A tłum się w kątach napycha,
Krzyżuje, krząta się, miesza,
Krzywi się, mruga, uśmiécha,
Wychodzi, wraca, pośpiesza....
Rzekłbyś patrząc na te figle:
By nie przerazić hałasem,
Pożar na zamkowém skrzydle,
Chcą pewna zgasić; tymczasem
Tak w nagłą, dziwną odmianę,
Każdy zachodzi pocichu,
Wtém hasło przepowiedziane,
Kur zapiał Amen, ze strychu.

Wstrzęsły się zamku posady,
Grom runął w lewo i w prawo,
Gdy nocne ginąc szkarady,
Wygrzmiały cha, cha, cha! brawo!
Stań się — stało. Prysły race,
Prysły, zgasły, noc znów ciemna...
A ów pałac nad pałace,
Znowu jak pustka nikczemna.
Gdzie te ognisk miliony,
Mrok straszący i ponury;
Xiężyc blady, zamyślony,
Jak trup wygląda z za chmury.
Gdzie goście w galowych strojach,
Wdzięczą się, tłumią i świécą,
Chodzi świszczęc wiatr w pokojach,
Tłucze, brząka okienicą.
Nad kominem huczy sowa,
A w kątach tylko czasami,
Jęczy jak dusza czyscowa:
„Wszyscy Święci! Pan Bóg z nami!"

## P. S.

Co się stało z Podstoliną,
Żyjeż, pomni tę zapadnię,
Z Podstolankami, drużyną?—
Trudno to wyrzec dokładnie.
Wiem tylko, że Bernaś tłusty,
Mniej ważąc tak nagłą zmianę,

W kieszeni od wieków pustej,
Złotko chciał sprawdzić kochane.
Cóż? a znalazł z bisów łaski,
Proszę wierzyć, prawda szczéra,
Zamiast złota, piasek, trzaski,
Et cetera, et cetera!.....

*1829 r. Stefanow.*

# POBOJOWISKO.

Widziałem, zda się na jawie;
Lecz gdzie i kiedy? cóż z tego!..

Maj,—noc jego wdzięczna, cicha;
Jak mnie błogo w tém ustroniu,
Gdzie wonią kwiatów oddycha,
Drzemiący powiew na błoniu.
Gdzie blade czoło xiężyca
Z jasnej się strugi odświéca,
Tak pogodnie i tak mile,
Jak przeszłości mojej chwile;
Jak zdrój, nim go wiatr nie wzruszy,
Nad nim to widną sklepienia,
Tak me nadzieje, wspomnienia,
I lubo, rzewnie mej duszy.....

Marzyłem — pocztarz powoli
Przebiegał smugi i pola,
Uśpione gaje topoli
I żyzne błonia Podola.
Jakże miłe, nętne wtedy,
Gdy im słowik tylko śpiewał,
Gdy tylko kiedy niekiedy
Dzwonek hymn jego przerywał. —
Cyt! toż jęk tęskny puhaczy?
Krzyk dziecka? zgadnąć nie mogę;
Boże mój, co się to znaczy,
Wilk tam poskoczył przez drogę.
Przerzuciłem broń przez ramię,
I gdy pędzę zejść go z bliska,
Jaważ, czy się snem nie mamię?
Ach to plac pobojowiska:
Zaprawdę, wzrok mię nie łudzi,
Ku której nie spójrzę stronie,
Zbrojne stosy trupów — ludzi,
Ścierwa posiodłanych koni...
I całe pole zasiane
Śmiercionośnym spiżu gradem,
Strzelby, szable połamane
Przy xiężycu świecą bladym.
Wołam, ozwały się — echa,
Żywych nie widzę, nie słyszę;
Xiężyc się tylko uśmiecha,
Wiatr tylko liściem kołysze.
Mijam zarośle parowu,
Pędzony wrażeń nawałem,

Świeci się, patrzę... co znowu
Trup, ach ja trupa poznałem!
Miecz zżymał w dłoni bezwładnej;
Czoło zmarszczyła złość wściekła,
Na twarzy sinej i bladej
Krew się strumieniem zapiekła;
Jak gdyby jeszcze mógł widzieć,
W xiężyc się strasznie wpatrywał;
Raz z piekieł, zda się, chciał szydzić,
Znów, zda się, Niebo przyzywał.
Tuż miałem spotkać cię ninie!
To on, krzyknąłem, to Leon....
I ktoś wyjęknął w krzewinie:
,,Gdzie on, przez litość, ach gdzie on!"—
Jak wryty podziwem, trwogą,
Wytężam oko i ucho,
Żywych nie widzę nikogo,
W polu tak cicho, jak głucho....
A więc na oślep, za wrzaskiem,
Biegnę w tę stronę na wzgórek;
Ha! coś mignęło pod laskiem,
Skradam się, łusnął już kurek.....
Jęczy,—lecz to jęk ponika,
Zaledwom go wskok przesadził,
Połyskże naramiennika,
Czy szelest kroków mię zdradził:
,,Na wszystko drogie ci w świecie,
,,Na matkę, węzły rodzinne,
,,Oszczędź, zaklinam, to dziecię!
,,Ono krwi waszej niewinne!"

I łza na oku stanęła,
Zadrżałem jak liść topoli;
Bo cała rospacz krzyknęła,
I cała boleść niedoli.
Jak wryty podziwem, trwogą,
Znów wytężam oko, ucho;
Lecz znów nie widzę nikogo,
W polu tak cicho, jak głucho!—
Mijam zaroślc parowu,
Wzburzony wrażeń nawałem;
Mignęło... patrzę, co znowu?
Chłopiec, ja chłopca poznałem:
Przymarły trwogą okrutną,
Jak niegdyś piękny i ninie;
Lecz drżący, blady jak płótno,
W gęstej się tulił krzewinie;
Milczy, naprożnom go wołał,
Zwabiał i cieszył daremnie,
On podejść nie śmiał, nie zdołał
Uciekać dalej ode mnie:
„Sam jeden wśród nocy w polu,
„Powiedz, kto ciebie tu rzucił,
„Tyś mię nie poznał Karolu,
„Jam do was gościć powrócił.
„Wspomnij, w gaiku, po łanach
„Jakeśmy z tobą hasali,
„Jak grałeś na mych kolanach,
„Ciągał mą szablę po sali;
„Jak ty, ja, mama i tata,
„Szli za Justysią na smętarz,

„Już dawno, temu dwa lata,
„Tyś płakał wówczas, pamiętasz?"—
On długo patrzył nieśmiało,
Ważąc wspomnienia dziecięce,
I razem, z ufnością całą,
Rzucił się do mnie na ręce;
Płakał i śmiał się, znów razem
Nie wierzył, zda się zgadywał;
To ze szczéroty wyrazem
Powieść swą łkaniem przerywał:
„My śledzim, ojca szukamy,
„Lecz ciemno, straszno w tym lesie;
„Mnie zimno; puść mnie do mamy,
„Mama do domu zaniesie.
„A ty czy pójdziesz za nami?
„Tam dobrze, co noc z za drogi
„Wjeżdżają goście z pikami,
„Tam brzęczą szable, ostrogi.
„Ja się ich teraz nie boję,
„Oni mnie wożą gościniec,
„Tam pełne ludzi pokoje,
„Tam pełen koni dziedziniec.
„Od rana aż do wieczora
„Biegałem ciągle nad drogą;
„Lecz wczora i pozawczora
„U nas nie było nikogo.
„Ot w północ, gdy wszyscy spali,
„Jam zląkł się, zskoczył z pościeli,
„Brzęknęły ostrogi w sali,
„Na dworze konie zarżeli.

„Wszedł tato z szablą u boku,
„Z pistoletami za pasem:
„Czas jechać, mruknął, — od zmroku
„Czekają na nas pod lasem; —
„I wyszedł — nie wiem już o tém,
„Gdziem jechał wśród gwaru, szczęku;
„Bom zasnął, ocknął się potém
„W lesie u mamy na ręku.
„Próżnom patrzył w koło siebie,
„Gdy weszło słońce wesoło,
„Nie było chmurki na niebie,
„Żadnego z gości w około,
„Cicho, pogodnie, nic więcej...
„W tém mnie się w oczach zaćmiło,
„Gdy sto, tysiąc, pięć tysięcy
„Gdzieś tam za lasem strzeliło.
„Drżała ziemia pod nogami:
„Co to? ach gdzie my, gdzie tato?
„Mówiłem mamie ze łzami,
„A mama rzekła mi na to:
„Nie bój się, nie płacz Karolu,
„Nic się nam złego nie stanie,
„To od nas daleko, w polu,
„To fraszka, to polowanie.
„A czegoż ty płaczesz mamo?
„Znów strzelali, ziemia drżała,
„Znów mama, mówiąc to samo,
„Nie wiem dla czego płakała...
„I długo jeszcze raz po raz
„Strasznie bębnili, strzelali;

,,To bliżej i bliżej coraz,
,,To coraz dalej i dalej.
,,Pod wieczór zamilkł huk broni,
,,Ja chciałem wybiedz na drogę;
,,Lecz gdzie my, gdzie tato, oni?
,,Nie wiem i zgadnąć nie mogę.
,,Dotąd go śledzim, szukamy;
,,Ale mnie straszno w tym lesie,
,,Mnie nudno, puść mię do mamy,
,,Mama do domu zaniesie."
Umilkł; lecz ciągle się zdało,
Wspominać, widzieć cóś żądał;
To patrzył w pole nieśmiało,
To drżący na mnie poglądał.
A we mnie tak serce biło,
Lecz nie przez radość lub trwogę,
Tak wrzało, czuło, mówiło,
Jak dziś i wspomnieć nie mogę!—
,,Patrz! tam, gdzie wierzba płaczliwa,
,,Ja pójdę, gałęź załamię,
,,Pod nią twój tato spoczywa,
,,Bądź zdrów i powiedz to mamie!..."
Uciekłem nie pomnąc siebie,
Wtém wiatr zimno, głucho wionął;
Popędził chmury po niebie,
A xiężyc w chmurach utonął.
Goniłem jak koń wyskoczy,
I za mną, zda się, ktoś gonił,
Zabiegał, patrzył mnie w oczy,
Tętnił i w dzwonek mój dzwonił...

Daleko od drogi, w stronie,
Na tle niebios ciemno-szarém,
Jakże krwawo łuna płonie,
Nad strasznym świecąc pożarem...
Podjeżdżam — zgliszcze już trawi
Dym, ogień i śmierć dokoła...
Lecz gdzież zbawca, lub ciekawi?
Nikt o ratunek nie woła.
Tylko z za wiatru podmuchów,
W ostatnie tchnących płomienie,
Nie wiem, ludzi czy złych duchów
Igrały, snuły się cienie.
Widziałem głównie w ich ręku,
Słyszałem gwar, dzikie śmiechy;
Lecz ani łzy, ani jęku,
Wśród tej morderczej uciechy:
A niebo na to patrzyło
Licem to krwawém, to zbladłém;
Oh, całe niebo tam było,
Godném tych piekieł zwierciadłem:
„Tu ciepło, ludno... tuż ciebie
„Zaniesie matka twa!” rzekłem,
I chciwy uciec od siebie,
Daleko ztamtąd — uciekłem!
Uciekłem, a przeszłość woła,
Drażni myśl tęskną i dziką;
Głosże to piekieł, anioła,
Czy twej rospaczy, Ludwiko!...

# POSŁANIA I LISTY.

## Do J... P...

....nunquam satis!...

»Masz wolę, nie wiem, bardziej leniwą czy skromną,
Nie tajna tobie przeszłość i Rzymian i Greków,
Ty, coś umiał podsłuchać brzmienie złotych wieków,
Wpisane w xięgę życia na sławę potomną;
Bo gdy los walił państwa, czas kruszył ich bogi,
Gieniusz uniósł dzieje z tlejącej ruiny.....
Jak z ich treści, korzystaj z mej prośby—przestrogi,
Wskrześ nam śpiewy Nazona z umarłej łaciny,
A cześć tobie za pracę i zamiary święte!..."
Z pisma do mnie twojego słowa są wyjęte.
Hojnych losów pieszczoto, płci pięknej kochanku,
Wodzu uczty bachicznej i gwiazdo salonu!
Gdy tańczysz, radbym na cię patrzeć aż do zgonu,
Gdy mówisz, ciebiem gotów słuchać bez ustanku;

Gdy kochasz, żaden z tobą nie stanie do walki,
Gdy zbijasz lub dowodzisz, tobie zawad niema,
Wlokąc łupy zwycięzkie z Bacha i Westalki,
Dajesz gust, modę, zdanie i obiad Karema,
Apostole Szekspira, Szyllera wyznawco!
Zkąd ta myśl o Nazonie, powiedz mój łaskawco?
A więc gardzisz tym jeszcze niezawiędłym wieńcem,
Już cię, widzę, nie bawią romantyczne cuda;
Czy to dosyt zapału, żart albo ułuda,
Że nowej chcesz bydź wiary piérwszym odszczepieńcem.
Dawnożeś to przysięgał święcić jej zasady,
W obec Lary, Manfreda, Fausta, Walenroda?...
Dziś ten sam do odwrótu, jakeś był do rady,
Dźwignąć jej koloss wyższy, trwalszy od Nemroda,
I cóś wczoraj współmyślnych ku temu zapalał,
Chcesz płakać tej świątyni, którąś sam obalał.

* * *

Tam, na gruzach czas skréślił zwycięzkie imiona,
Gdy młody Wódz-Poeta krusząc jej kolumny,
Gonił przez nie, a za nim wieszczów zastęp tłumny,
Aż wionął z czałmy wieku chorągwią Byrona.
Niedługą była walka, nieliczni obrońce,
Z nich jedni broń rzucili, drugim ją odjęto,
Ziomek gardząc światełka, gdy błysnęło słońce,
Ślepą wiarą zaprzysiągł odrodzenia święto.
A co złożyć nie chcieli swych klassycznych wieńców,
W imie Gietych zelżono mianem odechrzczeńców.
Tam gust nowy przy starej ballady odgłosie,
Ty piérwszym jesteś świadkiem i naoczne dzieje,

Zwalił Ody, Sielanki, Treny, Epopeje,
Na szkoły romantycznej tryumfalnym stosie;
Tam, zgrozo! płod mozoły, jeńce trzech jedności,
Wrzucono cały parnas zareńskich teatrów,
Żywcem, w togach, (o powstań mścicielu z ich kości)!
Jest jeszcze miejsce dla cię w domu Bonifratrów,
Lecz co ja? nie powstawaj na smutne igrzysko,
W pięciu aktach odegrać własne pośmiewisko.
Upadł Olimp i Parnas, a Muza wygnana
Ostrym biczem przewrótu nieulękłych sprawców;
Ożyła gminu piosnka z natchnień wschodo-znawców:
Alexandra, Edwarda, . . . . ., Bohdana;
Z tej noty bojowniczej, pół-ciemnej, pół-rzewnej,
Jak z rysów okopconych starego obrazu,
Poznaliśmy prababkę w przeszłości niepewnej,
Długo była tak dzielną, znać z twarzy wyrazu,
I zamożną, jak widzę z jej bogatej szaty,
Ta wielka matka synów, wsławionych przed laty!...
Lecz ten obraz dla widza smutną myśl nawinie,
Że co zrodził początek, odumiera z końcem.
Ach! cóż wiecznie zielone, młodzieńcze, pod słońcem?
Gdy i pamięć, tak właśnie jak życie przeminie,—
Lecz sława!... to ognista, wędrująca zmija,
Na chwilkę gmin obudzi, zdziwi, zbłednie, zgaśnie,
A jej wieniec różany cierniem krew wypija;
Bo pod każdym z jej kwiatów kolce skroń zadraśnie;
Czemuż za nią co z bliska gonią i z daleka,
Chcą wierzyć, że ta sława jest szczęściem człowieka!
Zwycięzcy u zawodu zapaśniczej mety,
Zwyciężony, jak szczebel do chwały świątyni,

Jutro on sam się innym tym szczeblem uczyni,
A ci inni po jutrze nowego atlety....
Tak pędzi fala falę, chmura chmurę ściga,
Do skrytego zamiaru, przeznaczenia, celu;
Tak morze gwiazd nad nami snuje się i dźwiga,
Rzuć na nie myśl i oko, młody przyjacielu!
Dawnoż to, jak, i na co? gdzie ciągnie nieznana
Ta światów koczujących złota karawana?....
Teraz pisma twojego sięgnijmy do treści,
I po wniosku, rozwadze z tylu stron rozlicznych,
Zbyt niepewnych, dla rymu zbyt filozoficznych,
Przebacz, żadnej ci nie dam z Nazona powieści.
Próżnom tekę drabował i nie szczędził pracy,
Metamorfoz jej brakło, lecz znalazłem wkońcu
Z tego, co głosił Maro i śpiewał Horacy,
Dwie piosnki dla przyjaciół i pochwałę słońcu.
Wolnoż choć tém z klassycznych natchnień Alkoranu,
Pół-nieśmiało, pół-chętnie uiścić się Panu?
A jednak radbym skryć się przed uwag nawałą,
I grzech własny przynajmniej rozdzielić na wspólny,
Żeś wołał, i że byłem twej chęci powolny,
Drażnić gusta wytworne piosnką przedawniałą.
Chociaż nigdy nie będzie wyznaniem mej wiary,
Zrywać wieńce z przeszłości dla lada nowiny,
I że ci, co klassyczne skruszyli filary,
Lepiej nam śpiewać poczną depcąc ich ruiny;
Lecz gdy wszystko dziś waży, wszystkim rządzi moda,
Próżnobyśmy wołali: zgoda lub niezgoda!....

*1856 r. Stefanow.*

## Do L... B...

Mglisto i tęskno, zima okrutna
Pędzi na skrzydłach zawiei;
Dwakroć już lato i jesień smutna,
Przemknęły w mgnienia kolei.
I drugiej wiosny tak się dzień skończył,
Jak roje marzeń bez liku;
Jak czas, co przemknął i nas rozłączył
Na drodze życia, Ludwiku!
A tak obacznie, zcicha, tak nagle,
Skradł naszych rojeń ponęty,
Jak czujny sternik rozwija żagle,
Z brzegu łódź pędząc w odmęty.
Wart i szczęśliwszym torem ode mnie,
Ciebie twej wrócił rodzinie;
Głuchym był dla mnie, gdyż go daremnie
Błagał, w mej proby godzinie.
Trwoniąc najświeższe uczucia w biegu,
Piękniejsze zabrał mnie lata,

I cudzej woli, na obcym brzegu,
Dał na igrzysko dla świata.
Miedziane czoła gdzie skarbią chwałę,
Mamon ich bóstwem jedynem,
Gdzie knuje podłość a głupstwo śmiało
Wznosi swe dzwonki nad gminem!...
Chcąc paść go z czasem, cała otucha
I trudnej sztuki zasada:
Cierpieć wprzód kornie w zbydleniu ducha,
Gdy przemoc karku dosiada. —
Oh czemuż losu obłędne dzieci,
Gonim o żaglu swych marzeń,
Kędy nadziei gwiazda zaświeci,
Nad ciemną falą wydarzeń.
Jak błahej ceny, jak marnych blasków
Cacko, a człeka tak znęca,
Za kawał kruszcu lub szum oklasków,
Gdy się mu przedać poświęca.
Patrz, jak tam wielu stając u mety,
Znękani pychy nadmiarem,
Za jedném pchnięciem trafu, niestety!
Z tonącym giną Ikarem.
Lecz się to z nami nie zdarzy snadnie,
Znając mą wolę i oko,
Wiesz, ten z wysoka nigdy nie spadnie,
Kto nie chce sięgać wysoko.
Mus i uległość, szarpiąc na dwoje,
Uczucie duszy namiętnej,
Wdziały mnie szyszak, podały zbroję
I miecz do ręki niechętnej.

Sen to czy jawa?— z wielu jedyny,
Mógłżeś ty przeczuć lub zgadnąć,
Że młody czciciel cór Mnemozyny,
Ma krwawą bronią zawładnąć.
Że może z czasem, zgrozy tych czasów,
Bodaj nie przeżyć, nie dożyć,
Do świat hańbiących wpędzon zapasów,
Ma łzy ludzkości pomnożyć!—
Jakże dziś istniem o sprzecznym stanie!
Ty gonisz ku drzwiom świątyni,
Gdzie się dopełni twe powołanie,
Pod wodzą mądrej bogini.
Natchnion, rozmarzon wiosny wdziękami,
Gdy zamieć blada przeminie,
Wesoł, z młodemi siostry Nimfami,
Ojczyste witasz podźwinie;
Lub rad się wiążąc lubemi pęty,
Gdy zamgli jesień ponura,
Jak czarnoxiężnik w kole z dziewczęty,
Czarujesz w imie mazura...
A mnie za ciężkim Marsa roskazem,
Nic się ni śmieje, ni wdzięczy;
Wiosna i jesień i lato razem,
Traci ów urok młodzieńczy.
Urok! ach gdzież się skryły te czasy,
Kiedym tak marzył, tak roił!...
Nim z jeńczym trudem chodząc w zapasy,
Radość i lutnię rozstroił.
Lecz, baczny żeglarz wolen rospaczy,
Choć czarna chmura nań wieje,

I chlubny świetną gwiazdę obaczy,
Gdy męstwem wesprze nadzieję.
Wspieram, a dobre Niebo gdy zwoli
Uwieńczyć skromne me chęci,
Złotą zaponą zmienionej doli,
Zakryję przeszłość w pamięci:
. . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . .

*1829 r. Mohylew.*

## Do M... W...

A WIĘC się stanie wam zadość,
Przyniosę, coście tak chcieli,
I jakąż chlubę a radość
Dam, dla Mamona czcicieli!
Bo się spełniło coś żądał;
W mundurze, z miną wojenną,
W tym roku porą jesienną
Będziesz mię witał, oglądał.
Tam, w dzień troskliwie czekany,
Zabłysnę cackiem bez liku,
Srebrną szarfą przepasany,
We lśniącym naramienniku;
Z orłem u piersi złoconym,
Trzęsąc hełm świetny, pierzasty,
Z rapirem, w bócie palonym,
Słowem, jak Karol dwunasty!
Od głowy spięty do nogi,
W marsowej wąsów osłonie,

Stalą rycerskiej ostrogi
*Salve* i *vivat*... zadzwonię!
Nie wiem jak wierzyć tej karcie,
Czy to i lubo i wdzięcznie,
A tylko powiem otwarcie,
Że mnie w tej masce niezręcznie.
Mogę jej nie czuć zalety,
Może me oko zbyt gminne,
Nie ujmą jednak poety,
Te bawidełka dziecinne!...
Może się pięknzyć tym śmiałek,
Co tak nie myśli, nie marzy;
Lecz, mimo próżnych przechwałek,
Mars nie każdemu do twarzy.—
Ciekawyś, pocznę co potém?
To mi się właśnie podoba!
Wiem tylko, ile wiesz o tém,
Jaśniej nie wiemy nic oba,
Bo «nie wiecie dnia, godziny»
Oh, jak się ta prawda święci,
Temu, kto krwawe wawrzyny,
Opłacać życiem zachęci.
Dziś tu nad Dnieprem, znów żwawo,
Na smugi Niemna tak miłe,
Jutro mnie Belchan da brawo,
Po jutrze Kaukaz — mogiłę;
Lecz gdy zrządzeniem odwieczném
Nikt się od losu nie schroni,
Co budzi w łożu bezpieczném
I w biegu jeźdźca dogoni.

Że więc nie można go minąć
Ani w pokoju, ni w wojnie,
Więc gdzie on wskaże nam zginąć,
Tam i zginiemy spokojnie.
Nie chodząc z dolą w zatargi,
Jak szli i pójdą, iść trzeba,
Dumnie, bez prośby i skargi,
Ich nie chcą ludzie i Nieba.
Bydź albo nie bydź, z tém mniejsza,
Lecz gdybym panem był woli,
Oto ma wola dzisiejsza
Na skromną przyszłość mej doli:
Nie po zabory, nabycia,
Na chlubę waszą i własną,
Lecz gdym dziś pełen tak życia,
Gdy mnie tu duszno i ciasno;
Zhasać za lądy i morza
Przenieść uznoje, przypadki,
A potém? potém, daj Boże,
Pod strzechę wrócić swej chatki.
Przez związek luby, dostojny,
Dłoń z drużną dłonią połączyć,
I jak sen błogi, spokojny,
Dni tam poczęte dokończyć.
Tam przed gościnnym kominem,
Gdzie dziad i pradziad siadywał,
Gdziem, między drużbą i winem,
Nie jedną piosnkę wyśpiewał.

*1828 r. Mohylew.*

# Do G... G...

*Odsyłając mu Gazety i Poezye.*

Z pod miejskiego poddasza, szle dzięki najszczersze,
Dziedzicowi wsi pięknej, za prozę i wiersze,
Maskowany dziwactwem losu, wbrew naturze,
Literat z ostrogami, Poeta w mundurze,
Co dosiadłszy Pegaza, gdy wodzów nie skrócił,
Pod namiot go żołnierza z siódmych Niebios zrzucił.
Stało się! choć z niewielkiém sercem i ochotą,
Lecz żem jeździć nie umiał ciągnę się piechotą.
Ty znasz świat, tajnie jego i ludzi i dzieje,
A więc cię nie podziwią mej doli koleje;
Wyniosłe drzewo szczęścia, gdy tłum sobą kusi,
Dziesiąty, zrywa owoc, dziewięciu spaśdź musi.
Dobroczynna ta ziemia, co plennością łona
Wypasa dziś twe stada, karmi winogrona,

Matka róż i narcyzów, z których wdzięczne wianki
Stroją piękne warkocze ponętnej Multanki,
Ta ziemia, tak przed wieki niegościnna, pusta,
Pomni jeszcze Nazona skargi na Augusta,
Gdy wydarty ojczyźnie i żonie i dziatkom,
Złorzeczył, między Scyty, dni swoich ostatkom.
Tu, głębszej bard północy, w rozłożu tych łanów,
Pokutując za grzechy, twych wsławił Cyganów. (*)
I co arfę nastroił na wyższe rozmiary,
A nóci, jak Aldona i słowik w Bajdary,
Którego myśl, jak Faris, piastunka zapałów,
Duszę moją unosi w Niebo ideałów,
Śpiewak niebios i piekieł, ziem, morza głębini,
Nasz Poeta w sąsiedniej błąkał się pustyni.
Wdzięczność za rymy jego przyniosłbym ci w darze
Głowacki! jeśli wdzięczność wyrówna ofiarze;
Gdybym ja był król Franków lub Wschodni despota,
Dałbym ci za nie gwiazdę, dwadzieścia kies złota,
Lub pobożniej, za władzę wytwornego gustu,
Kapelusz Kardynalski, i sto lat odpustu.
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Koczującym w pustyni próżniakiem — poetą,
Przebacz więc że tak błahą płacę ci monetą.
Za dawnych, bardzo dawnych, jeszcze Rzymskich czasów,
Miała ona swe blaski w oczach Mecenasów,

---

(*) A. Puszkin, swój poemat pod nazwą: Cyganie, napisał w Besarabii.

I na lepsze znać wówczas poeta nią godził,
Gdy służalcom Augusta z Bogów ród wywodził.
Oni to nam, ich rozum, hojność uwiecznili,
Liktor piwnic i kuchni, z Horacym Wirgili,
Co przedaném natchnieniem, piórem zanajętém,
Jeden wsie, drugi talent wyrabiał *talentem.*
Niech mi jako chcą prawią, lepsze były czasy,
Nim Szeffer czarnoksięzkiej nie wynalazł prasy,
Co za jedno, stępluje i rzuca po świecie,
Dając polor i wagę fałszywej monecie.
Jaka taniość, jak wiele dziś butwieje marnie,
Nad czém wczoraj Bruxelskie potniały drukarnie;
Padł dowcip, we stu tomach! zecera mozołem,
Padł biédak i w xięgarni wala się pod stołem.
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Senże to, czy widzenie Wschodniego proroka?
Boginia ze stem uszów, stogęba, stooka,
Frank ją zowie gazetą, a Grek wieścią głosi,
Z twej woli, nowy dramat świata mnie przynosi:
W czarnoxięzkiej latarni mniej się zmienia cudów,
Niż w jednym jego akcie królów, państw i ludów,
Jakiż koniec, osnowa, cel, tej wiecznej sceny?
Nowy Fenix, z popiołów rodzą się Ateny;
Człek czarny jarzmo dźwiga, rwą go Inkow kraje,
Zasnął Hiszpan pobożny, Sparta ze snu wstaje;
Wielka Matka z zawiścią poglądać zaczyna
Na synów, Waszyngtona godnych i Franklina.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Francuz wyszedł pod żagle na zgubę Piratów!
Słabszy Osman, nie starcząc swych ojców systemie,
Ocknął się i znów sobie zadrzemał w haremie;
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Niburze! cóż mi teraz powiesz o człowieku?
Innyż on w dziewiętnastym, niż był w piérwszym wieku?
Wiek Augusta, wiek złoty! Tacyt jednak doda
Że i w nim człek był taki, jak z czasów Nemroda;
Też same namiętności, ułomność taż sama,
Od synów, do prawnuków Ewy i Adama.
Póki duma i zemsta miotać będą duszą,
Póty się ludzie waśnić i wyrzynać muszą,
A że złém chciwiej serce karmi się i mami,
Więc tak będzie i po nas, jak było przed nami;
Próżno dziwak z latarnią miotał na nich gniewy,
Darem złoty wiek marzył odludek Gienewy,
Padł Greczyn, a gdy Ludwik z swym tronem umiera,
W dań swobodzie, tnie wolnych miecz Robespiera.
Jeśli mamy z jej działań dawać sąd o rzeczy,
Że człek głupiec rozumny, któż temu zaprzeczy?
Bada losy przyszłości, toczy myśl po niebie,
Zna przeszłość a nie spójrzy i razu na siebie,
Ślepém okiem przedwieczne tajemnice czyta,
Zbłąkał się, nie zrozumiał i na Twórcę zgrzyta;
To klęka przed bałwanem, to się z Bogiem mierzy,
Raz we wszystko, znów potém niczemu nie wierzy;

Zuchwały w swych zamiarach, a korny po stracie,
Przemienia swe łożysko, przekształca postacie;
To ubóstwia, to znowu wszystkiemu jest wrogiem,
Jutro będzie szatanem, co dzisiaj pół-bogiem...
Tak więc, czy pasie tłumy, czy bydleje z tłumem,
On biedny z całą swoją wolą i rozumem.

Szczęśliwy, jak ty, idąc za wyższym porządkiem,
Kto sercem waży człeka a szczęście rozsądkiem,
Biczem trosk i sumnienia kogo los nie zaciął;
Kto rozróżnił łaszące gady od przyjacioł;
I wystarczył sam dla się, w doli i w niedoli.
Szczęśliwy, kto był panem — swej żądzy i woli;
Kto najniżej nie pełznie, najwyżej nie lata,
Znając świat, jako może, ucieka od świata;
Kto zamienił Golkondę z jej góry złotemi
Na kawał choć ubogiej lecz rodzinnej ziemi!
Nie pójdzie on z orężem i piórem po sławę,
Wiek cały warząc w sobie dumę i obawę...
Słodsza mu jedna chwilka, dobru niestracona,
Nad tysiąc klęsk wygranych dla Napoleona.
W pieczy Bogów domowych, swej żony i dziatek,
Jak gości lubych sercu spotka dni ostatek,
A kończąc drogę życia, tak skryje się właśnie,
Jak słońce w piękny wieczor gdy w morzu zagaśnie.

*Chocim 1850 r.*

## Do A... C...

Zerwij pieczęć, rozwiń kartę,
Ty, w którym nad wyraz cenię
Rozum i serce otwarte;
Cześć tobie i pozdrowienie!
Gdy myśl tęskni, młodość drzymie,
Gaśnie ogień wieszczy we mnie;
Ja pasę nudy w Chocimie,
A ty chcesz piosnki ode mnie.
O jak się mało spodziewać
Od zbolałej wyobraźni,
Jeszcześ i marzyć i śpiewać,
W imie bractwa i przyjaźni! —
Po raz drugi smutny wrzesień
Na tumanném wichrzy niebie,
Z nim powraca druga jesień
Jakem pozostał bez Ciebie.

Jesień, lecz ten Fenix roku,
Milszą wiosną się odrodzi;
Czemuż tak z Niebios wyroku,
Los nam uczuć nie odmłodzi.
Czemuż, gdy zerwiem ich kwiaty,
Przesyt żółcią nas upoi,
I na wieczną pamięć straty,
Ranę serca nie zagoi.
Toż biedne serce poety,
Wciąż, jak zmienna, wrząca fala,
Igrzysko losu, kobiety,
Wieczne pragnienie Tantala....
Ustaję, słabnę, im dalej
Przez obcą niosę go ziemię;
Troska ziębi, żądza pali,
Duch pada, świadcząc na brzemię.
Dawnoż wyrojon z powicia,
Czas i przestrzeń zbasał w biegu,
Ledwom wyjrzał z kwiatu życia,
Już pół drogi do noclegu!
Człowiek a stronię od ludzi;
Bo w tym do najęcia tłumie,
Nic mych uczuć nie przebudzi,
Nikt mej skargi nie zrozumie,
Kogoż modła, jęk ich wzruszy,
Któż choćby łzę rzuci na nie,
Komuż, jak tobie, tej duszy
Nieść ulgę, serca dostanie?
Jej pokój skłucony losem,
Zjątrzony wspomnień cierniami;

Dni tęskne boleści głosem
I cierpień, zlicza je łzami,
Co drażnią przeszłość szczęśliwą,
Zgubioną w wiecznej już toni
I teraźniejszość burzliwą,
Gdy w ciemną przyszłość nas goni,
Budząc złą jawą sny wieszcze,
Sny błogie, lube, co zowiem
Nadzieją, wiarą i — jeszcze...
Ciekawyś? wracaj a powiem.
Lecz w domiar złotej godziny,
Spełnią sięż kiedy me chęcie?
Gdy z za Dunajskiej krainy
W moje pogonisz objęcie!
Pośpieszaj, chwilo żądana,
Której tak serce zazdrości;
Z za dzikich grzbietów Bełchana,
Pośpieszaj, najmilszy z gości!
A będzie jeszcze mnie miło,
Witaną czarę nalewać.
I że cię niebo wróciło,
Dziękczynną piosnkę zaśpiewać!
Wyznawco kobiet i wojny;
Z tobą me wrócą natchnienia
Jako świt jasny, spokojny,
Ockną się milsze wspomnienia,
Z ich kwiatów zwijem dla siebie
Wieniec, co tyle nas łudzi;
Usiądziem myślą w ich niebie,
Oddawszy resztę dla ludzi. —

Lecz żaglem kochanka Ledy,
Pędź tu, nim chwile ucieką;
Nim spadnie zima, bo wtedy,
Jak ty, uśliznę — daleko!

*Chocim 1830 r.*

## Do G... B...

Gdy czas i serce po temu,
Tobie dziś, tobie samemu,
Szczerej przyjaźni natchnienie,
Cześć, uścisk i pozdrowienie.
W dziwacznych losów odmęcie,
Srogim ich biczem pędzony,
Gierardzie! w twoje objęcie,
Z dalekiej rzucam się strony;
Żywy, ta karta przestrogą,
Bo zmarli pisać nie mogą.
A jak i gdzie się dziś mieszczę,
Po szóstym wędrówki roku:
Poeta i żołnierz jeszcze,
Z piórem i szablą u boku
Przebiegam obce pustynie,
W chłodnej Jlmenu krainie.
I po rozdrożach koczuję,
Gdzie latem, dzień nie nocuje,

Gdzie Wołchow zieloną smugą,
Jak żmija, toczy swą strugą
I dźwiga ów potwor chyży,
Co tak ładowny a szumny,
Dym miecąc paszczą kolumny,
W imie Fultona przebiega,
Rozlewia modre Warega.
Bezdnę ma u nóg,— a wyżej
Zastęp obłoków z nim pędzi;
Śnieżne, o złotej krawędzi;
Nad niemi błękit, pod niemi,
Pomiędzy Nieba i ziemi,
Grające stado łabędzi,
Jak łodź, obłok, Wołchow płynie
Dalej a dalej i ginie...
I gdzie ów Pan podupadły,
Tak niegdyś butny, niekorny,
A dziś ponikły, klasztorny,
Nowogrod, wiekiem pobladły,
Dni swe policza i wspomnie;
Ale dość o nim i o mnie.
Ty mnie najmilszy z niewiela,
Że istniesz, w podziekę losom,
Piję zdrowie przyjaciela
I błogosławię niebiosom!
I błogosławię tej chwili,
Co mnie tyle wspomnień budzi,
Gdyśmy się razem ćwiczyli,
Szkoły Marsa wychowańce,
Bronić i zabijać ludzi,

I burzyć i sypać szańce.
Lub zszedłszy się z baszt olbrzymem,
Gdy on zagrzmi w dział tysiące,
Jak go podejść chytrą *miną*,
I na cztery świata końce,
Oszpeconego ruiną
Wyrzucić z ogniem i dymem! —
Pomniszże jeszcze te czasy,
Gdyśmy z mierniczym stolikiem
I z wąsatym Porucznikiem
Brnęli przez bagna i lasy?
Lub w znojną pół-dnia godzinę,
Zaległszy gęstą leszczynę,
Gdy świat od skwaru omdleje,
Wróg, natręt i wiatr ucicha,
My, wówczas z marzeń kielicha,
Zwodnicze pijąc nadzieje,
Skąpcy, sam na sam, w ukryciu,
Tło snuli lepszemu życiu?
A na tych złudzeń osnowie,
Któż dziś to wspomni, wypowie,
Czarowne błysnęły zwoje,
Najdruższej zlęgły, najściślej,
W wieńce młodzieńczej twej myśli,
Tej Muzy twojej i mojej.
Pomniszże z koszar wycieczkę,
Z bronią pod płaszczem, za rzeczkę,
W ów miły, roskoszny borek?
Nie jeden ranek, wieczorek,
Zhasan na łowach Dianny?

Ow popłoch Nimfy, gdy ona
Wbrew nowego Akteona,
Wionęła łonem z swej wanny...
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Czemuż się tak wdzięczyć zwykło,
Co już odkwitło i znikło,
Jako nasze dni pierwotne,
Ich wszystkie znęty przelotne,
W tak drogiej skarbione cenie,
Nagrodziż jedno wspomnienie!

Pozwól się teraz zapytać,
Co umiesz myśleć i czytać
I taić się dziwną sztuką
Ze zdolnością i nauką,
I chować rozum w sekrecie,
Nie mówiąc o tém nikomu—
Bielacki, wyznaj mi przecie,
Co cię wróciło do domu?
Rodzinne może natchnienie,
Dosyt próżności, znużenie,
Niemoc i blizny broń Boże,
Przez kogo, za co?— a może
Jedno Elwiry westchnienie?
Jakby się zresztą nie stało,
Gdy się losowi tak zdało,
Warowniom odjąć sapera;
Mądry zdobywco swej chaty,
Ojczyste wyznaj penaty!
Tam miłość i przyjaźń szczera,

Niech wejdą, licząc twe chwile
Najdłużej, godniej, najmilej...
Oh! kiedyż zrównam twej doli!
Kiedyż mi Niebo pozwoli
Zamieszkać własny mój domek?
Na przekor losom umyślnie,
Kiedyż cię ujrzy, uściśnie,
Druh i towarzysz i ziomek?
Kiedyż zadzwoni z komina
Weselna, złota godzina
I twój mi przyjazd wybije!
Za hasłem Bacha kapeli
Kiedyż sto korków wystrzeli:
»Niech żyje Gierard! niech żyje!...»

*1832 r. Nowogrod.*

## Do A... P...

O ty! co nie wiesz i na co i po co
Ludzie się troszczą, waśnią i kłopocą,
Nie chcąc, jak inni, tak wysoko cenić
Sławę, dla której człek cierpi i ginie,
A umiesz za to roskosznie się lenić,
Marzyć i palić, przy ciepłym kominie,
Prawić i słuchać, tańczyć i polować —
Pozwól się za to trzykroć ucałować.

Włóczęga, wołam do Ciebie zdaleka,
Z miasta, którego choć dzieje niesławne,
Choć go nie sępią gmachy starodawne
I krwawe ślady przeszłych klęsk człowieka,
Choć go nie strzegą śpiże z baszt i szańców,
Nieobojętne ma jednak zalety:
Chlubne z przemysłu bogatych mieszkańców,
Pulchne i białe wyroja kobiety. —

Syligier modre zarzucił mu dłonie,
Na jego jasném i spokojném łonie,

Zielenią wyspy a na wyspach gaje.
Tam, w srebrne lustro — jawa czy się zdaje?—
Niebo i ziemia zapada i tonie.
Tu, ówdzie, domek, jak łabędź z wód łona,
Oknem przez liście przegląda się lśniący;
Tam, klasztor smutny, wciąż modły szemrzący,
Wydźwiguął stare ku Niebu ramiona.

Radzisz autorstwo; gorzko z niém na świecie,
Gdzie lada pełzacz swe ślepie wytrzeszcza,
I perłę uczuć przerzuca jak zmiecie
I żółć wyrzyga na boską myśl wieszcza;
A gdy ją zgasi, oszpeci i zwichnie
Jak Epimetej w marny zlepek dmucha,
Aż stworzy małpę, toć się i uśmiéchnie
I ciemny, wskaże jak wglądać w świat ducha.
Teraz nic bezeń, co ciągnąć z twej treści
Błahy na sławę, chce dla się choć wieści.

* * *

Ciekawyś zatém, jak mnie czas upływa?
Zrana, sam na sam, bydź z xiążką najmilej,
W ćwiczeniach Marsa dzienne biegną chwile,
Wieczór do gaju, lub Fanni mię wzywa,
Albo marzeniem zasnuty na czole,
Pływam samotny w rybaczej gondole;
A w noc mniej ważąc ich losów igrzyska,
Biję i króle i damy u wiska.

Jeszcze potężną goniąc wyobraźnią,
Wiążę na złote młodości ogniwa,

Radość z uczuciem i miłość z przyjaźnią.
Jeszcze... aż zmierzchnie ta chwila szczęśliwa:
Gdy lada chmurka święto jej narusza,
Błogo ssać roskosz z oczu, ust, kibici!
Lecz ziębnie serce, zamyśla się dusza,
I biada temu, kto się nią przesyci.

I biada temu, czyja żądza harda,
Chcąc wszystko posiąść, wszystko zgłębić razem,
Rwie się do Niebios na bani Blanszarda,
W otchłaniach morza gości z wodołazem.
Cóż ją zasili, cóż jej męstwa doda?
Jeroglif Maga, czy wieża Nemroda?
Arlekin — sława, czy głupiec — nadzieja,
Co tak dziś wieńczą Karola i Deja? (*)

Dziecko, marzyłem... a cóż mnie to nada?
Któż zgadnie wiecznej prawdy tajemnicę?
Kto ją podsłucha, obaczy, wybada,
Kto jej ostatnią doczyta stronicę?
Biedne poznania! im kto więcej poznał,
Ten więcej żółci wypił, nędzy doznał,
Na toż, by w końcu tej uczty powiedział,
Że ważąc wszystko, nic się nie dowiedział?

Nim pękną żagle, łódź żywota skruszy,
Nim zrzucim ciało, te kajdany ducha,

---

(*) 1830 rok, w dziejach Francyi.

Czemuż nie zgaśnie ten wulkan w mej duszy,
Co im tli dłużej, tém silniej wybucha?
Któż w nim zapalił lochy tajemnicze?
Jestże on dla mnie karą czy obdarem,
Gdy raz mi Niebios odkrywa oblicze,
Drugi raz piekieł trawi mię pożarem?

Błogo więc, błogo, kto idąc śród gminu,
Wyżej i głębiej, jak on, nie zaglądał;
Uniknął palmy, nie pragnąc wawrzynu,
Oklasków, togi, pomników nie żądał.
On król pod strzechą, gdzie nim los nie miota,
Gdzie mu nie zajrzą wieńca i szkarłatu,
Uczony, — wielkiej nauki żywota,
Wędrowiec, — w państwie własnego powiatu.

*1832 r. Ostaszkow.*

## Do J... Z...

Jak gonić lubo a mile
Naszej wiosny złote chwile,
Ciągnąc, pijąc, z uciech tłumu,
Słodycz serca i rozumu—
Tak po złotych chwil przelocie,
Jakaż tęsknia udręczenie,
Budzić o drogim przedmiocie,
Bolesne tylko wspomnienie!...

Kto jak Ty myśli i czuje,
Zgadnie troskę, co mnie truje,
I com wyśpiewał w tej strofie
Tobie, wiejski filozofie!
Po wzdętej fali obiegu,
Gdy się innym Nieba chmurzą,
Przed szkodą mądry, u brzegu
Nad losów zrągasz się burzą.
W cichej twych bogów uchronie,
Dziadowską otulon strzechą,

Na rodzinnem igrasz łonie,
Z myśli i serca pociechą,
Niewolnik mniej bacznej woli,
Gdym niegdyś w domu twym gościł,
Jak chwilom przeszłym twej doli,
Takem ja wówczas zazdrościł.
Bo o cóż modli człek Nieba
Głosem namiętnym i chciwym,
Gdy mu tak mało potrzeba,
Bydź świata gościem szczęśliwym!
Jak prędko gaśnie mu słońce,
Jak chyżo dni nasze płyną!
Biegą lata i miesiące
I godziny za godziną;
Przeszłość znikła, przyszłość skryta,
Jak sen mija wiek nasz młody,
Jeszcześ gdy marnie odkwita,
W dniu burzliwej niepogody.
Takież ma bydź nasze życie,
Gdy tak krótka podróż człeka,
Gdy, po tym znojnym pobycie,
Trwożymy, wątpim, co czeka?...
A więc rzuciwszy pod nogi
Troskę i próżne czuwanie,
Użyjmy chwili tak drogiej,
Aż sił i czasu dostanie.
Mamonie, karlej wielkości,
Omijam ciebie ze wstrętem;
A szydząc z dumnej próżności,
I gardząc losu natrętem,

Sam tu, chcę na tym padole,
Żyć wolen troski, bojaźni,
I goszcząc w drużby mej kole,
Spełniać ich czarę przyjaźni!...
Lecz darmo tęskna myśl trudzi
W jałowym stepie pielgrzyma;
On szuka, woła na ludzi,
A ich tu, niéma i niéma.
Piękneż za prawdę te kraje,
Jasna tych Niebios opona!
Tu Ceres, Flora, Pomona,
Pełnym się koszem rozdaje,
A jednak nic mię nie mami,
W niczém tu roskosz nie wróżę;
Te Nimfy... róże z cierniami,
Za ostre bacznym na łoże.—
Kiedyż mnie więc los pozwoli
W twém się objęciu ocucić?
Z Egiptskiej do was niewoli,
Kiedyż ja zdołam powrócić!
Okryty kurzem, zdrożony,
Witać, uścisnąć was zdołam!
Kiedyż do piersi stęsknionej
Wszystkie radoście przywołam,
I po stronie, lubej oku,
W milszej sercu goszcząc strefie,
Spełnię aż do dna uroku,
Pod twoją wodzą, Józefie!

*Chocim 1830 r.*

## Do M... R...

Suum cuique....

O czém nie śnił i nie wiedział,
Bezpieczny żołnierz-poeta,
Któż ci to bracie powiedział?
Szpak twój, czy stara kobiéta?
Że stalszą myślą i wiekiem,
Chcąc bydź porządnym człowiekiem,
Że się już miałem odmienić,
Mniej roić, marzyć i lenić?
A dodawszy w swym postskrypcie,
Przestrog, uwag, rad, po szczypcie,
Recept w mądrej niesiesz prozie,
Wróżąc, że już po tej dozie,
Zwolę się w końcu, — ożenić! —
Umiem cię kochać i cenić,
Piękne twe serce rozumiem,
Zdań twoich słuchać gotowy;
Lecz tu ich wszakże połowy,
Przebacz, że pojąć nie umiem.

Gdybyś jak Woban rozumny,
Zaczął nauczać i radzić,
Jak na powietrze wysadzić
Podkopem wrogów kolumny;
Psuć, roztrącać ich zamiary,
Bacznością chytrą, ustawną;
Snadniejbym tobie dał wiary,
Choć sam jestem żołnierz dawno;
Ale będąc nieżonatym
Zkądże to masz wiedzieć, proszę,
Tych sakramentów roskosze?
Prawda, ty słyniesz bogatym,
Syt i pewny szczodrej doli;
Pojąć żonę w twojej woli,
Piękną, młodą i rozumną.
Lecz me żądze mniej dziś dumne,
Gdy o kawał dla się chleba,
Błagać muszę wprzódy Nieba!
A nim, dobre, nie pozwolą,
Bezpieczną cieszyć się dolą,
W skromnej mych ojców dziedzinie,
Póki nie zdejmę przyłbicy,
Nie odpaszę szabli mojej,
Póty zadość nie uczynię,
Choć tak pięknej, radzie twojej,
Światły, szlachetny Maurycy!
Czyś pomyślił kiedy o tém
Jak o sprzecznym gonim stanie!
Ty, wody i ziemi Panie,
Z żadnym się nie znasz kłopotem,

Ciebie troski, nędze, biedy,
Skrzydeł nie budzą szelestem;
Los u nóg twoich; a wtedy,
Zaprawdę jak żołnierz jestem.
Pod zimnym, mokrym namiotem,
Nie raz, rzucony na ziemi,
Na twardym wsparty tłomoku,
Jeden z przyjaciołmi memi,
Z psem u nóg, z szablą u boku,
Gdy mię smaga dreszcz po skórze,
W moim błyszczącym mundurze,
Czuwam do rana od zmroku.
Jak często, pod szorstką burką,
Z myśliwską torbą, z dwururką,
O śronie późnej jesieni
W tumanny gonię poranek;
Gdy się roskosznie Pan leni,
W pieczy Liońskich firanek,
Ja przez lasy, pola, hasam
Z wiatrem i mrozem, sam na sam.
Wyznam się, ojców zwyczajem
I ja nie gardzę tokajem,
Gotów co dnia, jak w zapusty,
Zjadać pasztet wonny, tłusty;
I ja się umiem wycięczać
Piosnką, miłością i czarą,
Mirtem i bluszczem uwieńczać,
Paść im do jutra ofiarą;
Lecz jutro, wzbudzony echem
Wojennej trąby chrapliwej,

Z łona przyjaźni życzliwej
Zrywam się, gonię z pośpiechem,
Pod ostrą przeznaczeń strażą,
Za krew płatny lichą gażą,
Westchnąwszy z gorzkim uśmiechem
Działam i dążę, jak każą...
Mém nakryciem, wówczas, Niebo,
Mojém łożem ziemia twarda;
Srogą znękana potrzebą
Dusza mniej dzielna i harda,
W najemnym żołdactwa tłumie
Dotrwać swej nędzy nie umie.

Brzmieniem Mocarta kapeli,
Gdy Pan swą ucztę weseli,
I w Arabskich woni dymie
Na łonie Laisy drzymie;
Los mię wówczas, skąpszym darem,
Karmiąc wodą i sucharem,
Wciąż, jak tajnych sądów rada,
Wola za mną: biada, biada! —
Znajdzie sięż miłości wola,
Którą nie zrazi niedola?
I jak się wyda kobiécie,
Taki człowiek, takie życie?
Co choć się nie raz jej korzył,
Lecz jeszcze pomny do tyla,
Że to cacko Pan Bóg stworzył
Na podobieństwo motyla.

Świadom cudów przyrodzenia,
Uczeń ze szkoły Biuffona,
Wie jak się motyl przemienia,
Zna barwy Chameleona,
Lecz czyż pojął, zgadł, zrozumiał,
Sam Alcyd, Samson, niestety!
Dojrzeć i śledzić mógł, umiał,
W czas, jedną zmianę kobiety! —
W jej spójrzeniu Niebo wieczne,
Rój pieszczot ziemnych w jej łonie,
Gdy wije koła taneczne,
Na lśniących szybach w salonie;
Jej głos cię omgli, zachwyci,
Jej obraz twój byt ochłonie;
Tak sercem przyrośniesz do niej,
Jak okiem do jej kibici....
Przyrośniesz i z omamienia,
Na jakiejż ockniesz się fali,
Gdy Anioł w żonę się zmienia,
Żona w Jejmość... i tak dalej.—
Ach, ach, z tą wieszczą Jejmością!
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Żadnejż nie uledz dziewicy?
Nie chcąc cię drażnić przyszłością,
Tło spuszczam, żeń się Maurycy!
Przymus twych dążeń nie plami,
Rządząc swém zdaniem i wolą,
Co jeśli cierpisz czasami,
To chyba cudzą niedolą;
Co wziąłeś z lichwą zadatek

Na skarby losu i Nieba,
Na rozum, młodość, dostatek,
Niczże już więcej nie trzeba?
Milkniesz, więc powiem w ostatek:
Stałąż nie poczniesz miłością,
Ty, coś pokłócił zazdrością
Pół świata córek i matek?
Sceptyku! nie wątp choć o tém,
Gdy wątpić możesz i potém,
Tak dobrze, jak wątpi wielu,
Całe życie po *weselu*...
Szampan, śród grzmotu kapeli,
Gdy setnym korkiem wystrzeli
I twe obwieści wesele,
Ja przyjdę, radość podzielę,
Pić będę za wasze zdrowie,
A w pełném sercu i głowie,
Gdy myśl poszepnie znów o tém;
Ważąc mniej względniej i ściślej
Wręcz zajrzę tobie, a potém
I sam obaczę, pomyślę...
Lecz Mistrzu! daj przykład z siebie,
Niech pierwiej twa gwiazda błyśnie,
Pojmij żonę godną ciebie,
Bądź wprzód szczęśliwszym umyśnie.

*Wysznij Wołoczok 1832 r.*

## Do G... B...

Przyjacielu! tém niegdyś zwałem cię imieniem,
A dziś kreśląc ten wyraz na spoźnionej karcie,
Niepewny, mogęż tobie wylać się otwarcie,
Gdym się skrzywdził, zmarnował dwuletniém milczeniem?
Com zaniedbał dowolnie, choć pismiennej wieści,
Tak niegdyś chciwie, rączo, przesyłanej wzajem.
Mnie, com wypił aż do dna z jej natchnionej treści
Przywiązany współczuciem, choć dzielon pół-krajem,
Dziś wznawiając od serca to święte przymierze,
Wolnoż cię nazwać druhem i nazwać się szczerze?—

Sądź jak chcesz, ja się błahej nie poddam bojaźni,
Sam, z odjętą ostrogą, staję do wyroku:
»Za zbrodnię przemilczenia podwójnego roku,
Za rozbrat świętokradzki młodzieńczej przyjaźni,
Za czas, co do tak lubych marzeń nas kołysał,
Za skarcone nadzieje, zdarte obietnice,
Winien sądu, kto winę milczący podpisał,
Więc na odwet, w milczeniu, rzucam rękawicę;

Jakem żołnierz, druh prawdy i drużby fanatyk,
Cios za cios, tak poetę karze matematyk.» —

Lecz nim wyrok zapadnie, gniew wyleje z brzegów
I rzuci klątwę zemsty stronie zwyciężonej,
Zaklinam na twe mistrze Bioty, Newtony,
I na tłumną falangę zrównań i szeregów,
Będziesz Sędzią, na wielkość twojego urzędu:
Zbyt często pozor zmyla i namiętność zdradza;
A teraz, zamknij skarby litości i względu,
I serce, serce nawet, tak sędziom zawadza,
Gdyś już gotów, z za kraty niosę ci examen,
Śledź, badaj, zbaw, potępij, rzeknę tylko — Amen!—

Jak zły duch, traf mię wodził po bezdrożach we dnie,
Gdy wkońcu zaszła chmurą mych nadziei gwiazda,
Cisnąłem w kąt przyłbicę dla szczurów na gniazda,
Budząc wrzącej młodości plonne przepowiednie;
I ulżyłem cierpieniom, przez Nieba łaskawsze,
Druh stary, drzwią rozwartą spotkała mię chatka,
Kędy dziecię, podrostek, młodzieniec, a zawsze
Byłem w niej, jak niepewnej przyszłości zagadka,
Za nim ślepi badacze, by mozołu skrócić,
Sądzili najdogodniej, oknem ją wyrzucić. —

Gdziem się potém przybłąkał, pomnisz to Gerardzie!
Mógłbym zginąć w ostatek, lecz znalazłem Ciebie,
Tam na pół znój i troskę dzieląc między siebie,
Szliśmy ramie o ramie wbrew złości i wzgardzie,
Mogłem paść, w obec wyznam, lecz twém męstwem wsparty,
Dotrwałem do wybicia probierczej godziny,

Gdy za wielką nas winę karał tłum zażarty,
Wyłonionych z wybrańszej i treści i gliny,
A dowiedli nam tego na chlubę swej broni,
Gdyśmy tak nie zwolecli czołgać się jak oni. —

Com przeniósł, jakie nadal przebiegłem koleje,
Od chwili, gdy łza niema przyszła nas rozłączyć,
Długa piosnka, nie zacznę, niepewny by skończyć;
Jej nota, raz jak majtek, co przeżył nadzieje,
Brzmi z Bachantką, znów jęczy z wiatrem na mogile,
Klnie piekłu, z chorem grzmotów gra hymny dla Boga
Głosi tryumf kobiéty wdzięcznej jak motyle,
Znów zmienna jak ta Ewa, zalotna a sroga,
To ciemna jak jeroglif, to luba, niestety,
Swawolna i drażliwa, jak dusza poety!

Zła piosnka, bo jej piérwszém dotkniony wybrzmieniem
Wróg się ocknął i zawiść ode snu pobudził,
Wyższym wiarę omylił, mierność wiarą złudził;
Że co wschodzi nie dla niej, błahém jest nasieniem.
Próżno mi z gór nadziei wskazał do przepaści,
Gdzie nad pańską winnicą ciemniał tłum szarańczy,
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Aż wkońcu, gdy mu braknie złudzeń i potęgi,
Zaciągnął mię do czarnej swych przeznaczeń xięgi.

Odetchnąłem swobodniej, tak się zdało przecię,
Biorąc drogę na prawo od natręta-stróża:
Lecz któż ścieszki powikłał, skrzyżował rozdroża;
Że co krok, to się błądzi na tym biednym świecie!

Wołaj lubę, Rusałka odpowie ci za nię,
Przyjdzie ona z twém złotem zważyć cię na szali,
Przyjdzie druh i Judasza da pocałowanie,
Dotknie serca i zdrady pięć palców wypali; —
Zabrzmi arfa, zawisny mol zgryzie jej strony;
Nie licz wrogów, to jeden twój los przebarwiony.
Sam właśnie, co to innym sypie skarbne łaski,
Że na klęczkach całują kraj jego chiłatu,
Gdy dzwonkami bogini źle wróżącej światu,
Wieńczy swe zwolenniki i grzmi im w oklaski;
Sam właśnie, co ucztując przeze dnie i noce,
Łzy prawych w wino zmienia i swą tłuszczę poi;
Lecz od Niebios strzeżony, wam się nie nawrócę,

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

O myślący jak myślę, co patrzysz jak widzę,
Szczęśliwy, cierpisz tylko, gdy ja nienawidzę...
Wędrowiec, z tym uczuciem wróciłem rodzinie,
A z posiewów nadziei, cóżem zebrał w plonie:
Bujno weszła nieprawość na świata zagonie,
A gdy zniszczyć nie zdoła, błogo, kto ją minie. —
Drugą szatę zieloną znosiło już lato,
Jakem się ujął pługa ręką nienawykłą,
Ocknąłem się i dzięki Opatrzności za to,
Omamienie chwil przeszłych jak w tumanie znikło,
Dziś ja, dalszy od świata, a bliższy od siebie,
Na domiar wyzwolenia, kiedyż spotkam ciebie?
Mogłem to zrobić dotąd, mogłem, chcę i wierzę,
Lecz nim wyszłe z tej myśli rozwikłam pytanie,
W imie prawdy, niech piérwej usłyszę twe zdanie;
Co, zdzierżyż jedno serce dwojakie przymierze?

Czy wiążąc różnorodne dwuch uczuć ogniwa,
Nie powolni pierwszemu gdy drugie natęża?
I czy miłość kochana, a przyjaźń życzliwa,
Mogą razem korzystać z praw druha i męża?
*Dwuwyraz* lub *różniczka* zniszczy tę zawiłość;
Lecz dopisz, choć w *post scriptum*, jak ty wierzysz
w miłość.

Co do nas, w obec ziemi i Niebios oblicza,
Wyznajem jak nas uczy powołania *credo*
Kobiétę, z rojem wdzięków i dziwactw czeredą,
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
Z jej istnią wyobraźnia drażni się i pieści
Od Trojańskiej Heleny do Letskiej Maryli,
Jak życie, sława nasza z jej wykwita treści,
Grzana słońcem, któremu częstośmy bluźnili,
Nim z za chmury przelotnej, mglącej ją pół-cieniem
Wyjdzie, by nas zapłonić wszechmocnym promieniem.

Co do nas, chociaż świeża boli jeszcze rana,
Lecz, gdy każą przyjaźni święte obowiązki,
Spójrzyj na nią, odrywam gojące zawiązki.
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
A wróg jaki, ohydo! w czarnej chwili szału,
Nie mógł nawet zasłużyć wzgardy i wystrzału.

Jeszcze raz — a raz jeszcze zacięły mię losy:
I kochana, i godniej dostojna kochania,

Pełna wdzięku słodyczy, jak w dzień winobrania...
Lepszym ustom, marzyłem, dadzą ją niebiosy.
A gdy nie dość uleczon od pierwotnej rany,
Ostróżny, nazbyt może poczynam obacznie,
Raz znęcony, a nie raz spłoszony, wygnany,
Stary kruk, pasł ją okiem, wkradał się nieznacznie,
Nim uśpiwszy mą stróżę, swą odwieczną jazdą,
Porwał złoto z pod ręki i uniósł w swe gniazdo?...

Owożm smutne dwuletnie wyśpiewał ci dzieje,
A że dotąd przed tobą ukryłem ich kartę,
Bo mogły bydź mych uczuć, twych uwag nie warte;
Gdy snadniej z łez poety mędrzec się uśmieje.
Jedno jeszcze, na powab cór Zeusa dziewięciu,
Chciałem spełnić dwa szczęścia na jednèm weselu,
W piérwszém, żonę zamknąwszy serdecznèm objęciu,
Drugiém witać objęciem, — ciebie przyjacielu!
I zgodź się, wcale nie źle obmyślił poeta
Nie zazdrościć na ziemi Niebu Mahometa.

Czemuż wątku zabrakło tak pięknej osnowie!
Dziś łaknę, jutro mogą skwaśnieć mi te gody,
A że milszy druh stary, niż stary pan młody,
Przyjdź bracie, a przestanę szczęścia na połowie,
Przyjdź dowieśdź *a priori* wnioskując z istoty,
Że uśmiéch prawej drużby i piosnka poety,
Gdy ją natchnie zapali iskrą Sotern złoty,
Więcej warta samotrzeć od jednej kobiéty.
Lecz, już może nie wolnyś tych dzielić prawideł,
Wskaż, dostanie mi jeszcze hymnu i kadzideł.

Bądź tylko mym błaganiom, mej żądzy powolny,
Druh zowie, Niebo sprzyja, zima tor wyściele.
Chcesz karać? karz mię w obec, lecz mścić się zawiele,
Gdy walczyć z tobą nie chcę, nie mogę, niezdolny.
Dość będzie twego dla mnie uśmiechu, spójrzenia,
Z chlubą przejdę bezbronny na stronę przeciwną,
I jak dobra zwiastunka światów odrodzenia,
Piérwszy wyjdę cię spotkać gałązką oliwną,
A dzień, co mnie o lubém doniesie przybyciu,
W imie twoje zapiszę najpiękniejszym w życiu.

*1837 r. Stefanow.*

## Do J. Z....

I TAK, zabiegi me próżne,
Zachęt i prośby umysne,
Boś ty się nie dał im schwytać;
By porzuciwszy swą Dzisnę
I koło Sędziów przemożne,
Statut i forum prawnicze,
Po milsze sercu zdobycze
Zechciał tu do nas zawitać;
Lecz jeśli przeczuć nie mylę,
Możeś tam gonił czas milej;
Bo i tam są piękne oczy,
I tam jest kibić czarowna,
I tam jest uśmiech uroczy,
I tam jest przyjaźń szacowna,
I pedant, co tak uśmieszy,
I głupiec, co tak unudzi,
Uśpi, umartwi, pocieszy,
I natręt, w ślad mu, co budzi;

A gdy to swoje tak miło,
Owoż i mnie się ześniło
Na rozbrat z wojny zapasem,
Nim na rzeź wyzwie, tymczasem
Przez zamieć śnieżnych bałwanów,
Dla powitania mych Panów
I Pań, co zamknij nawiasem,
Rodzinny zwiedzić Stefanow.
I było, jakem uroił,
A gdy niepobyt dwulaty
Jeszcze mą żądzę podwoił:
Woźnica krępy, brodaty
Powstał, cmoknął, klasnął, gwiznął...
I ja gardząc mrozy, wije,
Przez syczącą ślaku zmiję,
Wezwał gdzie niosła chęć płomienna,
Mimo Szkłowa, mimo Sienna,
Na brzeg Ulanki przyśliznął.
Jak luby widok swej chatki!
Jak droga pamięć chwil rzewnych!..
Uściśnion od ojca, matki,
Od sług powitan i krewnych.
O ileż dla serca wątku,
W ich szczérych, czułych spowiedziach,
W tych pytaniach bez początku,
W tych bez końca odpowiedziach!
Mgli oko... odmieńmy scenę,
Dość łez bez tego na świecie,
A ja się wolę dziś cieszyć.
Więc że nie tu kres był mecie,

Pomimo katar, migrenę,
Jeszczem mógł, zdołał pośpieszyć
Na Karnawał co w powiecie.
Tam, w skarg i sądów stolicy,
Żydów, błota i palestry,
Na rogu koziej ulicy,
Rażą światła, dźwięk orkiestry,
Wpadam — czy mię wzrok nie myli?
Ledwie hajduk drzwi uchyli,
Co za widok! co za cuda!
Jak bije promień głęboko
W miękkosza wzrok przebudzony,
Tak mnie bije z każdej strony
W roztargnione, chciwe oko,
Snu, czy to jawy ułuda.
O gdzież ty bracie, ach gdzie ty?
Spójrz co tu mieści ta chata...
Twardowskiż, Bosko, Pinetty,
Czy Leman figle mnie płata?
Jednoż z tych dziwnych widziadeł
Cudów, Armidy, Urgieli,
Gdy z czarnoksięzkich zwierciadeł
Grupp tysiąc w krąg się rozstrzeli.
Lecz albom nie zgadł do razu,
Co chce mieć sztuka ta zręczna,
Lub u tych bogiń obrazu
Rama tak grubo-niewdzięczna:
Dla tejbym życie, świat rzucił,
Dla tamtej! córyż to słońca!
Lecz czemu na nie cień rzucił,

Rotmistrz tym nosem bez końca.
Owdzie jak zorza o świcie
Wybłyska czasem z za głowy,
Co na wytartym swym grzbiecie
Stalaktyt dźwiga łojowy.
Ta świetna oczmi czarnemi,
Ależ jej papa, jej siostry,
I tam nad niemi wszystkiemi,
Klassycznej mamy wzrok ostry!
Tu władnie uciech Królowa,
Zalotna, młoda tak wiecznie,
A tam jej gorsza połowa,
Niebaczna drzémie bezpiecznie.
Z dozą wytrwania i weny
Wejdź teraz w natłok bez liku,
Tam za kulissy tej sceny,
Stań choćby przy tym stoliku,
I patrz ukradkiem do koła,
Bo próżno słuchać w tym gwarze,
Na wyjaśnione tak czoła,
Na te postawy i twarze;
W wyższych znać przyszli zamiarach,
Nie wątp, bo wątpić już grzechem,
Wbrew oczom w tych okularach,
Wbrew ustom z takim uśmiechem...
Lecz od uścisków stroń bacznie,
Bo nimbyś zdołał się sprawić,
Tak cię uścisną dwuznacznie,
Jak gdyby chcieli zadławić....
A zresztą z siebie tu radzi

I wszyscy w zgodzie zbawiennej,
Od buffetowej czeladzi
Aż do sług damy czérwiennej.
Chcesz nowin? w prawo ztąd zajdziesz;
Tam browarni, strzelców loże...
Chciej tylko mądrze a znajdziesz
Wszystko, prócz książki, broń Boże!
I właśnie, święcie, rozumnie,
Po co tam marzyć i śledzić!...
*Ergo*, najmędrszy dziś u mnie,
Kto więcej umie niewiedzieć,
A kto ma strawny żołądek,
Kliko najlepsze w powiecie,
Ten ma najczystszy rozsądek,
Ten mi szczęśliwy na świecie!..
Zgodź się więc bracie, żeś stracił
Na swym niewczesnym uporze,
Drogobyś teraz zapłacił,
By tu pośpieszyć dziś, może
Po uścisk od przyjaciela,
Na uroczystość tych świątek,
Gdzie Album Mefistofela
Zebrało tyle pamiątek...
Nie chciałeś? cierp więc leniwy,
Długo do przyszłej rocznicy,
Aż się ponowią te dziwy,
Na rogu Koziej ulicy!

*1828 r. Mohylew.*

# Do...

Młodzieńczych marzeń wspólniku!
Wiosny życia złotych godzin,
Przyjmij tę kartkę Ludwiku,
Na węzeł twoich urodzin.
Czemuż w rocznicę tak drogę,
Los pociechą nie chciał błysnąć,
Czemuż ja ciebie nie mogę
Życzliwą dłonią uścisnąć!
Czemużem dzisiaj niewolny
Z twą drużyną zlać się, złączyć,
I pełny kielich zastolny
Za twoje zdrowie wysączyć.
Zerwać z twych natchnień wysnuty,
Przyjazny wyraz i bratni,
I pożegnalną łzą struty,
Wziąć uścisk, może ostatni.....
Jak dziś, rocznica twa nieraz
Wróci szczęśliwa i słodka,

Gdy me wiązanie, jak teraz,
Znów cię, bydź może, nie spotka.
Bom już w pół drogi do kraju,
Kędy powinność mię wzywa,
Tam, tam! za nurty Dunaju,
Na krwawą ucztę Gradywa!—
Odjąwszy usta od czary,
Rzuć przed się oko, daj ucha,
Spójrzyj, gdzie wieją sztandary
I pożar wojny wybucha.
Słyszysz chrzęst jazdy, dział grzmoty,
Widzisz te wojska rozległe,
I Greckich niebios namioty,
Ognistą łuną zabiegłe?...
Patrz jak się Machmud rozjada,
Pędząc na rzeź jeńcze zgraje;
Gdzie dzika przemoc upada,
Zdeptana ludzkość powstaje!—
Na jej to dzielne zabrzmienia,
Wolen troski i wędzideł,
Tam gonię bez odetchnienia,
Tam, jak myśl, lecę bez skrzydeł,
Gdzie kwitnie mirt, gdzie laur zieleni,
Długo nikczemnie w hołd poddańczy,
Kędy jak gwiazda z miąższych cieni
Wybłyska owoc pomarańczy.
Czarnieją góry a nad niemi
Niebo lubieżną tkań rozwleka.....
Dziś jeszcze kocha się w tej ziemi
I wszystko pieści, prócz człowieka;

Bo człowiek tam, lub padły jeniec,
Lub zgroza jeńców, bicz, ohyda,
Tygr basza, dzielny Kleft młodzieniec,
I Janczar ze krwi Arystyda!...
Ginących tułał las, pieczara,
Nim syn za ojca, brat za brata,
Z gór runął gromy Palikara,
Uzbroił morze w łódź Pirata.
Lecz ileż łez i krwi i znoju,
Wypije wściekły bóg niezgody,
Za nim w oliwny liść pokoju
Uwieńczą Grecyą narody!
Iluż zastępom groźnym, dzielnym,
Usypie kurhan śmierć ich blada...
Ewan, Ewoe! nieśmiertelnym,
Co legną w ziemi Milcjada!...

Lecz dość w dzień twego imienia,
Nie chcę się gniewać a smucić,
I rzucam tkliwsze wspomnienia,
By niemi radość nie kłócić!—
Wolen troski i bojaźni,
W gronie rodziny życzliwej,
Żyj ty dla szczérej przyjaźni
I dla kochanki szczęśliwej!
Z nią gdy cię niebo zespoli,
Twym będzie aniołem-stróżem,
Z nią spełniaj czarę twej doli
Długo, gdy wiecznie nie możem.

Jak będzie chlubą mnie świetną,
Lub po mnie mojej pamięci,
Gdy wspomnisz w rocznicę setną,
Że bratnie wróżby los święci.
Wówczas to, wówczas z drużyną
Uderz w puhary Ludwiku,
A gdy wezbrane wam spłyną
Pjane wiwaty bez liku;
Ostatni tobie życzliwym,
Gdy wzniosą na cześć i wspomnię,
Jakże się nazwę szczęśliwym,
Jeśli dasz wzmiankę i o mnie!—

*1828 r. Mohylew.*

## Do St. Sp....

*Azya—przez Stauropol.* Owoż go i macie!
Zdrów, wesoł, czynny, śmiały, myślący nad lata,
Witaj mi z błogą wieścią Zakaukazki bracie,
Pomny o nas tam nawet, w drugiej części świata.
Marząc o swej rodzinie pośród wojny gromu,
Między niebem a ziemią, nad Beszty wyżyną;
Z jej czoła chciałbyś dojrzeć ojców twoich domu,
Ożyć w bratnich uściskach, ich mową, nowiną;
Chwała sercu twojemu, setne dzięki za to,
I niech cię Bóg nam strzeże nowy Azyato!

Zaprawdę ciężkim siebie tyś odważył znojem!
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Aż legnie, a jak? kiedy? to znać tobie snadniej,
Synu wojny! zwolenicze jej sztuki bojowej,

Jak tę hydrę z nor ruszyć, nim z góry nie padnie
Zwycięzkiém na nią skrzydłem czarny ptak dwugłowy,
A wówczas dziki Lezgin z Czeczeńcem niesfornym,
Rad nierad da pogromcy krwawy miecz odpasać,
Przejrzy, słońcu oświaty hołdem runie kornym,
Co mu z wieków aż dotąd zdołał się wyhasać.
Tylkoż łamiąc chleb drużby z hordą im niesytą,
Ojcze chrzestny obacznie z takim Neofitą.

Co mnie zresztą z twych badań, choć tak myślą pełne,
Gór wyżyn, bezdny morza, z tej flory skarbnicy,
Że tam sadząc ryż, cukier, indygo, bawełnę,
Zwijasz jedwab i szczepisz w Noego winnicy;
Gdy o tém z końca w koniec ni półsłowa wzmianki,
Co słodsze dla młodzieńca od cukru i wina;
Jakże, toś wśród Czyrkasek dotąd bez kochanki?
Żadnaż cię w luby jassyr nie jęła dziewczyna?
O skromny, czy zazdrośny! a źle żeś się zaciął,
Dla łaknących choć wieści twych grzesznych przyjaciół.

Nie ganię, żeś wziął miarę z dwugłowej Elbory,
Przez Kazbek piérworodnym dumny śnieżyn składem,
Żeś doszedł aż do miejsca, depcąc chmur tabory,
Prometeja katowni, Alcyda przykładem,
Nie ganię, leczbym pragnął wabniejszych opisów,
Tych czarownic Kolchidy, prawnuczek Medei,
Oka, lica, warkoczy, kibici zarysów
I wdzięku, co go sprawdzać już nie mam nadziei,
Ich nóżek.... Polki nawet chcą na nie się gniewać,
Nóżek, które sam Puszkin dość nie mógł wyśpiewać,

Lecz możeś łowić nie chciał na pokusę, bracie,
Mnie, już ojca i męża stałości doznanej,
Wierząc, że co się godzi, co dziś wolno dla cię,
Nam z tych drzew wiadomości owoc zakazany.
Więc gdy zdrożna ciekawość nic tu nie pomoże,
Sprawdź okręt w napowietrznym porcie Araratu,
Gdzie kończąc pierwszy żeglarz swe sławne podróże,
Schował go, jak na model żaglownemu światu;
Pragnąc zeń nam go spławić, chybił Parrot śmiałek,
Tu przepisz i zrzuć na znak choć masztu kawałek.

A gdyć się, o czém wątpię, tu nawet nie uda,
Toż na ziemi ostatniej, kędy dójść potrzeba,
Rozdzielisz swą osobą dwa światy, przez cuda,
Azyą od Europy, i ziemię od nieba;
Tam chmurą przepasany,—a jej gruby tuman,
Gdy od ciebie na chwilę skryje nas, oddzieli,
Powlokłszy myśl po gwiazdach, ich treścią zaduman,
A wzrok im oderwany od twych przyjacieli,
Znów miecąc szparą błysku w naszych dolin ciemnie,
O bracie, jak tam *wyższym* ty będziesz ode mnie.

Ode mnie, co się dzielę i drobię na tyle
Uczuć, pracy, trosk, potrzeb, pod strzechą rolniczą,
Gdzie częściej dżdżem, pogodą zwykł liczę już chwile,
Jesień porą a snopek najmilszą zdobyczą;
I sam tu ledwo wspomnę, jakem śnił, gdzie latał,
Westchnę czasem, zatęsknię do tych milszych krain,

Do skarbów, com się z niemi tak wcześnie rozbratał,
Jak ów syn marnotrawny, ów przestępczy Kain,
Do tej władzy potężnej, gdzież znikłej tak ninie?
Przez którąm do gwiazd wschodził po myśli drabinie.

*1839 r. Stefanow.*

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

# SPIS RZECZY

W PIERWSZYM TOMIE ZAWARTYCH.


*Strona*

Przemowa . . . . . VII

## Ballady i Powieści.

Ostatnie łowy . . . . . 3
Święte jezioro . . . . . 19
Rotmistrz drążkowy . . . . . 23
Pancerny . . . . . 43
Skrucha . . . . . 48
Zdrada i zemsta . . . . . 53
Jermak . . . . . 61
Rusałki . . . . . 66
Strachy w zamku . . . . . 69
Pobojowisko . . . . . 87

## Posłania i Listy.

Do J... P... . . . . . 97
Do L... B... . . . . . 101
Do M... W... . . . . . 105
Do G... G... . . . . . 108
Do A... C... . . . . . 113

*Strona*

Do G... B... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 117
Do A... P... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 122
Do J... Z... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 126
Do M... R... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 129
Do G... B... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 135
Do J... Z... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 142
Do... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 147
Do St. Sp... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 151

# POEZYE

ALEXANDRA GROTTA SPASOWSKIEGO.

# POEZYE

## ALEX. GROTTA SPASOWSKIEGO.

Chociaż to szczyre brednie, jednak własne moje.
*Zimorowicz.*

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM II.

Nakładem Autora.

WILNO.
DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1840.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno 1840 roku 23 8bra.

*Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego*
Jan Waszkiewicz.

# SONETY.

I.

# DO BOGA.

Jestem sprawą Twej woli, treścią Twego tchnienia,
Sprężyną Twych przeznaczeń, praw Twoich stronnicą,
Pół-bogiem, pół-nicością, jawą, tajemnicą,
Pomroką i ogniskiem wiecznego płomienia;

Jeńcem grzechu, rospaczy, nadzieją zbawienia...
O mój Ojcze! mój Panie! Twoją to prawicą
Zapalone kagańce miriadów świecą
Na błękitnych sklepieniach świątyń przyrodzenia.

Przyczyno nieobjęta czasu i przestrzeni,
Gdy się w Twém łonie wszystko kończy i poczyna
Z ruin światów gdy nowy rój światów się pleni,

Kiedyż się więc odrodzę ja, Anioł-człek-glina,
Ujrzę cię w twarz i odzian jaśnią Twych promieni
Chwałę Twoją owieńczę skrzydłem serafina!.....

## II.

## CECORA.

Puściłem myśl mą naprzód i konia na wolę,
Koń leci, lecz myśl rączym wyprzedza go lotem,
Aż zzjajane dobiegły pod nieba namiotem
Wśród pustyni pamiątek na Cecorskie pole.

Łzą w oku, bolem w sercu i troską na czole,
Trzyzębym tu wspomnienie drasnęło mię grotem;
Ani śladu kurhanów zlanych krwią i potem;
Ha! klękam — tu Żołkiewski dopił swą niedolę!

Patrz, ten nikczemny słupiec zgon jego wspomina
I do ucha niewdzięcznéj szepce potomności:
»Tyleż tylko za laury Wchodu i Klużyna!”...

Tak na gruzach Palmiry gdy wędrownik gości,
Chciwy świątyń, spotyka szałasz Beduina,
Zrągający swą nędzą — Ruinie Wielkości.

## III.

# KIJOW.

Matko grodów rządzących północnemu światu,
Tobą, jak Islam Mekką, dziś Rossy się szczycą,
Witaj mi, pierworodna Sławiańska stolico,
Rozwieńczona, odarta z lepszych dni szkarłatu.

Gdzie wrzały miliony zwolenników Battu,
Gdzie Bolesław zwycięzką potrząsał przyłbicą,
Ileż tam grzebiesz ludów, piękna okolico!
Gdy cię Mągoł wypleniał, brat wydzierał bratu.

Ten sam Dniepr dźwigał niegdyś Swiatosława łodzie,
Przed którym drżał Carogrod, bledniał Wołhar gruby;
Ztąd Askold na Euxynu wybiegał powodzie...

Grodzie, zmarłej przeszłości pomniku tak luby!
Powiedz, ile twych dziejów o krwawym zawodzie,
Czarném skrzydłem osłonił gieniusz zaguby?..

## IV.

## ODESSA.

»Tu zima, w jej zamieciach mdły przechodzień ginie...
»Ach! mniej kropel i piasku w szumnym Oceanie,
»Liści tyłu w Herczyńskich lasach niedostanie,
»Ile nieszczęść mię goni w tej dzikiej krainie.”

Wołał Nazo w Scytyjskie zagnany pustynie,
Nócąc gorzkie wspomnienia o pierwotnym stanie,
Słucha i odpowiada — echo tylko na nie:
»O żono! przyjaciele! drogi Awentynie!”

Patrz dzisiaj, gdzie koczował barbarzyńczy Scyta,
Jak perła, wypłókana z pod Euxynu toni,
Płodem ziemi Chazarskiej Odessa zakwita;

Dwanaście pawilonów stopy jej osłoni,
A na młode tak łono goni Sybaryta
Śnić pieszczotę, budzoną śpiewem Marykoni.

## V.

### KAWIARNIA.

Jak cicho! pełny xiężyc złoci toń Limanu,
Znać tu Samum przeciągnął, albo skrzydło Dżumy;
Nie, to na sen po domach rozeszły się tłumy;
Tam nie śpią, błysk migoce, jak stróż Akiermanu,

Wchodzę, patrz, drugi Mahmud siedzi u dywanu
Kłębiąc dymy z czybucha, jak godło swej dumy,
Prożno Grek wpadł na ziomków męstwa i rozumy,
Milczał przecie bezpieczny wyznawca Koranu.

Serb rubaszny Jerzego prawił dzieje krwawe,
Tuczny Multan to drzemał, to koronki liczył,
Armenin Kief poczyna i dopija kawę.

Oh także od Zachodu Wschód się odgraniczył!
A wykradłbym te lica, te stroje ciekawe,
Gdyby mnie Hogart pędzla, Skott pióra użyczył.

## VI.

### KAMIENIEC PODOLSKI.

Te baszty, te warownie, ponikłej postaci,
Kraj nasz niegdyś stróżyły od Siczy i Chanów,
Nie raz piersią rozbitą wpuszczały tyranów,
Częstując dzikie hordy krwią i złotem braci.

Wjeżdżam — żadnej tu wspomni myśl moja nie straci
Od bramy Zygmuntowej do bramy Stefanów;
Gdzie czas, tyle dał bitew, tylu zmienił Panów,
Tam każdy krok wypadkiem dzieje ubogaci.

Tu menar, pomnik wschodu potęgi i sławy,
Owdzie ściany na gruzach ległe niedostojnie.
Ruino! jak twój widok smutny i ciekawy!

Ty widniesz, jak bohatyr po czterdziestej wojnie,
Co do poźnej siwizny wiek przewalczył krwawy,
Aż pożyty niemocą, legł usnąć spokojnie.

## VII.

## BENDERY.

Syn lasów, ja przekląłem Budżaku przestworze,
Gdzie strumień nie orzeźwi, gaik nie oceni,
Gdzie omdlewa przyroda od skwarnych promieni,
A tylko widać niebo i zielone morze.

Wybrnąłem! ówdzie Dniestru błękitnieje łoże;
Jak falanga olbrzymów wygląda z przestrzeni,
Tak basztami Warownia Bender się czérwieni,
Podesławszy kwiecistą dolinę w podnoże.

I tu błądzi pamiątka przez murów obłomek,
Wiodąc przez fossę, wały, rdzawe bram zasklepy,
Bez wstrętu i współczucia wskaże ci potomek,

Na hetmańską mogiłę, ukaże na stepy,
Które mijał *Dwónasty* i w gruzach ów domek—
Piérwszy jassyr Karola, ostatni Mazepy.

## VIII.

## CHOCIM.

Idź za mną po tych ścianach, szczebluj na te mury,
Gdzie tylko orzeł skrzydło, bluszcz gałązkę wśpina,
Tam mieszka starożytność, gnieździ się Ruina;
Niwecząc z hydrą czasu wieków grób ponury.

Widzisz okno tej baszty, wybiegłej pod chmury?
Tém oknem Xiężna Olga, podanie wspomina,
W Dniestr skoczyła, z pogardą łoża Islamina,
Śmierć ważąc nad pohańca haremskie purpury;

To jej Cerkiew, odarta z pierwotnego stanu,
Meczet poźniej, jak sądzę z menaru podstawy,
Tam, przy Greckich nadpisach drzemie wiersz Koranu.

Niegdyś sławny, dziś tylko jak Mumia sławy,
Ten zamek dźwiga sztandar dwudziestemu panu,
Któż piérwszy? Czas zapomniał, napróżnoś ciekawy.

## IX.

## POBEREŻE.

Już na górach wschód błyska a tuman w dolinie
Siniawym kryje płaszczem Podolskie przestworza,
Tam, ówdzie, widną gaje, jak wysepki z morza,
Tu w ciemnej skał czeluści Dniestr szumi i płynie.

Poranek — o jak błogo duszy w tej godzinie;
Cicho, to świat się modli u Twórcy podnoża.
Ach gdzie niebo tak jasne, tak płonące zorza,
I gdzie wiosna tak piękna, pokłon tej krainie.

Dawnoż jeszcze dobiegał bratniej ziemi kraniec
Wśród tych lasów topoli, winorośli sadów;
Te brzegi stróżył ziomek, a tamte pohaniec.

Dziś mieniąc broń na radło, wolny od napadów,
Bezpiecznym orze pługiem spokojny mieszkaniec,
Te zagony przesiękłe krwią swoich pradziadów,

*Jampol.*

## X.

## SMOLEŃSK.

Dziesięć wieków policza krwawe dzieje twoje,
Gdyś zaległszy te baszty, jak szatan niezgody
Dzieląc sobą dwa bratnie potężne narody,
Co dzień ostrzył ich miecze, wyzywał na boje.

Warząc zawiść, podejścia, zemsty, niepokoje,
Jakże słodkie pożynasz od ich nieszczęść płody:
Zgliszcza twierdz, stada gości, w pień wycięte grody,
Strzał Letskich rdzawe żądła i Sarmackie zbroje.

A gdzie się wczoraj jeszcze krocie mężnych sparło
I najkrwawszy twym dziejom spłodziło zabytek,
Gdzie na ich zgubę całe piekło się rozwarło,

Gdzie przez dzień panowały to nędza, to zbytek,
Tam dziś wszystko odkwitło, ponikło, umarło,
A tuła się wieść tylko, czasu niedobitek.

XI.

# NAPOLEON.

Kto cię zbada, rozgadnie, ten wyrówna Tobie,
Niepojęty za życia, i ciemny po zgonie:
Wodz, żołnierz, konsul, jeniec i władca na tronie,
Pięciu wielkich — a wszyscy w Twej jednej osobie.

Stworzyć mieczem świat nowy na starym półglobie
Myśl poczęta w Wersalu, czy jeszcze w Tulonie?...
Laurem Bruta i Sylli osłoniwszy skronie,
Któregoś wolał sławę zostawić po sobie?

Już świetny przedostatnim wieńcem i szkarłatem
I pobladłych dwuch lądów ogłuszony chwałą,
Dumnym węzeł Gordyjski rozciąłeś bułatem.

Jużeś zaprzągł w Twym wozie Fortunę zdumiałą,
Lecz, rzuciwszy pod nogi, gdyś zagrzmiał nad światem,
Świat jęknął, Bóg usłyszał i — ciebie niestało!...

*Smoleńsk.*

## XII.

# WSPOMNIENIA.

Tout notre raisonement se réduit à céder au sentiment. Pascal.

O jak lubo wspominać, marzyć z rozrzewnieniem,
Gdy młodość i wesele goniło w zawody,
Gdy przyroda nam kwitła a my dla przyrody,
Kiedy uśmiéch był szczęściem, radość zachwyceniem.

Spójrzała — a przed jednym-ż tak uledz spójrzeniem?
Kochałem... oh — to marne dla mędrka powody;
Ona była tak piękną, ja byłem tak młody!
Za to dziś płacę łzami, oddycham westchnieniem.

Błogo temu, kto z sercem zimniéjszém od lodu
Tę zabójczą namiętność z duszy swéj wymieści
I jej zgubne nasienie wypleni z zarodu;

On nie dozna mej długiej, trawiącej boleści,
Co istnę, jak dąb, ogniem pożarty u spodu,
Choć mu jeszcze w koronie młody liść szeleści.

*Chocim.*

## XIII.

Żegnam cię, już ostatnia wybiła godzina:
Ach jeszcze jeden uśmiech i jedno westchnienie,
I jeszcze jedno słówko, choć jedno spójrzenie
Nim ulecisz ode mnie, ma droga, jedyna!...

Codzień mnie ową chwilę tęskna myśl wspomina,
Gdy o niéj marzy serce na me udręczenie,
O niej, którą nad wyraz i kocham i cenię,
Choć długi czas i dłuższa dzieli nas kraina.

Codzień na Wschód poglądam jak pokłonnik Mekki,
Lecz napróżno poglądam, napróżno łzy leję,
Póki losy tak srogie, a kraj tak daleki.

O czemum nieprzedwidział doli mej koleje,
I w czułych jej objęciach nie usnął na wieki,
Kiedym z nią miał utracić wszystko i nadzieję.

*Pskow.*

## XIV.

Kto przesyci wyśpiewa lubość zachwycenia,
Gdy zajdą dzień i słońce zorz świetlnym potokiem,
Zmierzchu letni, co z twoim zrówna się urokiem!
Mniej rzewny dźwięk harmonij od twego milczenia.

Gdzie śród łez winorośli brzmią słowików pienia,
Pierwszy raz ją spotkałem, porwany jej wzrokiem,
Dłoń z dłonią, z sercem serce, oko łączę z okiem,
Uścisk płacę uściskiem, westchnieniem westchnienia.

Uciekły, czas i radość — a choć znów swój wieniec
Maj przywdział, zagrzmiał słowik, śledzę — Jej nie było,
Darem nęcił maj, słowik, mdły zorzy rumieniec,

Szafir nieba... nic ranom serca nie ulżyło,
Bom patrzył, jako widzi we łzach oblubieniec,
Kwitnącą życiem wiosnę — nad lubej mogiłą.

*Chocim.*

## XV.

Żyję przez cię, oddycham, ciebie śnię jedynie,
Słyszę, zda się, twój odgłos i widzę twą postać,
Szaleniec, czemuż z tobą nie mogłem pozostać,
Pod cudzém jasném Niebem wznieść tobie świątynię.

Jeszcze łza pożegnalna jak wówczas mi płynie,
Dziś jeszcze, gdy mię losy nie przestają chłostać,
Gdy staję ramie w ramie, by im kroku dostać,
Tajemnicza! o tobie w tej marzę godzinie.

I dziś patrzę jak w ówczas w te błękitne oczy,
Z których się wiara, miłość i nadzieja śmieje,
Na to czoło Cheruba, na ten splot warkoczy,

Na tę kibić, przed którą Gwido się zdumieje...
O szczęśliwa, szczęśliwa! w tobie się jednoczy
Wszystko, czém rozum, serce i piękność jaśnieje.

## XVI.

Patrzę na świat odarty z tej czarownej szaty,
Z którąm mile tak igrał mém dziecinném okiem;
Czemuż się on nie stroi z równym dziś urokiem,
Wiosno! gdzież twoje słońce, twój szmaragd i kwiaty?

Zniknęły... rzeczywistość sprawczynią ich straty,
Chmurząca serc pogodę złej doli obłokiem,
Podcina skrzydło myśli swym piekielnym wzrokiem,
Ważąc miłość i przyjaźń, ilością zapłaty.

Jęk niedoli uśpioną litość nie przebudzi,
Łzy płynące na kamień zmiękcząż go lub skruszą?
A przesyt ziemnych roskosz gdy serce ostudzi,

Wieszcz wówczas jako więzień znękany katuszą,
Zimno słońce powita i pójdzie w tłum ludzi,
Karmionych próżném sercem i niepłodną duszą.

## XVII.

«Czas jechać» — burczy z kozłów natrętny woźnica,
«Już zmierzcha a mnie droga nieznana tej strony.»
«W ten moment» — przeszły chwile, siedzę zamyślony,
Łowiąc jej głos ostatni, wzrok i uśmiech lica.

Bicz klasnął, brzęknął dzwonek... a jak błyskawica
Zniknął urok, kraj miły, przedmiot ulubiony,
Pamięć tylko wciąż ze mną roskoszy minionej,
Ten żywioł bolejących, cierpień powiernica.

Z nią ja dzisiaj, jak żeglarz Adrijackiej wody,
W czas, gdy wiosna zieleni i wonią oddycha,
Wabi go kwiat i smuga, wabi gaik młody.

I Nimfa co się z dolin Krotony uśmiécha:
«Zwiń żagiel, opuść wiosła!» próżno flisie młody,
Port daleki, od brzegów fala łódź odpycha.

## XVIII.

Wpośród gwarów biesiady i nocy bezsennej
Gdy rozmyślam, żadnego przeszłości wspomnienia
Nie uronię bez żalu, bez łzy i westchnienia,
Jątrzących ciężkie bole tej rany codziennej.

Gdy widzę świat i siebie w postaci odmiennej,
Gdym zbyt nagle przebudził senne omamienia;
Z niedozrzałej roskoszy ciągnąc treść cierpienia,
Jak gorzko marzyć wiosnę, śród burzy jesiennej.

Czemuż ją mściwa pamięć poniewolnie marzy,
Raoa swe żądło w sercu utkwiwszy boleśnie,
Kradzie z czoła pogodę, spędza uśmiéch z twarzy;

Jej obrazem trapiony na jawie i we śnie
Ponikam jak latorośl gdy ją chłod zawarzy,
Odumarła wśród wiosny rozkwitłszy zawcześnie.

*Latyczew.*

## XIX.

### On.

Mnie roskoszą natchnione los wybija chwile
Pośród skarbów Golkondy i Arabskich woni,
A ile razy tylko złoto mie zadzwoni,
Tylu pieszczę przyjaciół i kochanek tyle.

### Ja.

Mym skarbem szmaragd wiosny co błyska tak mile,
Druh i luba w bezpłatnej uściska mię dłoni,
A skoro gwiazdę myśli gieniusz odsłoni
Śpiewam Boga, przyrodę, budzę czas w mogile.

### On.

Moje skarbce, mój harem krępują łańcuchy,
Gdy mię roskosz usypia, któż niemi zawładnie?
Nad złotem czuwa Janczar, w Haremie Eunuchy.

### Ja.

A ja mój skarb jedyny chowam serca na dnie,
Miłość i jej natchnienie; nie wydrą złe duchy,
Żywioł i mol ich nie tknie, złodziej nie wykradnie.

*Dubossary.*

## XX.

## W Album Xiężny Z... K....

NA ODJAZD JEJ DO GRECII.

Gdzie słońce milej świéci, człowiek ......, dysze,
W objęcia czułej matki, twych braci Majnotów,
Chciwy zefir cię unieść skrzydłem swych polotów.
Igra w żaglu i falą półsenną kołysze.

Każesz pisać... cóż dla cię w tej xiędze napiszę
Greczynko! ideale wdzięków i przymiotów,
Skrzydła masztu rozwinąć gdy już sternik gotów,
Gdy skrzyp liny, szum rudla, świstek majtka słyszę.

W ojczyźnie twojej, Marsa, Muz i Afrodyty,
Zwrócisz-że chętne oko na me twarde rymy,
W twojém Album uśpione budząc echo Scyty;

Co daleko od ciebie, w koczowisku zimy,
Tak będzie czcił twój obraz na wspomnieniu ryty,
Jak bóstwo opiekuńcze codzień wielbim, czcimy:

*Akierman*

## XXI.

## POWRÓT ŻOŁNIERZA.

Pokłon ci ziemio święta, spragniony zakątku,
Zdroje, lasy, wy dawni moi przyjaciele!
Z wamim dzielił i z wami niech znowu podzielę
Duszę moją, jak niegdyś w jasnych dni początku.

Jak niegdyś, w lubym wszystko zjawia się mnie wątku,
Czemuż oku nie milej, myśli nie weselej;
Przeczucie jak mgła zimna, po sercu się ściele,
Tak bliskiem najdroższego swych uczuć majątku.

Podjeżdżam, nie spotkany jak dawniej u chatki,
Wchodzę,—cicho... śpią widać, nie brząknąłem drzwiami,
Jutro więc, jutro padnę w uścisk ojca, matki...

Tam cerkiew, jej nie było, czy mię wzrok nie mami,
Śledzę groby... zadrżałem, pytam u czeladki,
Wskazali na mogiłę... zalałem się łzami.

*Horodzieniec.*

## XXII.

## SĄD OSTATECZNY.

Skruszy łuk i zdruzgoce oręże
I tarcze ogniem popali.
PSALM XXXV.

Przyjdzie Bóg, niosąc wieczne nagrody i kary,
Zagrzmi Niebo i runą sklepy przyrodzenia,
Bóg zbawca, on potarga więzy upodlenia,
Bóg mściciel, on pokarci ciemiężców poczwary.

Tam, na dnie piekieł, z jednej pić będziecie czary:
Krew przedaną, łzy braci, jęki i westchnienia;
Ich pętami was będzie smagać kat sumienia,
Snując przed wami blade, okrwawione mary.

Wezwiecie, oni na swe ukażą wam rany,
Wyście się ich odrzekli i oni odrzeką,
A rospacz was zawlecze przed Pana nad Pany.

I złoto palającą ochłonie was rzeką...
I uderzy młot zemsty w dzwon czasu miedziany:
Wieczność, wieczność! zadrżyjcie, czas ten niedaleko.

*Nowogrod.*

## XXIII.

# UPADEK.

Napój życia pić miałem czarą tajemniczą;
Tak ten napój był wonny, jak ozdobna czara!
Wskazała ją nadzieja, poświęciła wiara,
A miłość życiodawczą dolała słodyczą.

Szczęśliwy! kto mógł taką cieszyć się zdobyczą,
On czysty jak piérwotna dla Twórcy ofiara,
Spokojny, bo go troski nie przebudzi mara
I sen jego pokoju nie zmąci goryczą.

Taki byłem gdy stawił los czarę przede mną,
Ozłociła ją dusza wyobraźnią płodna,
Ściągam rękę, wre napój pieniąc falę ciemną.

To go jadem zatruła wina piérworodna,
Zły gieniusz zaprawił, zawiścią podziemną,
Przeznaczenie podało, — wypiłem aż do dna.

*Chocim.*

# XXIV.

## Do Płci Pięknej.

Grek cię wyznał mądrości i wdzięków boginią,
Rzym palił wieczne ognie, drżał przed twym wyrokiem,
W siódmém niebie cię uczcił Allah z swym Prorokiem,
A jeniec Faraona berłem i świątynią.

Wiek rycerzy otrąbił swéj chwały sprawczynią,
Hełm korząc feodalny przed twoim widokiem;
Graf i wassal za jedno rządzeni twém okiem,
Hasło bojów, wszechwładna turniei mistrzynio!

Dziś zagasły ołtarze gdy się człek odmienił,
Milkną hymny twojego kapłana poety,
A wiek nasz, ten samolub, złotem cię ocenił.

Dukatem ważąc Frynę, tysiącem skielety,
Jak zlepki bóstw wzgardzonych, co z świątyn wyżenił,
Przedaje cię pod godłem: «at sobie kobiety.»

*Stara Russa.*

## XXV.

## OBUDZENIE SIĘ.

Próżno budzisz swą piosnką gry, żarty, uśmiechy,
Darem pieni twój szampan życiodawczą falą,
Gdy się z serca nie rodzą, sercem cię nie chwalą,
Ci nie są przyjaciele, tamte nie uciechy.

Jak dowolniej oddycham pod cieniem tej strzechy,
Gdzie nie ważę mej doli złotą losu szalą,
Świętokradzkich kadzideł gdzie temu nie palą,
Komu nic nie zostało prócz żalu za grzechy.

O wspomnienie! bezsenna, prześladowcza maro,
Ty mnie dziś jeszcze dzwonisz ostatnim wiwatem
I ostatnim «bądź zdrowa!» z nadzieją i wiarą...

Gdzież ta wiosna, jej błonia wystrojone kwiatem,
Znikły... zniknież i Anioł z natchnień moich czarą,
Jak ostatni przyjaciel z ostatnim dukatem.

*Chocim.*

# XXVI.

# Do G.... D....

NA ŚPIEW JEJ PRZY FORTE-PIANO.

Niosą echa przez sale jej czarowne pienia,
Budzi się w zamyśleniu tonące jej oko;
A ten wzrok i to brzmienie tkwi we mnie głęboko,
Święcie, niepokalanie, jak sny objawienia.

Bom widział wówczas, w zbytku życia i natchnienia:
Gieniusz ją promienną osłonił powłoką,
Wybijał na jej licu, czuł nad nią wysoko,
Owionął swą potęgą, ożywiał wybrzmienia.

Umilkła... tłum mniej baczny, gdy milczenie chował
Anioł, co był jej stróżem, kochankiem i jeńcem,
Widziałem, kiedy szarfą piękności pasował,

Jak błyskał z jej warkocza szmaragdowym wieńcem,
I przylgnąwszy do łona, gdy w usta całował,
Jak zmięszana, dziewiczym spłonęła rumieńcem...

## XXVII.

# ŻĄDZE.

Ten z Laisą w zmysłowe roskosze utonął,
I wciąż złote puhary wychyla z Midasem,
Tego wojna zabójczym porywa hałasem,
Dla sławy, czadem węgli ów ducha wyzionął.

Tamten fale rozcina, kędy wiatr powionął,
Ten myśli, ów chce słynąć Atlety zapasem...
O rozumni po czasie, niebaczni przed czasem!
Nie płaczcie, że z was żaden szczęścia nie ozionął.

Bo któż z wieszczem iść zechce po skromniejsze wianki,
Kto mniej odeń pożąda jawnie i tajemnie,
Kto jak on dotrwa losom w ślizkie wpędzon szranki?

Nie płaczcie na swą dolę i przeznaczeń ciemnie,
Gdy chciwy tylko woli druha i kochanki,
Wołał nie raz — a marniej, kołatał — daremniej.

*Deneburg.*

## XXVIII.

## PYCHA.

Gdy mdlą siły, myśl trzeźwie, gdy war krwi chłodnieje,
A zgasłe marzeń gwiazdy runą na szaleńca,
Co dumny, laur swój zdepce, roztrwoni kwiat z wieńca,
A nagość wrosłych cierni cyprysem przywdzieje.

Gdy mu nadto żółć w próżnię serca los doleje,
A sam wylał treść boską, zdarł barwy młodzieńca,
Co wówczas łza bez skruchy dla ciemności jeńca,
Moc bez męstwa pokory, bez wiary nadzieje?

Biada gdy krzyż swój jeszcze nazwie złą napaścią,
Gdy go pycha opęta, bezbożność zaślepi,
Przed własną, lub Baala gdy uklęknie właścią!

Zaprawdę, bodaj jemu nie rodzić się lepiej,
Niż stanąć bez Anioła-stróża nad przepaścią,
Gdzie łaska nie oświeci, wiara nie pokrzepi.

## XXIX.

## NADZIEJA.

Wzgardzona od szczęśliwych, im się losy śmieją,
Co rozniecasz swą lampę nad więźnia ciemnicą,
Czyje miano osłodą a moc tajemnicą,
To mędrzec zwie marzeniem, a gmin czci nadzieją.

Wstań flisie, uderz wiosłem, już ci wiatry wieją,
Zadrzemał ptak złowieszczy, bratnie gwiazdy świecą;
Pienią wiosła... wtém runął piorun z błyskawicą,
Łodź pękła, żeglarz tonie z swych rojeń koleją.

„Ocknij się mężny Brucie! idź na boje ze mną!"
Cożeś odeń zyskała, matko nieszczęśliwa?
Dobił cię syn ostatni nadzieją daremną.

Nadziejo! jakżeś świetlnie widniała nade mną!
Los wionął, prysła gwiazda czy mara zdradliwa,
A bez niej, z gwiazd ostatniej, jak głucho i ciemno.

*Chocim.*

## XXX.

### OMAMIENIA.

Poranek wiosny mojej święciłem dla ciebie
Mądrości! próżnom żądał w twoim gościć świecie;
Tak próżno na wierzch góry wdziera się mdłe dziecię
Xiężyc na niej chcąc dostać, gdy xiężyc na niebie.

Starcom zostaw naukę, miłość czeka ciebie;
Kochać i bydź kochanym w dni zarannych kwiecie—
Młodzieńce! lepszej doli znaleść nie możecie;
Znalazłem ją niebaczny i zgubiłem siebie.

Przyjaźń zgoi tę ranę, łzy twoje osuszy;
Przyjaźń? ona się karmić nie lubi nadzieją,
Uwieńczy cię w salonie, odeprze w katuszy.

A więc choć dziś się wlokę złą gminu koleją,
Tli jeszcze święta iskra pod zgliszczem mej duszy,
Lecz rozniecać ją nie chcę, drudzy nie umieją.

*Chocim.*

## XXXI.

## POETA.

Z niebios i matki ziemi, o dwó-rodnej woli,
Dwie przyrody odświetla swej duszy zwierciadłem—
Mąż-dziecię, wieszcz pokoleń—to Poeta, zgadłem;
Tryumf gminu i cacko lub pastwa niedoli.

Wybija tęsknia myśli na licu pobladłém,
Lecz oko strzela ogniem, znać go serce boli;
Tak świetlny, za nim burza chmurą go okoli,
Tak święty, dobrotliwym snuje się widziadłem.

Aż przyjdzie czas, i z lubych złudzeń go rozwieńczy
Wśród raju; bezdroż życia przed nim się odkrywa,
We mgle trosk mierzchną ognie siedmiobarwnej tęczy...

Z nim wygnaniec z przeszłości, pamięć nieszczęśliwa,
Westchnieniem go zasila, łzami się mu wdzięczy,
Karmi piersią i własnym bluszczem go odziewa.

## XXXII.

# Do .....

Otwarły się podwoje czarownego świata.....
To ona, ją uczciło pierwsze oko moje;
Niebianka, chociaż w ziemian zawita ustroje,
Jak się wdzięcznie jej warkocz z różami przeplata!

Jak roskosznie Liońska odziała ją szata,
Której szelest tak luby, odcienia i zwoje.....
To Peri, co rzuciła Edeńskie pokoje
I śpieszy wetchnąć życie w zlepki tego świata.

Tyrolką czy Mazurką w tańcu się zaszczyca,
Jak malowna, powietrzna, lekka, jasno-łona!
Bogini, czytam w oku, zgaduję z jej lica...

Niewierny, spójrzyj na nią, serce cię przekona.
Ach czemuż dla tej, wdziękiem co zmysły zachwyca,
Nie mam pęzla Albana i arfy Byrona?

*Mińsk.*

## XXXIII.

## SAMOBÓJCA.

*(Z prawdziwego zdarzenia).*

(Głos z tłumu).

MORALISTA.

Tak ginie, kto był głuchym na odgłos sumnienia.
Patrzcie, on promień wiary zatłumił w iskierce.
Oh nikczemny!....

PROFAN.

Kto sądzi po zgonie mordercę!

MORALISTA.

Biada, biada! on zgwałcił prawo przyrodzenia;
Wiara tylko z nadzieją wiedzie do zbawienia.

PROFAN.

A miłość?

MORALISTA.

Jaka miłość?

PROFAN.

Co uderza w serce.
Namiętności — harpije! tygry! ludożerce!

MORALISTA.

Bóg dał rozum.....

PROFAN.

To płomyk w chaosie zaćmienia!
Zbladły żeglarz, gdy burza łodź o skałę kruszy,
A Badacz, sędzia świata, gdy w szczęściu opływam.

MORALISTA.

Jest Niebo, ono człeka umacnia w katuszy.

PROFAN.

A gdy jęczę napróżno i napróżno wzywam?...
Nie sądź, ciemny jeroglif skatowanej duszy!

MORALISTA.

Ty bluźnisz, ja go sądzę.

PROFAN.

Ja ręce umywam.....

*Chocim.*

## XXXIV.

## FANTAZJA.

Lekkomyślna kochanko wyobraźni mojej! |
Stworzenie — bez postaci, bóstwo — bez istoty!
Tyś mnie na łez padole wróciła wiek złoty
I Edeńskie przede mną otwarła podwoje.

Był czas, kiedym ustrojon w twych kwiatów zawoje,
Na skrzydłach Archanioła ścigał twe poloty,
I dognawszy u tronu wieczystej błogoty
Tonął w twoich pieszczotach, spełniał twe napoje...

Gdzież twa dzisiaj gościna, gdzie twój uśmiech, droga!
W mojej duszy poczęta, myślą mą wskarmiona,
Znikłaś, a mara tylko dręczy mię złowroga.

Gonię bóstwo, uściskam — chmurę Ixiona....
Syreno tkliwej duszy okrutna i błoga!
Stworzyłem cię, bym dzielił los Pigmaliona.

*Waldaj.*

## XXXV.

Tu, pod niebem pogodném, w tej roskoszy stronie,
Synu Marsa, hełm zamień na różane wianki,
Gdzie nic cię nie przebudzi, prócz westchnień kochanki,
Spełniać do dna zapały w jej namiętném łonie...

Nigdy zorza tak mile, tak żywo nie płonie,
Jak płonie czarne oko i rumieniec Bjanki;
A warkocz, usta, kibić,—a nóżka niebianki!
Szczęśliwy, w tylu wdziękach twa żądza utonie...

Wtém wionął wiatr z północy; zimne jego tchnienia:
Lecz to był niemy goniec od Ojca siwizny,
To był poseł z przeszłości uciech i wspomnienia.

Wojak głuchy na miłość, na pokój i blizny,
Przeniósł nad żywioł serca, roskosz przyrodzenia,
Uśmiech drogiej rodziny, ubogiej ojczyzny.

*Czernowice w Austr.*

## XXXVI.

## UCZTA PRZERWANA.

Gwar, śmiechy, brzmią w przybytku ochoczej gromady,
A przy lampie, tonącej w Carogrodzkim dymie,
Dzwonił w strony rozprzęgłe i w złowieszczym rymie,
Edmor; był postrach gości, jak zły duch biesiady.

Rzucił okiem na ścianę — zadrżał, krzyknął blady:
Ha, więc i tu mię ścigasz potworny olbrzymie!
Daremnie z Kaligulą com wołał w twym Rzymie,
Pragnąc go jednym ciosem strącić do zagłady!

Rzekł i błysnął sztyletem — a goście zadrżeli.
Gruchnęła wieść nazajutrz w całej okolicy
O zabójstwie tułacza na uczcie Minstreli.

Kto on? co ujrzał, cierpiał? — znali zwolennicy,
Lecz inni go nie znali, ująć nie umieli;
A był to klucz stu zamków wielkiej tajemnicy.

*Nowogrod.*

## XXXVII.

## DO PRZYJACIÓŁ.

Wre morze, błyska niebo, miota się łodź krucha...
Na tej łodzi ja płynę; od brzegów daleki,
To ku nim, to ku niebu zwracam me powieki—
Brzeg uciekł, groźne niebo jęków mych nie słucha.

Będę walczył, sterował, i nie stracę ducha,
Aż mię bałwan ostatni rzuci w krańce rzeki,
Gdzie życiem nieśmiertelność, mgnieniem nasze wieki,
I gdzie oku gminnemu noc ciemna i głucha.

Lecz nim się tam połączym wiecznêm uściśnieniem,
Rówiennicy młodości, przyjaciele moi!
Obdarzcie mię wędrowca modłą i wspomnieniem,

Lub go żadne ogniwo ze światem nie spoi;
Bo gdzie miłość chimerą, przyjaźń jest złudzeniem,
Próżno tam serce żąda, myśl daremnie roi.

*Chocim.*

# XXXVIII.

## CO LUBIĘ?

Lubię pierwszych przyjaciół, pierwszą wina czarę,
Pierwszą wiosnę, gdy szumiąc z gór potoki leją,
Pierwsze życie, gdy przyszłość widnie się nadzieją,
Pierwszą radość, natchnienie, miłości ofiarę...

Lubię pierwszy raz zwiedzać grody, zamki stare,
Których baszty samotne pod bluszczem siwieją,
Pierwszy widok mórz głębi, gdy burze szaleją,
Urok pierwszej jutrzenki, wspomnień pierwszych marę,

Pierwszą w mężu moc woli, zależność w kobiecie,
Pierwszą stałość w nieszczęściu i przytomność w zgubie.
Cóż jeszcze lubię pierwsze? wy co wiedzieć chcecie:

Nad pierwszą łzę wyznania, pierwszy dzień po ślubie,
Nad rumieniec zapałów—ach! nad wszystko w świecie,
Po raz pierwszy wymodlić u kochanki *lubię!*

*Chołm.*

## XXXIX.

Piękna, jak, dość jej nigdy wdzięków nie wysłowię,
Dobra, jak — dość jej nigdy nie pojmę dobroty,
Ach! czemuż wszystkie wdzięki, wszystkie jej przymioty,
Jak byt mój ochłonęły, w mej nie wybrzmią mowie.

Nigdyż jej serce memu sercu nie odpowie!
I nigdyż dla mej doli nie błyśnie dzień złoty?
Ani smutnych przeznaczeń nie stępieją groty
I nie prysną wbrew dumie, zawiści, obmowie?

Żołnierz, nigdym nie zadrżał przed wojny zabrzmieniem,
Dość silny przenieść więzy i katuszy ciemnie,
Dość śmiały dotrwać śmierci pogodném wejrzeniem;

Jak me serce upadło! gdy dziś drżę tajemnie,
Gdy się gubię w przeczuciu trapiony wspomnieniem,
Że ją stracę, że przyjdzie szczęśliwszy ode mnie.

## XL.

## TAK? NIE TAK?

*Tak* lub *nie tak*... zaprawdę nie trudne to słowa;
Lecz gdy się z ich wybrzmieniem śmierć lub życie łączy,
Wszystko się moje pocznie lub się wszystko skończy,
Czemuż ich żadna sercu nie wykradnie mowa?

Gdy ich w tajni westchnienie, oko nie dochowa,
Gdy mię już wydał przed nią mój Anioł obrończy,
Czemuż, co pierś nie dotchnie, co łza nie dosączy,
Czemuż to nie domówi dwojga ust rozmowa?

O ty! w której się łączą me wszystkie natchnienia,
W której wdzięków i zalet zbiegły się obrazy,
W której me najpiękniejszeześniłem marzenia,

Godniejsza nad pochwały, milsza nad wyrazy—
Tak lub nie tak? o czemuż z ust twoich te brzmienia
Pragnąc słyszeć sto razy, słyszeć drżę sto razy?...

## XLI.

Wlokąc brzemię dni tęsknych, idę krok za krokiem,
Jak łodź burzą noszona, chciwa jąć się brzegu,
Jak wędrowiec ustały wzdycham do noclegu,
Mierząc kraniec pustyni obłąkanym wzrokiem;

Jak on, przyszłość tajemną łzawém badam okiem,
A tak wzdycham do życia, w trudnym życia biegu,
Jakbym jeszcze mógł stanąć w szczęśliwych szeregu,
Ich się napaść biesiadą, uśmiechem, widokiem.

Szczęście! co jesteś marném naszych wołań echem,
Człek cię stworzył z swej żądzy i czołem wybija,
I nazywa miłością, przyjaźni uśmiechem,

Gdy ta przyjaźń i miłość, jak Nubijska żmija,
Znęca barwą a truje palącym oddechem,
I w stokrotnych uściskach ofiarę zabija.

## XLII.

### KOBIETA.

Pyszne słońce Golkondskim ziskrzone elmazem,
I promień co na modrej ślizga się topieli,
O jakże mniej rażące, słabsze aniżeli
Twoje oko namiętnym płonące wyrazem.

Ogniwa zła i dobra powiązawszy razem:
Grzech Ewy, świętość Sary i dzielność Urgieli,
Rzucasz klęskę narodom z Parysa pościeli,
Lub ich zbawiasz, jak Ester, swych wdzięków rozkazem.

Człek cię uczcił; tém marniej nieraz się wysila
Na ofiary; ty zmysłów karmiąc się podnietą,
Gonisz zmienne zapały, kruszec lub motyla....

Pada serce i rozum z całą swą zaletą,
Gdzie często lada fircyk, co wyraz i chwila,
Łowi cię na próżności, skażona kobieto!

## XLIII.

### BIESIADNICY.

Mijam schadzkę, gdzie tylko sławią psy i konie,
Biesiady, których dusza w jadle i napoju;
Bo tu z ciągłym obiadem nie stanę do boju,
Tam z forysiem, ze szczwaczem w zawód nie pogonię.

Ten wobec, tamten zmyśla każdemu na stronie,
Polityk z kalendarza, dyplomat ze stroju;
Ów ciekawy, tém gorzej, nie da ci pokoju,
Słuchać go bolą uszy, odpowiadać — skronie.

Tam, gdzie złotu i herbom o piérwszeństwo chodzi,
Wznosząc toasty, miłość i drużbę gdzie miną,
Tam uczta — popas gminu; przyjaciele młodzi!

Nie nazwie ją me serce roskoszy godziną;
A gdzie piękność i dowcip czarę nie zaslodzi,
Znak pewny, że w niej dla mnie, trucizna nie wino.

*Wielkie Łuki.*

## XLIV.

# Do F. S.

Bracie! z tobą nadzieje, radość moja wzrasta,
Ciebie w podróż nieznaną los ode snu budzi.
Szczęśliwyś, gdy cię Mamon świata nie ułudzi,
Któremu tak dostępna wiosna dziewiętnasta:

Którakolwiek bądź na nim zapisze cię kasta,
Kiedy ostre żywota bezdroże utrudzi,
Z jakim wówczas zapałem spotkasz dwoje ludzi;
Będzie-to mąż — przyjaciel i miłość — niewiasta.

Pójdą z tobą w dzień walki, w czas burzy i znoju...
Zbutwiałą życia szatę gdy zrzucisz w mogile,
Oni łzami poleją dom twego pokoju.....

Lecz baczność! na cień zdrady uciekaj za mile,
Lub ci wsączą zgryzotę do życia napoju,
Kłamiąc uśmiech Syreny i łzy Krokodyle.

*Chołm.*

## XLV.

## DŻUMA.

Nad miastem wieje czarna chorągiew Szajtana,
Zdobył go Janczar Dżumy i śmierć zapowiada,
Z nim przebiega ulice strach i rospacz blada,
A za nim idzie w jassyr trupów karawana.

Brzmią-że to jęki krewnych, czy śpiewy Imana?
To woła chciwy grabarz: »uciekaj, lub biada!"
To wyje, idąc za nim, głodna psów gromada,
To modlą niedobitki o litość, tyrana.

O jak straszne ich twarze, jak wściekłe spójrzenie!
Im bliżsi granic męki, tym męcząc się srożej,
Bluźnią, bo zgon im tylko nadzieja, zbawienie:

Syn wyszydza przeklęstwem macierzyńskie łoże,
Z ust kochanki kochanek pije śmierć, cierpienie,
Matka karmi trucizną!.... Przepuść Boże! Boże!

*Bendery.*

## XLVI.

## DO OCHOCZYCH.

Gdym rady, sam ja wyjdę na wasze spotkanie,
Z czołem jasném, z otwartém sercem i ramieniem,
A żart, uśmiech, gwar drużny z pogodném wejrzeniem,
Uczt Królowi wbrew z wami rzucę na wiązanie.

Jemu ewan, ewoe! — i niech się tak stanie...
Tyrs trzęsąc, w chmiel wieńczone, z półnagiém ramieniem
Brzmią Bachantki, swawolném poskokiem i pieniem,
Wre Bachus... gonię piérwszy na jego wezwanie.

Gdym rad, o któż mnie zdoła dotrwać słowem, czynem!
Lecz gdy wzrok i to czoło zajdzie dumą ciemną
Snów, marzeń, co mi błysną cierniem lub wawrzynem,

Nic mię wówczas nie skłóci z ich władzą tajemną;
Na ich ucztę, im g-woli gdy zniknę przed gminem,
W czas odejdźcie i dróg mych nie psujcie przede mną.

## XLVII.

. . . O lume pregno,
Di gran virtu dal quale io riconosco
Tutto (qu'al che si sia) il mio ingegno....
*Dante. C. XXII del paradiso.*

O Wieczny, Wieczny! coś chaosu ciemnie
W słońc tyle ubrał... ach gdy patrzę na nie,
Gdy badam niebios, ziemi, siebie, Panie!
Wielkiś Ty w niebie, na ziemi i we mnie;

Bom na Twój obraz dźwignion nie daremnie,
Anioł na probę w te pchnięty otchłanie;
A choć mdle ciało, duch wylata za nie
Tam! ku Twym państwom straconym przeze mnie...

Kiedyż im wrócę, taki świetny, dzielny,
Gdy kładąc koniec tej doczesnej probie,
Znów mię odzieniesz w mój wieniec weselny,

I błędne dziecię znów wezwiesz ku sobie;
Boś nieskończony—, a ja nieśmiertelny,
Tyś niepoczęty—, jam poczęty w Tobie!....

## XLVIII.

### SZARA GODZINA.

Kiedy słońce ostatniém żegna świat promieniem,
Kiedy *Norton* rzetelny, zgon *czwartej* wydzwoni,
Jak cicho! człowiek zda się od człowieka stroni,
I wszystko odpoczęło—jednem zamyśleniem.

Ja słyszę, to rozmowa Czasu z Przyrodzeniem,
Nim zbierze siły, nową walką się zapłoni;
To krótkie duszy z ciałem zawieszenie broni,
Nawet mu Pan Gawęda dotrzyma milczeniem.

Samotność...—ją zdradziła jedna tylko para,....
Spotkała się, w załomie usiadła komina,
Spójrzałem i zgadnąłem, próżno kryć się stara;

Dwie osoby, ich dusza, myśl, żądza jedyna.
O szczęśliwi! im rajem ta godzina szara,
Co ją u mnie wykradła tak czarna godzina.

*Żytomierz*

## XLIX.

## WYCHOWANIE.

Paryżanką w Sławiańskiej ziemi wypieszczona,
To, ładne nic do rzeczy, pół-śmiechu, pół-żalu,
Jakby sprzęt cudzoziemczy błyszczy się na balu,
Gapimuchów, półgłówków tłumem okolona.

Najętemi przymioty jaskrawo upstrzona,
Co w niej tak się krzyżują jak barwy jej szalu,
Cały posag dowcipu: brząka na rojalu,
W bawialnej czyta Żanlis a w spalnej Pirona,

Rysuje nosy, uszy, po francuzku gada,
Zna przez karty losować, ma piesków dostatek,
Urąga sutym wąsom nieboszczyka dziada,

Według mody najnowszej stroi się, w ostatek
Po *mon plezir* straconym gdy we mdłoście pada,
Co za boleść, westchnienia!—tej wnuczki Sarmatek.

*Czernihow.*

L.

# Do ......

Powiedzcie, kto ta boska, czarowna dziewica,
Którą świat dość nie uczci i dość nie oceni,
Króloważ-to ziemianek, czy Aniołów xieni,
Co tak sobą ujmuje, zdumiewa, zachwyca?

Jakże wdziękiem uroczym jej świecą się lica,
Widniejące z pod złotych warkocza pierścieni!
Z czém jej kibić porównać, powiedzcie zdumieni,
Spójrzałaż kiedy na świat piękniejsza zrzenica?

Nigdy Król ust nie dotknął do śliczniejszej dłoni,
Zdolnej jednóm skinieniem półświata pokorzyć,
Lub wskrzesić, natchnąć, dźwignąć, gdy w stróny zadzwoni.

Oh! i mogłoż co godniej z cudów Twórcy ożyć?
Bo klnę się, gdy ją szkarłat dziewiczy zapłoni,
Świat nie mógł milszą widzieć, Niebo milszą stworzyć!

## LI.

### Do G... D.....

Śród morza cię zaskoczy zbójcza nawalnica,
Cóś zapragnął ujeżdżać żywioł buntowniczy;
Czarny zastęp bałwanów dni twoje policzy
I uświetni twój pogrzeb z gromem błyskawica.

Gdy słońce jak nadzieja z niebios zgaśnie lica,
Co pędzi wód tarany, chmur jazdę dziedziczy,
Gdy na burzy organach *requiem* zaryczy,
Nie zbawi cię, żeglarzu, rozum i kotwica.

Zwiń żagiel, zanim jeszcze chwila nie stracona,
Mniej wartym ustąp walkę z burzącemi ponty,
Wróć do nas, wzywa ciebie druh, muza i żona.

Cóż nada, że obieżysz cztéry świata kąty,
Gdy maczugę Alcyda i barki Samsona
Kruszy z gminem za jedno, losów wał dziewiąty (*).

(*) Dziewiąty wał mają żeglarze za najniebezpieczniejszy w czasie burzy.

## LII.

### Do . . .

Stróżą Niebios zbawiony od losów swawoli,
Gdym szedł na pastwę złości i potwarzy gminnej,
Pokłon Tobie; bo Twoje sądy dobroczynne,
Wlały mnie zdrój pociechy w siedem czar niedoli.

Gniew i zgrozę przetrwałem, jak wszystko, co boli,
Bez jęków, łzy niewieściej, bez skargi dziecinnej;
O czemuż i bez żalu, tej ulgi niewinnej,
Żem strwonił dobre ziarno na tak podłej roli!

Piłem—choć z płonnych kwiatów, gdy ich owoc wręczę
Bliskim czasem, zdobywcy na czoła ustroje,
Z jakąż mu lichwą wzgardy szyderczej zawdzięczę.

A dla niej.... Dotknęż niemoc ciosem zgrozy mojej,
Ha! nigdy; z czulszych natchnień jak się wznoszę, wieńczę,
Tak jeszczem płci Twej korny Pani, w Imie Twoje!

## LIII.

Losie! cóś dał tak mało ze swej skąpej ręki,
Więcej chciwym, hojniejsze niosący jałmużny,
A błagać o niepewną gdy byłem ostróżny,
Żem nie przedał mą wdzięczność, przeznaczeniu dzięki!

Dzięki mu za mą niwę, mój gaik maleńki,
I za to, dla pochlebców żem niezbyt Wielmożny,
I za to, dla oszustów że mój worek próżny,
Za miłość i natchnione miłością piosenki.

Gdy będziesz szkodził polu, pasiece lub stadu,
Co nie doda obfitość, co ujmie przypadek,
Lub cierpiąc mniej obaczny od zwierza i gadu.

Zniosę kornie jak niema ofiara i świadek,
Tylko mię nie daj w ręce, zakryj od napadu
Zgubnych, jak mór, natrętów, jak wojna, sąsiadek.

## LIV.

## FENIX.

Złotém skrzydłem wiatr ściga i chmury roztrąca,
Oczy jego dwoistém płomieniem goreją,
Płomieniem przeszłej chluby i przyszłej nadzieją,
A nad głową wystrzela gwiazda pałająca.

W jego szponach połyska pęk gromów tysiąca,
Co się ogniem siarczystym na przemoc wyleją...
Powstańcie, ciężkich losów zdeptani koleją,
Gdy się Fenix objawił w waszym grodzie słońca (*).

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Stało się — bo gdy kłęby ofiarnych kadzideł,
Zatruła swym oddechem przedajna gromada
I oplotła świątynię węzłami swych sideł,

Strzelił piorun, zadrżała świątyni posada;
Ptak — Zbawiciel ku słońcu zwinął polot skrzydeł,
Aż po nim dziesięć wieków, nie wyśpiewa — biada!

(*) Heliopolis.

## LV.

Żeglarz, burzy zwycięzca, wśród toni bezdennej,
Gdy mu gwiazd opiekuńczych błyśnie wzrok życzliwy,
Z jakiém westchnie uczuciem do ojczystej niwy,
Co ją śnił, błagał o nią w modlitwie codziennej.

Lecz czuwaj, bądź u stéru! często widmo senne
Obłąka w morzu zjawisk kruchą łódź, wzrok chciwy;
Krocie skał wejścia strzegą do wyspy szczęśliwej,
Gdy Niebo — głuche nieraz, gdy losy tak zmienne;

A ty gonisz za gwiazdą, tak swietną dla ciebie,
Ciągnąc okiem z jej wdzięków treść zguby lub życia,
Jedną widzisz, ubóstwiasz, z tysiąca na niebie...

Ja tym jestem żeglarzem, błądzę od spowicia,
A tą gwiazdą — Ty jesteś.... iskrząc blaski z siebie,
Do zbawieniaż łódź moją pędzisz, czy rozbicia?

## LVI.

## Do . . . .

Pięknaś, swojej na zawiść, na podziw płci innej,
Czy kłamiesz zamyślenie twą zrzenicą czarną,
I gdy cię młódsze tłumy mniej bacznie ogarną,
Pięknaś, nawet w udanej pustocie dziecinnej;

Ach przestań! mnie nie ujmą te wdzięki tak słynne;
Chcę serca, ty z oklasków ciągniesz zdobycz marną;
Dam oklaski, lecz czarę uchylę ofiarną,
Mimo twój wdzięk, ułudę, słówka miodopłynne.

I śmiałym wzrokiem wejdę przez blaski w twém oku,
W próżne twe serce, wszystkim gościnne w przemiany,
Jak orzeł śledzi słońce wsparty na obłoku.

Świat omdlewa, on tylko tą gwiadą zdumany,
Jak poeta, co marzy w xiężyca widoku,
Pięknym jego lecz zimnym promieniem oblany.

## LVII.

## PIÉRWSZY DZIEŃ.

Treść przedwieczna, Bóg-słowo we mgle spoczywało,
Z tej treści wyszły światy w zarodzie pisklęcém,
Prysnęły i słonecznym obiegły Go wieńcem....
Rzekł: Stań się!— piérwsze echo, stało się!—wygrzmiało.

I słońce piérwszym na świat promieniem wejrzało,
I zorza piérwszym niebo oblała rumieńcem;
I człowiek był młodzieńcem i świat był młodzieńcem,
Wzajem się podziwiając swej potęgi chwałą.

Młody czas zliczał gwiazdy, mieszkańce żywiołów,
Pisząc ich dzień urodzin od początku Słowa,
Ocean dźwignął wody z przepaści padołów,

Piérwszym szumem zagrała dziewicza dąbrowa,
Gdy w Edeńskiej świątyni, w obliczu Aniołów,
Ludzi piérwszym rodzicom dawał ślub Jehowa!..

*Stefanow.*

## LVIII.

## EPILOG.

Jest człowiek, co tak czule upodobał kreta,
Że z nim przespał swą jesień i wiosny poranek;
Błogo mu, własny tylko on druh i kochanek;
Ha! budzisz się, dobra-noc! natręt ci poeta.

Jest człowiek! nim igrały Niebo, los, kobieta......
Skołatany ich burzą, uniosł tylko wianek,
Wianek drogi, ze wspomnień uwity równianek,
Ząb czasu go nie zgryzie, nie utopi Leta:

Jemu niosę Arabesk, jeroglif półciemny,
Przejrzy się w duszy jego namiętnej i tkliwej,
Zdejmie maskę, tor wskaże ku doli nieziemnej,

Idź za nim gdy natchnienie twój udział prawdziwy,
Czuj, działaj i patrz wyżej, w świat duchów tajemny,
Żyj sercem, szukaj serca i bądź nieszczęśliwy.

*Chołm.*

# DROBNOSTKI.

Nie dbają moje papiery
O przeważne bohatéry;
. . . . . . . . . . . . . . . . .
Ale śmiechy, ale żarty
Zwykły zbierać moje karty.

*Jan Kochanowski.*

## I.

Nadzieję łowim, Antoni,
Co nam migoce z daleka;
Im za nią prędzej się goni,
Tym ona prędzej ucieka.
Próżny mozoł... spójrzyj w stronę,
Biegną potem uznojone,
Józio, Kostuś i Kamilek,
A cel pogoni — motylek.
Co za pustota te dzieci!
Łowią, łowią... pstry robaczek,
Nosząc się z krzaczka na krzaczek,
Jak leci dalej, tak leci.
Wtém się Antoni rozśmieje:
»Nasze to łowią — nadzieje."—

## II.

Od głodu, moru, wojny, niech nas Bóg wybawi!
Tak błaga i Niebiosom człowiek błogosławi;
Ale gdy złą niewiastę poszle Niebo komu,
Głód i wojna tam wejdą samotrzeć do domu.

III.

## DO RÓŻY.

Motylem mię Różo mienisz,
Więc wygrana przy mej stronie,
Lecę spocząć na twém łonie....
Czegoż się gniewna rumienisz?
Patrz, gdy motyl do niej goni,
Twa róża odeń nie stroni.

IV.

Stracił Marek i rozum i zdrowie w pół wieka,
Przyjaźni i ludzkości szukając człowieka.

V.

Zwabion pieniem Syreny, śpiący żeglarz ginie,
I twoi śpią słuchacze, gdy śpiewasz Justynie.

VI.

### NAGROBEK MAŁŻEŃSKI.

Błagam Cię o mój Boże! Twym sądom niesprzeczny,
Za mój pokój doczesny, daj jej pokój wieczny.

VII.

## NA PORTRET.

Uwielbienie i podziw wskroś widze przenika,
Patrzy Egle bez oczu, mówi bez języka.

VIII.

Któż dosłucha a wypowie,
Tyle gwaru, słów bez liku.
Gdy u innych rozum w głowie,
Twój znać osiadł na języku.

IX.

(z Marcialisa).

Spornyś i zgodny, miły i cierpki u siebie,
Ani z tobą żyć mogę, ani żyć bez ciebie.

X.

Lekarstwo dajesz chorym, tobie złoto chorzy;
Tyś doktor ich choroby, oni twej doktorzy.

XI.

Swym widokiem przerażona,
Zastygła w kamień Gorgona,
By to i na cię nie padło,
Elwiro potłucz zwierciadło.

XII.

## DO RÓŻY.

Nic tu zawiść nie ujmie, pochlebstwo nie doda,
Mnie cierniem twoje oko, rozkwitem uroda;
Ani zrówna ci żadna z Flory wychowanek,
Gdy kwitniesz lat piętnaście, te jeden poranek.

## XIII.

Broń mię Panie, psem nigdy nie nazwę Błażeja,
Błażej szczeka na prawych, a pies na złodzieja.

## XIV.

## DO LAURY.

A toż mnie dziwnie jakoś splotło się w umyśle;
Rad wolę zbierać mirty, gdy o Laurze myślę.

## XV.

## DO WIARY L.

Swawolném z drogi prawej zbłąkany marzeniem,
Wiarę, Miłość, Nadzieję, zwałem urojeniem,
Zwątpiałego w bezdrożu, kędy błąd przewodził,
Twoje oko, Twój uśmiech z prawdą go pogodził,
Gdy wznosząc dziś me serce nad obłędem, złością,
Święcę Wiarę w Nadziei, a płonę Miłością.

## XVI.

Odpychasz głodną nędzę, psy pieszcząc na łonie;
Człowiek-że bliźnim twoim, czyli pies, Iwonie?

## XVII.

## EPITAFIA.

Podobny do głazów za życia,
Aż do zgonu od powicia,
Zrównawszy się dziś milczeniem,
Legł tu kamień pod kamieniem.

XVIII.

Jedną wiosną kwitnące, równą chlubne krasą,
Jednėm słyną imieniem, i słodyczą pasą,
Choć Różę stroją perły, różę liść papuży,
Jak pszczoła lgnie do róży, lgnie Józio do Róży.

XIX.

Wbrew poznaniu, nauce, co za nierozsądek!
Zbolałemu podagrą chce leczyć żołądek;
A więc oba, mém zdaniem, chorzy przez połowę,
Leczący się na nogi, leczący na głowę.

XX.

Uczerniłeś włos biały, gdy twa młodość ginie,
Cóż teraz z duszą czarną chcesz począć Justynie?

XXI.

Farbuje się już Zosia, mówiąc między nami,
Błahość dzieła chce przykryć Jacek obrazkami;
Gdy się zetrze róż z twarzy, gdy się zedrą cacka,
Zosię nazwiem babunią, wierszokletą Jacka.

XXII.

**Et aliquando divus dormitat Homerus.**

Trudno zyskać sławę w rymie,
Choć tak nad nim ślęczym, trudzim;

I sam Homer czasem — drzymie,
I my się też czasem — budzim.

## XXIII.

O cudowna Irydo, znana wsi i miastu,
Co dzień piętnastoletnią już od lat piętnastu.

## XXIV.

Poznano się na figlach, więc czynniej, przykładnie
Przestał Marek szalbierzyć, i już dzisiaj — kradnie.

## XXV.

Piętnaście obrączkowych dał za osła glupiec;
O! któryż z nich tu osieł, kupiony czy kupiec?

## XXVI.

Zdrów był Marek z fixata,
Dziś źle się z nim dzieje:
Ożenił się do kata!
I znowu szaleje.

## XXVII.

Czarniejsze od hebanu, czérwieńsze korali,
Jeden twe łaje oko, drugi usta chwali,

Równie mię wdzięk twych oczu i ust słodycz mami,
Kiedy mię ranisz okiem, uzdrawiasz ustami.

## XXVIII.

Zwłoki pana Drzemiączki w tém leżą ukryciu;
On robi i po zgonie toż samo co w życiu.

## XXIX.

Za dziesięć obrączkowych, o głupstwo szalone!
Kupił małpę figlarczyk, jakby nie miał żonę.

## XXX.

## Pod minjaturą Wiary L...

Wszystko odtąd z mém sercem chcę Wiarze poślubić;
Tak anielska, tak piękna, możnaż ją nie lubić.

## XXXI.

By się tylko ożenić, stroił się, uśmiechał,
Klękał Jacek przed Zosią i płakał i wzdychał,
Ożenił się, a chociaż dziś się nie uśmicha,
Za to rzewnie a częściej i placze i wzdycha.

## XXXII.

Różni z przeznaczeń, w skutkach gdy tak równi przecię,
Czemuż się to pogodzić z sobą nie możecie,

Razem wyszli i w jedną z za sztuki obrębów,
Owy pisząc, ten łecząc od bolenia zębów.

### XXXIII.

Czy się mu wpatrzyć w obec, z góry albo z boku,
Twarz Jacka szkicem zda się poczwarnych pór roku.
Ów odcień zielonawy, *fac simile* wiosny,
Obległ oko zaklęsłe jak świadek miłosny,
A w oku krwią zabiegłém, jak na zodijaku,
Wybiją znojne lato upały araku.
Że zaś ten gdy ogrzeje, w ślad i zarumieni,
W kraśnej twarzy jak wisznia masz barwę jesieni.
A gdy jeszcze siwizna, znak zimy niezmienny,
Vivat Jacek w obrazach, a przykład zbawienny.

### XXXIV.

Jaś do Elwiry, za łanią
Jak strzelec pędzi w bezdroże,
Jak cień on goni tuż za nią,
I jak cień dognać nie może.

### XXXV.

Słowa pisma świętego na mnie dziś sprawdzone,
Krzyż mój przede mną, Jacek rzekł patrząc na żonę.

XXXVI.

Ożenił się, wziął żonie pannę do usługi,
Kupił Jacek papugę i ma trzy papugi.

XXXVII.

Skoropis do K... Mr...

Mamże mówić bez omówek,
Mój ty bracie, mój Karolu:
W mieście, na wsi, w lesie, w polu
Ludzie podobni do mrówek:
Ciągle w ruchu, bez ustanku,
Bez zamiaru, bez systemy,
Od poranku do poranku
Gonim, pędzim, gdzież? — nie wiemy.
Lecz w tém nie ma nam wymówki,
Umieją mrówki wędrować;
Czemuż wielbiąc za to mrówki,
Sami tu chcemy próżnować?

XXXVIII.

Że Marek nie ma gazet, Firs go skąpym mienił,
A cóż mu z kupnych gazet? wszakże się ożenił.

XXXIX.

Pedant widzę z Jegomości
Co wciąż cudze wtórzy słowa:

«Natura nie cierpi czczości...»
Aż mu dowiódł Jan naocznie,
Twierdząc że cierpi widocznie,
Gdy ją w głowie jego chowa.

## XL.

Mój sąsiad od ślubowin bez zegaru żyje,
Dostał żonę, co kwadrans, co godzina—bije!

## XLI.

Co za próżność w tym człowieku!
Choć go powiat mądrym mienił,
Szósty krzyżyk kończąc wieku
Piotr, jak na żart się ożenił;
Lub przykładniej brać to trzeba,
Mając rozum, pamięć, wolę,
Chce znać cierpieć w tym padole,
By zeń prosto pójść do Nieba.

## XLII.

Jaka sprzeczność choroby, jak ciężkie niezdrowie,
Puchlinę ma w żołądku a suchoty w głowie.

## XLIII.

### Pod portretem L. K.

Wpatrując się w jej rysy, stoję zamyślony,
Z oroszoną zrzenicą na gorzkie wspomnienia,
Że młodość, wdzięk i szczęście tak wątłe nam płony,
Jak ta karta, na której kwiat się ich odcienia.

## XLIV.

Młodzież uwodząc nieustannie,
Lecz trwożne o tém wieści głośnych,
Grzeczne kobietki nie zajrzą dziś Diannie
W swoich wybiegach miłośnych:
Za krok zbyt jawny Akteona
Dozgonną zemstę uknują,
A rojem pieszczot osypią,
W ukryciu Endymiona.

*(Tłum.)*

## XLV.

### Do R. I...

Z uśmiechem, co tak ledwo błysnąwszy, umiera,
Przebiegałem stronnice twego Moliera,
Lejąc balsam pociechy na biedną mą dolę,
Za chwilkę roztargnienia dzięki ci Aniole.

## XLVI.

Sotern dwoi przedmioty, zdolności wykryje,
Max głupi, jednooki, nic dziw więc, że pije.

## XLVII.

### W IMIONNIKU J... K...

Do xięgi twych pamiątek wnosząc korne imie,
Nie śmiem cię Pani sławić w mym prostaczym rymie,
Jak Arab, co wykrywszy złotej szyby łoże,
Pasąc oko jej blaskiem, dość cenić nie może.

## XLVIII.

Strojną zbyt świetnie pannę na wydaniu,
By snadniej głowę półgłówkom zawrócić,
Mam jak tę cierpką pigułkę w mém zdaniu,
Którą, by połknąć, trzeba wprzód pozłocić.

*(Tłum.)*

## XLIX.

Stokroć uwierzę cudowi:
Klara bez języka mówi,
Nim raz u mnie będzie wiara,
Że z językiem milczy Klara.

*(Tłum.)*

L.

Nadziwić się dość nie mogą,
Jak nasz Sędzia trafny w mierze,
Nigdy nie skrzywdził nikogo,
Bo od wszystkich równie bierze.

LI.

Czemuż tak cię jęła troska?
O daj pokój, zewsząd bida.
I cóż z tego, wola Boska!
Wierz mi, smutek nic nie przyda,
A los, co dziś cię zasmuci,
Jutro znowu radość wróci;
Jakże mię ostrzej był zaciął,
Gradem kłosa nie ocalił,
Piorunem stary dom spalił
I dwóch odebrał przyjaciół.
Dał Bóg przecie koniec złemu:
Przyjaciół znowu mam krocie,
Urodzaj mię udarował,
Dom się lepszy wybudował,
I na domiar swej dobroci
Wziął mnie żonę, dzięki Jemu!

LII.

## Do Róży... zamężnej.

Kiedy się spór nie umniejsza,
Róża czy róża piękniejsza,

Pogodziłem sprzeczki zbytnie:
Przy tobie Pani wygrana,
Tamta nieuszczkniona kwitnie,
A Ty kwitniesz i zerwana.

## LIII.

Ha już zda się nie zawiodę,
Błysnęła i mnie fortuna,
Wziąwszy żonę piękną, młodę,
Uskubnę złotego runa!
Z dobrą na przyszłość otuchą,
Szepnął mi to Piotr na ucho.
Szepnął, pomknął się, ożenił,
Kogoż pieniądze nie zwiodą!
Ani z piękną, ani z młodą,
I którą tak zbyt ocenił,
Mając skubać złote runo;
Jakże się zawiódł, to lubię!
O sroga, zmienna Fortuno...
Żona go w tydzień po ślubie
Skubnęła i dotąd skubie.

## LIV.

Nie wszystko co świeci grzeje,
Nic nam po blasku xiężyca,
Joasi ciemna zrzenica,
Jednak serc tyle nią tleje...

## LV.

U Laisy czarne oko
I włos rozwity u ramion,
Lecz tą zanętną powłoką
Nie jeden już był omamion,
Gdzie złość czarniejsza od oczu,
Próżność większa od warkoczu,

## LVI.

Gdy to liczył i zasklepiał
Obrączkowe i talary,
Mówią, ledwo nie oślepiał
Od ich blasku pan Makary;
Szczéra bajka, broń mię Boże,
Nigdy temu nie dam wiary;
Bo oślepnąć ten nie może,
Czyje chciwość okulary.

## LVII.

By wykazać swą piękność, bliżej porównana,
Wpłotła się wonna róża do Maryli wiana,
Lecz postrzegłszy jak mało przy jej wdziękach znaczy,
Rumieni się, blednieje, i zwiędła z rospaczy.

## LVIII.

Nasze dzieła nie zaginą!
Na cóż się dziś człek nie kwapił?

Że rozum odświeża wino,
Porządnie się Jacek napił;
Już myśl więcej niż wesoła,
Gdy mu powstać nawet z trudem,
Siadł i jak Żyd nad talmudem
Chwieje się u końcu stoła.
A gdy myślił, mniemał, roił,
Choć mu w oczach świat się dwoił,
Gdy głębiej myśli i mniema,
Cóż odkrył genijusz wielki?
Oto, na przypadek wszelki,
Gdy czasem kielicha niema,
Pociągnąć prosto — z butelki!
Co za odkrycie, systema!

## LIX.

Znam pewnego Mecenasa:
Jak u Baszy pełna kasa,
Jeszcze niema lat czterdzieści,
A już się w krzesłach nie mieści.
Tak cóż z tego, mniejsza o to,
Wolen użyć kto ma złoto;
Lecz dla czegoż mops plugawy
Wypija z nim kawę co dnia,
Kiedy jego Klient kawy
Już nie widział od tygodnia?
Mimo uwag i przestrogi,
Jest i będzie po dawnemu,

Niema się tu dziwić czemu,
Wszak mops jemu liże nogi.

## LX.

## Do K. Z. Skoropis.

Za przepisanie
Wierszy, dziękuję;
Niezdrowyś Panie?
Mocno żałuję;
Słabości człeka
Różnie się goją,
Znam twą, z daleka
Przyjm radę moją:
Pij stare wino,
Z młodą dziewczyną
Trawiąc wieczory,
Nie będziesz chory.

## LXI.

Ten, co skrytość duszy śledzi
I w tajni jej błędy chowa,
Po wielkonocnej spowiedzi
Xiądz Pleban kazał Jejmości,
Za przesoł gadatliwości,
Nie rzec przez tydzień i słowa.
Pasterzu niewysławiony!
Ach bierzcie zeń przykład Xięża;

To mi pokuta dla żony!
To mi zbawienie dla męża!

## LXII.

## Do ... (Skoropis).

Od półgodziny samowar szemrze a szemrze na mnie, żebym ciebie coprędzej wezwał na herbatę; nie chciej odmawiać mnie i jemu, zwłaszcza co tak podobny do tych ludzi, którzy dopóty nie przestają gdyrać, aż się im zadość uczyni;

Więc nie każ się wzywać darem,
Czekam ciebie z samowarem;
On klokocze, szemrze, gwarzy,
A Poeta roi, marzy,
Że to obraz złego ducha,
Gdy mu paszczą ogień bucha,
Kłębiąc z uszu dym i parę...
Z wrzącego więc jego brzucha,
Przyjdź, napieńmy złotą czarę,
Bo na troski bladą marę,
Nic zdrówszego w słotne lata,
Jak gawędka i herbata.

## LXIII.

## Pod obrazkiem Amorka.

(w Imionniku J. G).

Ledwo w zaczętych dni kwiecie,
Niewinność jeszcze go pieści:

Ach jakież to lube dziecię,
W twym imionniku się mieści:
Ta jasna, modra zrzenica,
Marzy cóś zda się i kryśli;
Przejąwszy wdzięk twego lica,
Chce bydź żwierciadłem twej myśli.
Patrząc z nieziemnym urokiem,
Kto się weń wzajem wpatruje,
Jako Anioł-stróż swém okiem,
Twoją książeczkę pilnuje.

## LXIV.

Tak niegdyś piękna, broniąc swej ręki,
Zwałaś ty miłość chimerą;
Dziś przyszła miłość, gdy znikły wdzięki,
Cóż z ręką poczniesz Glicero?

## LXV.

Unikam twego oka, swojém cię nie mierzę,
Bo swojemu nie ufam, twojemu nie wierzę.

## LXVI.

Zwiódł wczoraj Fausta Hymen zbyt srogi,
Faust na Pegazie dziś hasa;
Jak gdyby można jelenie rogi
Uchem zasłonić Midasa.

## LXVII.

Tak jest lekką Belinda, że weszła w przysłowie,
Niosąc pustkę w posagu i w sercu i w głowie.

## LXVIII.

Zły los mój dwóch przyjaciół dał na życia drogę,
Ale tak się w piekielnej ułożył intrydze,
Że się jednym z nich brzydząc, pozbyć go nie mogę,
A z drugim, choć go kocham, nigdy się nie widzę.

## LXIX.

Kto za skarby przyjaźni czarną zdradą płaci,
Ten jest lustrem potwornem dla pięknej postaci.

## LXX.

Irydę sławią, cenią wysoko,
Z Emmy dworują szyderce;
A milszeż tamtej niebieskie oko,
Niżli niebieskie tej serce?

## LXXI.

Patrz, biedą cudzą Pan jedzie,
Los z kozłów wytchnąć jej nie da,
Nim tak pysznego na biedzie
Dosiędzie wzajem ta bieda.

## LXXII.

Mierzysz me czoło szyderczém okiem,
Ale za prawdę rzetelną,
Lepiej mnie ujdzie z czołem wysokiém,
Niż tobie z głową bezczelną.

## LXXIII.

Co chcesz czyń ze mną w zemsty rachubie;
O Fanni! do nóg ci padam,
Tylko mię nie chciej; grzybów nie lubię,
A cielęciny nie jadam.

## LXXIV.

Jeszcześ się piększyć tej Dorys...
*O tempora! o mores!*

## LXXV.

### PORTRET.

Wcale trafny, a szkoda, bez duszy Inocent;
Trzos mu tylko do ręki, zawoła o procent.

## LXXVI.

Krytyka sądząc innych, że dla cię tak skryta,
Ciesz się wiecznym jej krzyżem, *requiem*, i kwita.

## LXXVII.

### Do Fanni.

Wolą Dianny się zmienia
Śmiały Akteon w jelenia;
O Fanni! tyś ją przeniosła,
Stworzywszy jelenia z osła.

## LXXVIII.

Niepodobnym do Pawła ten portret się zdaje,
Czegoś mu na łbie nie staje......

## LXXIX.

Osławiłaś mię Pani, żem się zgrał do kości,
A więc tracę na złocie, Pani na skromności;
W różną grę przegrywamy oboje pospołu,
Grając z góry na złoto i na skromność z dołu.

## LXXX.

Nad wszystkich głośniejsze twoje
Pisma, mój Panie Ambroży;
Bo piszesz od nich we troje
Prędzej i więcej i gorzej.

## LXXXI.

Choć nie znam twego ojca, dziśbym się założył,
Że samochcąc raz w życiu paszkwil na się stworzył.

## LXXXII.

## DO LEKARZA.

Ciągle badasz o zdrowiu, gdy się zejdziem dwoje;
Zdrów jestem na me szczęście, na nieszczęście twoje.

## LXXXIII.

Ja wczora osła spotkałem,
A dziś mię spotkał Aureli:
Dawnośmy się, rzekł, widzieli;
Od dnia tylko, pomyślałem.

## LXXXIV.

## Na Portret.

Cudo sztuki! wyrwany obraz Graciana,
Oh tak, zda się, i mówi: *pij zdrów* — do Waść Pana!

## LXXXV.

A toż jedyna pociecha
Chłopiec, co igra na łące;
Patrz, jak się mile uśmiecha,
Jakie oczki pałające!
Raz mię wabi, klaszcze w dłonie,
Znów łuk swój ku mnie napina,
Pogonię za nim, pogonię,
To jakiś figiel — chłopczyna!

Słucham Haliny rozkazu,
I co żywo, dalej za nim:
»Stój niemowlę! bo cię ranim.”
On to słysząc pomknął zrazu,
Lecz tak ciężko, tak powoli,
Żeśmy w moment u topieli
Zmogli razem go dogonić;
Jął się, szamotać, kląć, bronić,
Modlić, płakać, że sierota;
Próżno płacze i zaklina,
My go wiedziem; aż niecnota,
Gdzie wąwoz gaik przerzyna,
Tak się zwinął znów powoli,
Że nietylko zbiegł z niewoli,
Ale jeszcze psotnik nawet,
Wśród zarośli, na wet za wet,
Ktoby wierzył, ktoby mówił,
Jeden obojgu ułowił!

## LXXXVI.

Gdym był jeszcze chłopak mały,
Drwiłem w obec Kupidyna,
Jednak na mnie żadnej strzały
Nie wypuścił ten chłopczyna;
Aż gdy poźniej Emmy czarem
Jąłem marnie w ślad jej latać,
Nauczył mię i niedarem,
Co to znaczy im pomiatać.

## LXXXVII.

## DO CYCERONA.

(z Katulla.)

O Tulli najgłośniejszy z potomków Kwiryna!
Co są, będą, i których wiek przeszły wspomina;
W hołd cię wieńczy podziwu Katull w swoim rymie,
Ów Katull, co najgorszym jest poetą w Rzymie,
Tyle gorszym, a tyle niższym między wieszcze,
Ileś najwymówniejszych ty prześcignął jeszcze.

## LXXXVIII.

Co, żona?—cierp i dotrwaj, a świetnyś Filipie,
Jako złoto na ogniu, Sokrat przy Xantypie.

## LXXXIX.

Tym włos zawity, tamtym po łonie,
Lais gdy ramie obnaży,
Belinda w wieńcu, Egle w zasłonie,
Jak to im wszystkim do twarzy.

## XC.

Dyzmas owdowiał; świat mówi:
»Wieczny pokój Dyzmasowi!"

## XCI.

»Żono! Duszo!"—Stań się!—stało...
A toż mnie dusza i ciało!

## XCII.

### W IMIENNIKU.

Gdy mimo starań i chęci,
Nic wieczne na tym padole,
A kute poźniej pamięci
Czas powywracał mauzole;
Tu na tych kartach bez liku,
Wyrazem słowa i farby,
Długoż trwać będą te skarby,
Elwiro, w twym imionniku;
Dziś jak twój tryumf; za chwilę
Tryumfu twego paszkwile.

## XCIII.

Za lada wino powszednie,
Że niedość sławią twe brednie;
A któż, Pawle, dla igraszki,
Najmie błaznów za te fraszki?

## XCIV.

Długą zwadę naostatek
Zakończyli we dwa słowa:
»To mnie głowa; gdyby statek.....
»To mnie statek! gdyby głowa."

## XCV.

Nadrabiam miną i giestem,
Kiedyż mię, kiedy zrozumiesz?
Lub czemu głuchym nie jestem,
Gdy ty bydź niemą nie umiesz.

## XCVI.

Klepiąc bez sensu tom nowy,
Poszedł po rozum do głowy;
Będzież tu podróż jak wielu
Wędrówką w pustkach bez celu.

## XCVII.

Jan nie wygrał na zamianie,
Wziął niż piérwsza gorszą drugę;
Bo któż widział, Mości Janie,
Mieniać małpę na papugę.

## XCVIII.

Tę i owę, kara Boża!
Śmie zwać gąską u rozdroża;
Mówcie, nie o mnież to mowa?
Co? nie jestżem.... ta lub owa?...

## XCIX.

Póki miał wino a placek,
Miał i przyjaciół Pan Jacek;
Gdy dziś bez wina i placka,
Nikt ani spójrzy na Jacka.

## C.

Chlubski dóbr swych nie wypowie,
Gotówka biednym się mieni,
Choć tu nawspak, temu w głowie,
Owemu braknie w kieszeni,

## CI.

Słysząc, że nasza stolica
Już się i gazem oświeca;
Pomknął Sotmas z żoną razem,
By się oświecić choć gazem.

## CII.

O któż się tak ograniczy!
Marjanna chce bydź Marylką,
I choć wedwój lat już liczy,
Dwudziestu wszakże chce tylko.

## CIII.

Chcesz ofiar dawnym zwyczajem,
O Fanni! cóśmy dziś sobie!
Co tobie po mnie, a wzajem
Co mnie z lat tylu po tobie?

## CIV.

Od niepamięci do ninie
Słynęła Egle i słynie,
Wdziękiem i dumą z dni ranka,
W półdzień jak męża tyranka,
Potém jak wdowa i plotka;
Ta dziś już tylko dewotka.

## CV.

Zorane czoło, twarz płową,
Przystraja wstęgą różową;
Lecz te jéj barwy codzienne,
Jak tęcza w słoty jesienne.

## CVI.

Jej wzrok jak za mgły powłoką,
W głowie, na ustach myśl pusta;
Czemuż wciąż milknie to oko,
Gdy ciągle gwarzą te usta?

## CVII.

Broniąc klienta, nareszcie
Puścił go prawnik po kweście,
Biorąc na się część majątku—
Za brak klienta rozsądku,
Drugą gdy wygrał już prawie,
A jeszcze kosztów unika,
Trzecią, że nieuk on w prawie,
Czwartą, że nie znał prawnika.

## CVIII.

Chce bydź sędzią, po co, na co?
Gdy źle stawał, lepiejż siędzie?
Gdy pisał, mówił ladaco,
Rozumniejż nas sądzić będzie?

## CIX.

Czynem i słowem dogrzewa,
Językiem drażni mię, łechce,
A w końcu złości się, gniewa,
Czemu się swarzyć z nią nie chcę.

## CX.

„Dokończyłem mój powieści."
Ach to najmilsza z jój treści.

## CXI.

Profani, zkąd tak czasami,
Serca wam stawię i głowy,
Gdy się uniżę bydź z wami,
Każdy mnie w obec gotowy;
Ważąc tę śmiechem myśl hardą,
Politowaniem lub wzgardą,
Że w czas wam znijdę ciekawi,
Lecz strzeżcie uszu i skóry,
Wszak lew choć z małpą się bawi,
Zawsze ma przecię pazury.

## CXII.

### DO WZYWAJĄCEGO NA CHRZCINY.

(*ex promptu*).

Piękniés mi się bracie sprawił,
Bodaj cię Bóg błogosławił,
Coraz szczodrzéj i goręcéj,
Znowu za dziewięć miesięcy.
Boś ty dobry chrześcianin,
Wdzięczny szczodrych nieba danin,
Na wzór całéj okolicy,
Pracując w jego winnicy,
Obchodzisz przykładnie, święcie,
Sakrament po sakramencie...
O, na te gody, pośpieszę,
Niosąc ku wspólnéj pociesze,

I moje szczére życzenia
Dla babki, mamy, rodzica,
Wszystkich nadziei spełnienia,
Z przyszłego Mieżyc dziedzica.

## CXIII.

Nazwałem Emmę letnią dziewicą,
I biada, biada méj głowie!
Biada i Emmie żyć z tajemnicą,
Bo komuż, proszę, to powie?

## CXIV.

Sapie jak ogniem dysząca góra,
Tuszy nadstawia pan tłusty;
To mi hanzejskiéj beczki — figura,
To mi to głowa — kapusty!

## CXV.

Że kocham, jawnych hołdów chcesz Zojo,
Chciwa z mych przysiąg zalety;
O kocham! klnę się na miłość moją
I na twą próżność, niestety!

## CXVI.

Patrząc, żem nieżonaty, cierpisz w méj potrzebie,
Żonatyś, więc się trwożę spojrzawszy na ciebie.

## CXVII.

Ciągle mnie staje w obec pan Adam,
Za każde łowi mię słowo,
Tak, że gdy nawet nic nie powiadam,
On ma odpowiedź gotową.

## CXVIII.

Gdy tak luba otwartość, więc za cóż mniéj warte
Serce Emmy, z kolei dla wszystkich otwarte?

## CXIX.

Elwira dowcip, Zosia wdzięk szczyry
W posagu niebios przynosi;
Gdyby dadź Zosi dowcip Elwiry!
Elwirze wdzięki dadź Zosi!

## CXX.

Czernisz mię skrycie; ja twoim celem
I tobą gardzę bez trwogi;
Lecz nie śmiéj zwać mię swym przyjacielem,
Bo cię rozgniotę, na bogi!

## CXXI.

Każesz mnie czytać na twojém oku,
Czytam znaglony potrzebą:
Jak niebo modre, pełne uroku,
I tak mnie trudne jak niebo.

CXXII.

Pan Processowicz na mnie nastawa,
Nie chcę kryć mojéj obawy,
Prawy niewprawny, unikam prawa,
I duszy jego nieprawéj.

CXXIII.

We snach, w upiorach, we wróżbach gminnych,
Że istnie prawda, strach roisz;
Lecz prawda tylko Bóg, postrach winnych,
Czemuż się Jego nie boisz?

CXXIV.

Jacek wbrew zawsze, lada rozmowa,
Zwaśni ją, przerwie znienacka,
Słyszał o wszystkiém..... choć płytka głowa,
Długie znać uszy u Jacka.

CXXV.

Zasiał marzenia, wzrosły nadzieje,
Rozkwitł pustokwiat z kolei;
A w całym plonie cóż zebrał Janek?
—Cierniowy wianek.

CXXVI.

Dziwią się jemu dobrzy prostacy,
Mądrym go zowią paniczem;

Lecz gdy o *wszystkiém* wie Pan Ignacy,
Czemuż on nie wie o *niczém?*

CXXVII.

Zbyt się znać Firs odmienił, zbyt musiałem doznać,
Gdy on poznać mię nie mógł, jam go nie chciał poznać.

CXXVIII.

Już serc nie nęka twoja zrzenica,
Wyznawcy twoi niemieją,
Jak pożyczane blaski xiężyca,
Przyrody łona nie grzeją.
Twarz swą farbujesz, lecz gdyś nie w mocy,
Lat rdzawe cofnąć ogniwa,
Wdzięk twój, jak xiężyc, z nocy do nocy
Pełnią i światłem ubywa.

CXXIX.

Widział świat w Emmie dumną figurę,
I niósł jej wdziękom niewolę.
Ztądże dziś Emma rości swą górę,
Że świat był u niej na dole?

CXXX.

Bez snu, bez jadła, Jan szpéra, kryśli,
A że Piotrowi myśl nic nie nada,

Gdy za trzech Piotrów Jan czuwa, myśli,
Piotr za trzech Janów śpi i zajada.

## CXXXI.

Że za nos wodzi męża, chcą jej sławie szkodzić;
O niebaczni! mąż łysy, tak za cóż go wodzić?

## CXXXII.

Ztąd się chyba pan Ziemba znamienitym mieni,
Że kur w głowie, tchórz w sercu, a Żyd mu w kieszeni.

## CXXXIII.

Że muł od osła pochodzi,
Zna, wie każdy, ręczyć gotów,
Gdy ich kształtu i przymiotów,
Z Jacka jednak Max się rodzi.

## CXXXIV.

Jan nim doszedł do kobierca,
Cierpiał mocne bicie serca;
A dziś gdy mu serce zdrowe,
Cierpi mocne *bicie w głowę.*

## CXXXV.

## W ALBUM M... P...

POD OBRAZKIEM URNY.

W cieniu brzozy płaczącej Twa urna złowroga,
Wspomnieniem o wieczności rzewną myśl w nas budzi,
Marjo! na dniu wiosny gdy wrócisz do Boga,
Oh cóż zostanie dla ludzi.

## CXXXVI.

W IMIONNIKU K. R.

Do tej xięgi, gdzie Tobie winne hołdy znoszą,
Dadź swe imie jest dla mnie chlubą i roskoszą,
Bo z niém wejdzie szacunek i życzliwość szczéra,
Co się z losem nie zmienia, z czasem nie umiera.
Szczęśliwy! kto te karty tém godłem uświęci,
Szczęśliwszy! kogo uczcisz w twych przyjaciół rzędzie,
Ale ten ze wpisanych najszczęśliwszym będzie,
Czyją z ofiar przepiszesz do serca pamięci!

## CXXXVII.

Młodzież śpiewa jej zalety,
A mąż rymuje—niestety!...

## CXXXVIII.

## NA OBRAZ Ś. ALOIZEGO.

*(z Sarbiewskiego).*

Twoje oczy kornemi zalały się łzami,
Twoje lice zroszone własnych wód zdrojami;
W ich toni błyska ogień zrzenic pałających,
I w dwoistym wylewie ciągle się nurzących,
A westchnienie, przez które jęczy twoja dusza,
Swoim świętym powiewem ich fale porusza...
Do łodzi, wioseł, bracia! gdy żagle rozwiniem,
Są wody, na ich łonie do niebios zapłyniem.

## CXXXIX.

### DO ŻENIĄCEGO SIĘ.

Strat przeszłych wynagrodząż ci śluby niewieście,
Strat mienia, lat, swobody, rozumu nareszcie?...

## CXL.

## PAN ŁUKASZ.

Nie przypomnę w jakim kraju,
Zdarzyło się to przed laty,
Że pod rok nieurodzaju,
I ubogi i bogaty,
Ten z bojaźnią, ów z potrzebą,
Biegł do świątyń błagać niebo.
Bogacz zrzucił na ołtarze,
Co mógł tylko przynieść w darze,

I co w drogiéj ważył cenie,
Kruszec, perły i kamienie,
Pięknie strojąc przy obiedzie
Te fraszki, wrzeszczał rozsądek,
A podpowiadał żołądek:
»Nie do twarzy głodnej biedzie,
Bo naówczas wszystkie cacka
Nie warte jednego placka."—
Stwierdzili tę prawdę wieszcze,
Na czczo bowiem byli jeszcze.
I król oddał wszystkie złoto,
Dworzanie srébro oddali,
Radni, xięża, i tak dalej,
Skarbem kościół zasypali,
Biedak przyniósł naostatek
Z łez i modlitwy podatek.
Nic to jednak nie pomogło,
Ubóstwo się bardziej wzmogło,
A z niém rospacz i niedola:
»Cóż czynić, niebios w tém wola!
»Niebaczny! co ja wyrzekłem?
»Sam może przedłużam karę?
»Wszak gdy naród niósł ofiarę,
»Bojąc się wtedy wydatku,
»A wiadomo w niedostatku,
»Z oblicza kornych uciekłem:
»To mnie dolega i nudzi,
»Oszukałem prawda ludzi,
»Ale Boga nie oszukasz!"...
Tak mrucząc lichwiarz, Pan Łukasz,

Żelazną skrzynię odkrywa,
I po długiem rozmyślaniu,
Wyjmowaniu, odkładaniu,
Grosz wyszczerbiony dobywa,
A złożywszy go w świątyni,
Klęcząc, jęcząc, modły czyni:
»Bóstwo! odwróć srogą karę!
»O to ze łzami cię proszę!
»A przy nich mój dar przynoszę,
»Największą w życiu ofiarę!”
Syte ofiar, syte prośby,
Poprzestało niebo groźby,
I zakwitły niwy płonem,
A lud wdzięczen Opatrzności,
I w zdumieniu i w radości,
Uderzył setnym pokłonem.

**P.S.** Czy tak było, czy to plotka,
Dykterijka, anekdotka,
Nie uwierzyłbym tej wieści,
Ależ przysięgą stwierdzona
Podskarbiego faraona,
Co od sta bierze trzydzieści.

## CXLI.

## Koniec Modlitwy.

. . . . . . . . . . . . . .

A w odwet Panie grzechów moich,
Gdy karzesz, karcić z rąk chciej swoich,

Lecz nie daj krewkość nowej winie,
Nie daj tym osłom brać mię skruchą;
Bym znów któremu w złej godzinie
Wyrazem zgrozy nie dał *w ucho.*

## CXLII.

Sławę za przemysł w powiecie
Zyskał Marek, choć z kłopotem;
Żona dłań miele i plecie
Jednym języka obrotem.

## CXLIII.

### W IMIONNIKU.

Gdybyż choć wdzięki przynajmniej!...
Lecz twa zimna grzeczność dla mnie,
Co się zżyma, kurczy, garbi,
Mych ci natchnień nie zaskarbi.
Znam te słodkie oświadczenia,
Jadłem owoc z ich nasienia.
Wiek nasz chytrym, zdrajcą widzę,
Mimo uśmiech, grzeczne słowo,
Ztąd się niczém tak nie brzydzę,
Jak przyjaciół mych połową...
Darmo wyje potwarz wściekła,
Zawiść zalega mnie drogę,
Potwarz zdepcę, strącę w piekła,
Po nad zawiść wznieść się mogę.

Wówczas ich niechęć i łaskę
Tak odważę, tak ocenię,
Jak cenię dzisiaj ich maskę,
I przyszłe o nich wspomnienie.

## CXLIV.

Takeś się zawziął, wdrożył, zawinął,
Wikłać me cele uknował,
Że choć twój ojciec malarzem słynął,
Ciebie sam szatan malował!

## CXLV.

## EPILOG...

Czas na mnie teraz ż kolei,
Winien się w końcu spowiadać,
Kto wbrew śmiał tyle nagadać,
A marzyć jeszcze w nadziei,
Że się mu nie da we znaki:
Rod męzki, żeński, nijaki...
O karzcie, sam się wam kładę,
A jak najsrożej, dam radę:
Ród męzki niech mi tę chryję
W dwururce sztemflem przybije,
I choćby pod sam Stefanow
Podszedłszy, każdy z tych panów,
Póty niech strzela bezkarny,
I proch przybija mym rymem,

Aż cały zbiorek ten marny
Wyrzuci z ogniem i dymem.
Płci pięknej cięższa tu rada,
Jak ostrzej karać wypada;
Dam przecie sroższą nierównie
Nad Prometeja katownie:
Oto niech każda w tęż chryję
Pukle swych włosów zawije,
Napali mocno, gdy łaska,
Papilotowe żelaska,
I póty ściska a głaszcze,
W ognistą wraca ją paszczę,
Aż myśl znękana torturą,
Odleci sycząc ponuro,
A ciało martwe przykładnie
W czarny się węgiel rozpadnie.
Nijakim radzić nie trzeba,
Ni odpowiadać, ni pytać,
Gdy oni przecie z łask nieba
Nie na to żyją, by czytać,
Wszakże, by każdy miał w zysku
Słodycz zemsty za swe *ale*,
Wraz z nimi—pierwszy przy wisku
Tym świstkiem fajkę zapalę.

# WIERSZE RÓŻNE.

# OBRAZY.

Mija północ, myśl kona, wzrok utonął w cienie;
Usnąłem, pierzchła jawa i lubej wspomnienie;
Tłum rojeń, tłum nadziei marzących daremnie,
Gniewał, drażnił, pocieszał, i odszedł ode mnie.
Sam tu gonię w świat nowy... jakże świat ten dziwny!
I podobny przeszłemu, i znowu przeciwny;
Bo tu wszystko, com widział od życia początku,
Krzyżuje się, nastręcza, bez zgody, porządku.
To znajomy z nim jestem, to wchodzę za przedział
Cudów, o których nigdym nie marzył, nie wiedział,
Tak się wiele w nim sprzecznie, dziwacznie odcienia,
Jak gdyby nie zna jeszcze swego przeznaczenia;
To, zda się, młodniejąca przyrody ruina,
Inne kształty przywdziewa, nowy rok zaczyna...
Tam przepaście bez granic, tu błonia bez końca,
Noc widna bez xiężyca, dzień jasny bez słońca,

Mrok okropny, i znowu przez noce, przeze dnie,
Świecą z niebios trzy słońca, trzy xiężyce blednie!
Jak z gościem obcych krain cóż się ze mną dzieje?
Raz zbytkują me siły, znów upadam, mdleję;
Patrz, wybiegły na chwilę z cielesnych wędzideł,
W obce ziemi i nieba toczę lot bez skrzydeł,
I znowu jakaś straszna, niewidoma siła,
Zatłumiła mój oddech, barki obciążyła;
Powisłem nad przepaścią, śmierć zabiegła drogę,
Chcę uciekać, nie zdołam; chcę wołać, nie mogę;
Świat dziwów! któż go posiadł: człowiek albo duchy?
Nie wiem — a jednak pomnę las ciemny i głuchy,
Zgubiłem się w gęstwinie zabłąkany nocą...
Ognież tam przez gałęzie, czy gwiazdy migocą?
Wyszedłem zeń postrachem zdjęty, utrudzony,
Patrzę: jakiś przede mną zamek oświecony,
Brzmi kapela... toasty... znać weselne gody;
Minąłem odźwiernego, spotyka pan młody,
Krzyknęła panna młoda... zawrzałem i zbladłem,
Rzuciłem się ku niemu i bez zmysłów padłem.

Znów się błąkam; szczebluję ponad strome jary,
Koczowiskaż to wiatrów, czy morze Sahary?
By zeń wybrnąć, nadzieją cieszę się daremną,
Pustynia wprzód i za mną, a niebo nade mną.
Tam widnieją jak okręt lub samotne głazy,
Dobrnąłem, bez tchu prawie, to wyspa oazy.
Tu spocznę, tu utonę w lubém zapomnieniu,
Na różowej pościeli, w pomarańczy cieniu,

W tym ogrodzie pustyni znać ja piérwszy z ludzi,
Błogo mnie! nikt tu marzeń moich nie przebudzi.
Lecz czy palma szeleści zpod zielonych wianków,
Czy to szemrzą potoki, czy usta kochanków?
Skradam się lżej od wiatru, ciszej od westchnienia:
Dwie osoby siedziały nad brzegiem strumienia,
Drażniąc ucho ciekawe, szmer jego mnie szkodził;
Lecz to pewna mąż z żoną, bo z gniewem dowodził,
Wstał nagle, skinął głową, co zaś właśnie znaczy
W pantominie małżeńskiej: »tak a nieinaczej."
Choć niewiasta go słuchać zdała się ze wstrętem,
Lecz w pokorze, w milczeniu dziwném, niepojętém,
Aż tajona pod rzęsy cienistej powłoką
Łza, świadek nieproszony, na jej wbiegła oko.
Oko było tak piękne, lecz jak blade lice,
Nie pomnę gdziem podobną znał do niej dziewicę.
Ten jegomość! być może... jemuż to się żenić!
Mogłaż ona go wybrać i tak się odmienić?
Idę ku nim, uchodzą i krajobraz ginie...

Z wiatrem, mrozem, samotrzeć, przez śnieżne pustynie,
Przez zamiecie, daleką przybłąkany drogą,
Z bliższej góry poznałem mą chatkę ubogą;
Wchodzę, stół się licznemi potrawy zastawił,
Matka mię uścisnęła, ojciec błogosławił,
Otłumili domowi, krewni, przyjaciele,
Gdziem gościł, com spotykał, doświadczył jak wiele...
Nie szczędzono kielichów przy drużnej rozmowie;
Lecz kiedym wzniósł ostatni za najmilszej zdrowie,

Patrzę, gość nieznajomy... Tak chciwie, głęboko,
We mnie jego milczące utonęło oko,
Dłoń zadrżała, a napój lany w jej ofiarę,
Pędzi z brzegów, chcę dopić — gość trącił o czarę.

Dzwonią, kościoł otwarty, rozlega się brzmienie,
Jak ostatni grzmot burzy: »wieczne odpocznienie!”
Sześciu czarno ubranych niosło grób i świece.
Pytam, kogo grześć mają?— »sławioną dziewicę!”
Rzekł z przekąsem pan młody. Rzuciłem się, zbladłem,
Grób zawadził, z tym grobem w mogiłę upadłem.

Wojna, wojna! wieść o niej natchnieniem uderza,
Szum, wrzawa, żołnierz leci pozdrowić żołnierza,
Idą na śmierć, a w takim radości zachwycie,
Jak — gdyby im w tej śmierci było wieczne życie.
Nigdy z równym pośpiechem w tak namiętnym gwarze,
Niwom plony odbierać nie idą żniwiarze.
A właśnie im to rodzą opiekuńcze nieba,
Ich to praca, ich zasiew, nadzieja, potrzeba;
Nie z taką chlubą dziewcze wije kwiat do wianka,
Choć nieludzkość ma dźwigać więzy jej kochanka.
Cudze, jakieś nieznane przebiegamy kraje,
Inna przyroda, ludzie, ich mowa, zwyczaje;
Skryło się smutne słońce za wygarbem chmury,
I widniał kraj dokoła milczący, ponury,
Lecz te wioski bezludne, te błonia uprawne,
Swiadczą na świeżych zbiegów, na prace niedawne:
Jakiż ich z progów własnych błąd wymiotał gruby?
Gdy lecim z krańców ziemi zbawić ich od zguby,

Chcąc powitać uprzejmie, pożegnać spokojnie,
W gościnę śpieszym do nich ubrani tak strojnie,
A tu człeka niedojrzeć gdzieśmy tylko przeszli,
Jak gdyby na sąd straszny ztąd wszyscy odeszli.
Był poranek, gdy ziemia zdjęła płaszcz tumanów:
»Baczność! do broni!” czaty znak dały z kurhanów,
I w mgnieniu oka zewsząd wróg rzucił się tłumny,
Wódz nasz krzyknął, w czworobok zrosły się kolumny,
Zjeżyły się, błysnęły stotysięcznym sztychem,
I szyderczym do wroga strzeliły uśmiechem,
Nim rzygnęły z obu stron śmiercią dział tysiące,
Nim zajękło z ich gromem życie konające...
We krwi ległych zastępów brodzi po kolana,
Obospólne zwycięztwo, więc czyjaż przegrana?
Wieńczą się niedobitki i nasze i wroga.
I brzmią hymny z obu stron: »Chwalim Ciebie Boga!”
Jak ten śpiew seraficzny wznosi serca korne.

Lecz milknie boska nóta na wrzaski niesforne,
Kościoł wyciąga dłuższej ulicy widownię,
Wrą tłumy, biją w bębny i dzwony gwałtownie,
Wszyscy biegną, nikt nie wie gdzie, po co, wtém z chmury
Znamie pożaru w jasne wionęło purpury,
O niszczący żywiole! ty zgromadzasz tłumy,
Jak świadków niedołężnych twej mocy i dumy.
Runął gmach, dym wybuchnął znad krużganków wieńca,
A z okien strzela płomień jak z ocz potępieńca,
A w lustrze tych płomieni postać się objawi,
Ozwała się i znikła, niktże ją nie zbawi?

Głos jej był jednėm mgnieniem, widok jedną chwilką,
Tysiąc głosów krzyknęło, lecz krzyknęło tylko;
Sam tu pędzę z szczęśliwym przyszłości obrazem,
Że gdy żyć z nią niewolno, umrzeć wolno razem,
Tłum wrzasnął, a gdym zapadł w ognia paszczę krwawą,
Jak ze świata drugiego, doszło mnie ich bravo!....
Jak tam ze ścian i stropów pałająca zmija
Miece blaski i skrzydła iskrzące rozwija,
Zlewa skarby przepychu w jeden strumień złota,
Niszczy w popiół wytwory pióra, pęzla, dłóta,
I na swym paląc stosie ich pomysłów dzielność,
Garstką węgli wyszydza dumną nieśmiertelność.
Jak posąg wśród żarzewia, tak z dzieckiem na ręku
Widzę ją obłąkaną, ginącą bez jęku,
Lawy pożar nas dzielił, przemknąłem go przecie,
Szło o żonę dla męża, o matkę, o dziecię...
Lecę, biada, już po niej... ognie nikną, gasną.

Zachodzi xiężyc, zorza przyświeca niejasno...
Dążę samotny; w górach zbójcy mię opadli,
Życie tylko oddali, a wszystko wykradli.
Uznojony, pragnący, schorzały, ubogi,
Częstom dawnych przyjaciół spotykał wśród drogi.
Lecz gdym się zbliżał do nich, uchodzili dalej,
Nędzarz byłem, o nie dziw, że mnie nie poznali.

Znów nie wiem zkąd i dokąd szedłem po dolinie;
Tu łąka pasie stado, a tam rzeka płynie,
A za rzeką zielenią i gaje i żniwa;
Słowikże się tam ozwał? nie, to ona śpiewa,

Poznałem ją, naprożno rąbkiem się zasłania:
To ona, jej to głosek i pieśń pożegnania!
Przy niej czyha.... wpław gonię zabić go lub zginąć,
Lecz mię wir rzucił na dno, nie mogłem dopłynąć.

Ożyłem, siedzę wsparty na Majnota skale,
Dzień cały grają słońcem Nawaryńskie fale,
A przez noc pożar wojny krwawą łuną świeci.
To nieszczęsnej krainy nieszczęśliwsze dzieci,
To wnuki Temistokla rdzawe kruszą pęta,
Szczebluj boski narodzie, ożyj ziemio święta,
Gieniusz na twych błoniach pierwszym stąpił śladem,
Błonia laurem zakwitły, a dzieje przykładem.

Lecz gdzie niebo ostatnie utonęło w wody,
Skałyż tam czy Wenetów pływające grody,
Mijają się, krzyżują... ha, to krąży flota,
Poznaję z pawilonu statki Hydriota,
Pełnym żaglem pędzone do bliskiej ostoi.
Słyszę jęki rospaczy, znowuż mnie się roi?
Sto razy wzrok natężam, i słucham sto razy,
Aż dojrzałem i zgadłem, wpadł okręt na głazy.
Nieszczęśliwych rozbitów wrzask okropny wzrasta,
Ach ratujcie! tonąca krzyknęła niewiasta;
Rzucam się, zbawiam, patrzę: o niebo! to ona!
Lecz tylko trup jej zimny przyciskam do łona,
Nieuwiędłemi jeszcze kwitnący wdziękami,
Zarzucam nań objęcia, oblewam go łzami,
I póty tchnę mu w usta moją duszą całą,
Aż w postaci anielskiej życie zmartwychwstało.

Spojony lubym węzłem i serca i dłoni,
Poraz pierwszy bez świadka, w najskrytszej ustroni,
Takie piłem słodycze na jej śnieżném łonie,
Jakie pije szczęśliwy Muślemin po zgonie.
A wtém burza zawyła, grom po gromie wali,
Przerażony nie pomnę co stało się dalej,
Pomnę tylko, żem leciał przez jakiś kraj mglisty
I upadł z marzeń świata na świat rzeczywisty.

Nie wierzę oku memu, drżę z każdym szelestem,
Cóżem widział, gdzie byłem? co widzę? gdzie jestem?
Ze mnąż jeszcze, czy tylko zwodzę się daremnie?
Tak nie dla mnie już kwitnie daleko ode mnie,
Jakże często mnie o niej, strojąc w barwy zmienne,
Wtórzą zmysłom uśpionym te widziadła senne,
Podług gminu wyznania, ja wyznaję z gminem,
Trzej bracia, choć z nich każdy różnych ojców synem.

Ty! do której mych żalów echa nie donoszą,
Której pamięć jest dla mnie troską i roskoszą,
Której wdzięki opiewam, a nazwanie taję,
Bo nas dzielą na zawsze losy, pierścień, kraje,
Jeśli cię wiersz mój dojdzie, zgadnij ukochana:
Sen to ze krwi, z natchnienia niebios, czy szatana?

# LOSY BABILONU.

(z *Proroctw Izajasza*).

Stało się!... z posad zwalony
Gród, ciemiężca, postrach świata,
Runął hardy, odemszczony,
I wieczna jego zatrata.
Runął... a z zwalisk przestrzeni
Krew się rozlana czerwieni,
Gruzy tleją na ruinie;
Serce wściekłością miotane,
Rdzawe berło zgruchotane,
Bicz ludów stargany ginie.

Taki Jehowa, krzywd mściciel!
Ledwo błysnął gromem woli,
Skonał w mękach nasz dręczyciel,
Wyschło morze łez, niedoli,

I zrzucił jarzmo lud prawy:
Nad skał odwieczne podstawy
Dźwignąłeś czoło Libanie!
Wieścią radośną ujęte
Przemówiły cedry święte:
»Nic się nam teraz nie stanie!"

Zadrżało piekło zdumione,
Chłonąc się w czarne przestworza,
Lecą widma przelęknione,
Jak fale wzdętego morza.
Mocarze państw utraconych,
Wstają z tronów okopconych,
Chcąc ziemskie cudo oglądać:
»Tyżeś to, równy z Bogami?..
»Przychodzisz-że marnieć z nami,
»Lub nowej władzy zażądać?..."
Wielkości! czemu dziś ciebie
Twa wściekła duma nie wspiera,
Trosk i zgryzot nie zagrzebie?
Czemuż cię ztąd nie wydziera?...
Nic nie wziąwszy ległeś w grobie,
Jak cień zniknął dziw o tobie,
Gdzież są łupy twych rozbojów?
Gdy twym domem noc okrutna,
Twojém łożem — wieczność smutna,
Twój szkarłat — z robactwa rojów!

Patrz, krwawa łuna migoce
Na czarnej chmury sklepieniu,

Rażąc pożarem przez noce,
Sama dziś gaśnie w ich cieniu!
Tak, co klęską ludów słynął,
Dźwignął się, upadł i zginął....
On rzekł w wyuzdanej dumie:
»Wyścignę obłoków fale,
»Tron mój na gwiazdach ustalę,
»Syonu wielkość potłumię!
»Potężnym pogromcy biczem
»Przerażę świat i niebiosa!..."
Rzekł, i przed niebios obliczem
Zniknął, jak przed słońcem rosa.
Wędrowiec błędnémi kroki
Trafia na twe martwe zwłoki,
Psóm na pastwę wyrzucone,
Staje strwożony, zdumany,
Wznosząc do Pana nad pany
Modłę pokory zniżonej.

On był dni naszych postrachem,
Jemu ludzkość biła czołem:
Świat zhańbił niewoli gmachem,
Głodu i nędzy padołem.
Choć nikt grobu nie ominie,
Lecz pamięć dobrych nie zginie,
Skon ich syny uczczą mile;
Wiarą świętą odrodzeni,
Łzą wdzięczności ożywieni,
Spać będą w ojców mogile!...

Zgroza twe imie osłania
Na krwawém polu niezgody,
Ziemia uchrony ci wzbrania,
Klną twojej sławie narody.
Ojczystych krajów burzyciel,
Własnych poddanych niszczyciel,
Z zbójcami przywalasz ziemię.
Odartemu ze czci biada!!
Z niebios wieczna zemsta spada
Na ciebie i twoje plemie...

Zniszcz, Panie! zbrodni nasienie,
Drzew podłych podłe konary,
Rdzeń ich wylęga zniszczenie,
Staniem się nieszczęść ofiary.
Bóg wyrzekł: »Ja swemi groty
»Wygubię harde niecnoty,
»Pierś ich zgniotę wiarołomną,
»Ich miasta tygry oziona,
»Ich ziemie morza pochłoną,
»Wieki ich bytu zapomną!"

Święte Jehowy zrządzenie,
Nikt Jego mocy nie wstrzyma,
Rzekł — i gotowe spełnienie
Przed Boskich sądów oczyma.
On skarci pyszne, bluźniące;
Więzy niedoli ciężące

Miecz z ogniem starga na dwoje.
Dźwignie wielkość swej prawicy,
A któż z Panem błyskawicy
Dotrwa, któż pójdzie na boje?..

## ENTUZJASTA.

Wszystko, com widział w raju wyobraźni,
Co się mnie śniło pod szczęśliwsze lata,
Z natchnień miłości, z uśmiechu przyjaźni,
Z nietkniętych bogactw piękniejszego świata,
Najdroższe wdzięków i przymiotów skarby,
Jakich nie ścigła orla myśl Byrona,
Jakie Albano w swe nie stroił farby,
Tym skarbem całym dziś mnie jedna *Ona.*
Jej obraz żyje mego serca na dnie,
Jemu się modlę i ofiary palę,
Złodziej go czasu u mnie nie wykradnie,
Ani los zbójczy wydrze mi zuchwale.
Jak dzisiaj, zawsze z nim będę na wieki.
Nikt, nawet ona mnie tego nie wzbroni;
Choćbym półświatem był od niej daleki,
Będę ją widział w najdzikszej ustroni,

Będę ją widział w moich dni poranku,
W południu życia i w życia dożrzeniu,
I tak wyznawać będę bez ustanku,
Jak dzisiaj, w pierwszych spójrzeń uniesieniu;
Bo tak mię blask ich rozniecca i draźni,
Że go nie zgaszą chmury losów gniewne,
Ani krew wroga, ani łza przyjaźni,
Ni żółć zjadliwa zawiści tajemnej;
Lecz jeśli człowiek najszczęśliwszy z ludzi,
Skraść mnie te skarby dosięgnie sposobu,
I ze snu szczęścia rospaczą przebudzi,
Wówczas zaprawdę, o biada nam obu!
Ja go wytropię, dogonię, zabiegnę,
Gdzie jej lub życia zrzec się będzie trzeba,
Przepaścią zguby między niemi legnę,
Piekieł przepaścią po drodze do nieba.

## TAJEMNICZA.

Gdym ją piérwszy raz ujrzał, niewolnie zadrżałem,
I stanąłem jak wryty mocą niewidomą;
Bo gdym rysy jej śledził spojrzeniem nieśmiałém,
Zdało się, że oddawna była mnie znajomą.
Przypominam, że nieraz ją widziałem wprzódy,
Gdy mój byt wyobraźni ochłonęły cuda,
Taż sama boska dusza i skarby urody.
Onaż to, czy mię zwodzi sen albo ułuda?
Też ruchy, warkocz, kibić, tenże urok lica,
Ach oko!... jej to oko, jej to brzmienie głosu!
Przypominam, to ona, to Anioł-dziewica,
Znów mnie od niepewnego objawiona losu;
Lecz gdy mój wzrok w jej wzroku obojętnym tonie,
Gdy tylko grzeczny uśmiech modłom mym oddaje,
A na wzmiankę uczucia gniewną twarzą płonie;
Nie ona to bydź musi, lub mnie nie poznaje.

Nieraz serce zwarzone jej zimnym wyrazem,
Nie ona, to nie ona, wyjękło boleśnie,
Aż jęte, zachwycone wdzięków jej rozkazem,
Po stokroć znów wyznało na jawie i we śnie.......
Wielem uszedł, zaprawdę, w mojej doli ciemnej,
Będąc szczęścia lub zguby na drogi połowic,
Nigdy jednak nie pojmę istoty tajemnej,
I nie zbadam jej serca, aż samo nie powie.

## MARZENIA.

Zwinąwszy zorza
Świetlne purpury,
Zbiega do morza.
Xiężyc ponury
Płynie z za góry
W niebios przestworza.
Z wstecznej wybrzeży
Wzywa na wieży
Do modłów dzwonek;
Błękit porzuca
I pieśń donóca
Błoniom skowronek.
Ucieka zima;
Dniestr łamie lody
I wolne wody
Nad brzegi wzdyma.
Z gór potok leje
Niosąc nadzieje,
Szumi radośny
Z powrótu wiosny:

Gardząc zawadą
Pędzi na błonie
Wolą bezkarną:
A tam, wysoko,
Przez nieba tonie,
Wstęgą się czarną
Żórawie wloką...
Czemuż jak one,
Nie jestem w mocy,
Gdzie serce goni,
A los mnie broni,
Biedz ku północy,
W rodzinną stronę;
I w dumach tonę,
Wsparłszy na dłoni
Czoło stęsknione.
W gaju, w dolinie
Kwiat się rozwinie;
Na skronie cudze,
Przy jasnej strudze,
Zwije zeń wianek
Dłoń Podolanek.
Myśli żałośna
Ciężkiej utraty...
Nie dla mnie wiosna,
Nie dla mnie kwiaty!
W skrytej ostoi,
Młodzież się zbroi,
Gdy błysną zorze,
Na zdarzeń morze,

Na ciężkie boje
A święte znoje.
W ducha ich żagle
Zapał powiewa,
Stérnik mię nagli,
Męstwem zagrzewa:
Kędyż popłynę
Z błahą nadzieją,
Jakąż koleją,
I gdzie zawinę?
Ty, w czyjej dłoni
Mój los się chroni,
Z życiem i mieniem,
Czyś skwar i lody
Przemógł cierpieniem.
Żeglarzu młody,
Rządco mej nawy,
Mów bez obawy,
Po mórz obiegu,
Gdzie dójdziem brzegu?
Nic jęk nic nada,
On prośbom głuchy,
Nic odpowiada,
Zimny i suchy;
A tylko okiem
Ku niebu skinął,
W smutku głębokim,
Siadł i wypłynął.....
Próżna obawa,
Darcmne żale,

Marne westchnienia;
Niesie mię nawa
Bez odetchnienia
Przez ciemne fale.
Ja zwracam oczy,
Które łza mroczy,
Na brzeg rodzinny;
Tam wiek dziecinny
Przegrałem mile,
Na tej mogile,
Gdzie moje przodki
Sen piją słodki......
Gdy zhasam ziemie,
Z fal się wynurzę,
Zniosę trosk brzemię
I losu burze,
Znów na powodzi,
Wątłej już łodzi
Rudel zapieni,
By was z ostoi,
O bracia moi!
W lat mych jesieni
Ujrzeć — i dalej
Z krain marności
Na złote fale
*Nieśmiertelności.*

## Do Album A. S.

O choć na wspomnię... a jeślim nie warty,
Zgładź wbrew wybrańszych ofiarę tej karty;
Lub przyjm ją Pani za świadectwo myśli,
Że im chęć większa, tém się mniej nakryśli.—
I milknę, marzę... bo gdy mówić trzeba,
Mniej słów mnie dały, niż ci zalet nieba;
Kiedy więc chwila za chwilką
Tracę się, milknę i tylko.
Jakże dziś mądry, rozumiem,
Czemu nigdy w świątyni bydź głośnym nie umiem,
Ach! kogo cześć i podziw swą władzą owionie,
Ten pół-niemy, natchniony, w ich raju utonie,
A myśl jego na uczuć zbłąkana rozdroże,
Skona w ustach, bo w słowo wcielić się nie może.
Gdy więc śmielszych tłumy całe
Wybrzmią tu oklask i chwałę,

Dorównaż ich hymnów cenie,
Moje prostacze milczenie?
A jednak bywa cóś warta
Z ocz niedoli łza otarta,
Chociaż jej modła tak cicha,
Wdzięcznością tylko oddycha...
Jak bywa luby i głośny
Bóstwu jej uśmiech radośny,
Choć zeń milczący hołd czyni
Anioł w ludzkości świątyni.....
Cóż nad to Pani powiedzieć,
Tak możnej widzieć, czuć, wiedzieć,
Coś skarbiąc ziemne dostatki,
Bogatsza z twych serca plonów;
Pociecho ubogiej chatki,
Chlubo i gwiazdo salonów!...

*Pyszno 1838 r.*

## SAMOTNOŚĆ.

Smutniej coraz, dzień ciemnieje,
Jęcząc, wyjąc, przez pustynie
Lecą burze i zawieje,
Wicher huczy w mym kominie,
I ze śronem szarga siwa
Tłucze we drzwi, oknem wpada,
A w ognisku trzask łuczywa
Tym hałasom odpowiada;
I liżąc paszczą czérwoną,
Brudne sadze podniebienia,
Ogień łuną rozświeconą
Wsteczne kąty zapromienia....
Dawno wzrok mój weń utkwiony:
Marzę w ducha odrętwieniu,

Pół-drzemiący, roztargniony.
W tém pół-świetle i pół-cieniu.
Gonię w jakąś dal tumanną,
Gość odludny cudzej zimy,
I mą fajką nieustanną
Myśl gojące kłębię dymy.—
Tam od drogi słychać dzwoni....
Choć tak mroźno, wietrzno, ciemno,
Mój to, pewna, wspólnik broni,
Śpieszy marzyć, bujać ze mną.
Patrzę, słucham nieruchomy....
Głośniej, bliżej.... już w ulicy....
I — to jakiś nieznajomy,
Przemknął lotem błyskawicy.
Jak zawiany! znać z daleka,
A tak goni bez ustanka,
Jakby pewny, że druh czeka,
Że go spotkać chce kochanka,
Stojąc na łosu pokucie,
Znów me serce marzy, roi,
Jak on, pragnąc w tej minucie,
Lecieć do was, bracia moi!
Tak chciwie żądam człowieka,
Tak mię dolega i nudzi,
Jak gdybym całe półwieka
Nie widział świata i ludzi,
Takem utonął w przeszłości,
Tak miłość, przyjaźń mię drażni,
Jak gdybym nie śnił miłości,
Jak gdybym nie znał przyjaźni...

Duchu myśli! gdzież cię żenię?...
Śmierci moja, życie moje!
Bez spoczynku, nieskończenie,
Łowiąc marne wdzięki twoje,
I pasąc żądzę ustawną,
Twój mię obraz trawi, czuję,
Co się wkradłszy chytrze, dawno,
Jak zły gość, w sercu nocuje,
Znam i wieńce tej ofiary,
A jednak chciwemi usty
Spełniam co dnia z twojej czary
Zabójczy napój Lokusty!....*

(*) *Lokusta* sławna za czasów Nerona, zaprawą najzjadliwszych trucizn. (*Aut.*)

# Z GEORGIK WIRGILIUSZA.

Falsum quis audeat solem...

Jak zuchwały, kto słońce złym wieszczem nazywa;
Słońce zwykle haniebne spiski nam odkrywa,
Krwawe rzezie objawia, zdrady wieszczy sprośne,
Tak po Cezara zgonie, nad Rzymem litośne,
Gdy skryło twarz ognistą w chmur pomrokę grubą,
Drżały wieki bezbożne przed straszną zagubą,
Choć ziemia, morze, ptaki, psów żałobne wycia,
Znaczyły chwilę bliską strasznych klęsk przybycia.
Widzieliśmy, z rospadłych, nieraz, Etny stropów,
Gdy warzył deszcz siarczysty rozłogi Cyklopów,
Jak lawę ogniem wrzącą ciska pod obłoki,
Jak ze skał topniejących lały się potoki.
Słyszał Gierman szczęk broni, swarne niebios gromy,
Drżały Alpy przed ciosem siły niewidomej,

Mówi trzoda... ryk straszny brzmi przez nieme bory,
Snuje się, w kirze nocy, cień bladej potwory!
Przebóg! rozpada ziemia.... warczą w nurtach rzeki;
Bóstw posągi łzy leją z miedzianej powieki,
Wezbranej dzikim szałem, rwąc dęby po lesie
Król rzek, Erydan, w pola stajnie z bydłem niesie.
A gdy kapłan z drgających trzewów przyszłość czyta,
Nic nam groźne wywróżyć nie śmiały jelita;
Krwią płynęły strumienie, a wśród miast rozgłosy
Wyjących w nocy wilków brzmiały pod niebiosy;
Ani częściej kometa straszny blask zażegał,
Ni dotąd z jasnych niebios tak się grzmot rozlegał!
Nie dziw więc, że kraj dwakroć Filipiński zoczył,
Jak zbójczy kord Rzymianin w Rzymianinie zbroczył,
I że dwakroć, w czém słyszną była Bogów wola,
Hemu i Ematii skrwawiły się pola!—
O, zaprawdę, czas przyjdzie, gdy grunt tej siedziby,
Rolnik pługiem skrzywionym rozcinając w skiby,
Wyorze kruchy dziryt, grubą rdzą przejęty,
Lub brząknie ciężką broną w hełm zdruzgotan w szczęty,
A kość miary olbrzymiej sprawi podziw srogi.
Romulu! matko Westo! opiekuńcze Bogi!
Wy, co Rzym z Tybrem Tuskim w swej dzierżycie dłoni;
Pozwólcie! niech ten młodzian świat od klęsk zasłoni;
Dość już dotąd krwią naszą zmyliśmy niegodnie,
Troi Laomedona przeniewierczą zbrodnię!...
Lecz twe ramie, Cesarzu, zawiść Bogom sieje,
Gniewni, że dzielnym z świata tryumfem jaśnieje,
Gdzie cnota z zbrodnią, świętość i bezbożność razem.
Wzgardzony pług rdza kruszy, świat mordów obrazem,

Puścieje żyzna niwa, z rolników wyzuta,
Krzywa kosa na spisę zabójczą przykuta.
Burzy się Eufrat, Galle zażarci na boje,
Walczą ludy ościenne karcąc prawa swoje,
Drży ziemia na głos wściekły Marsa i Niezgody!...
Tak właśnie cug poczwórny wylata z zagrody,
Pędzi—a choć woźnica czuwa i powściąga,
Szybki rydwan woźnicy i wodzom urąga.

# PRZYPISANIE.

## DO MECENASA.

Mecenas atavis edite regibus.
*Hor.*

Meceno! z Królów dawnych swe biorący życie,
O roskoszna ma chlubo! i błogi zaszczycie!
Ci wzdęciem Olimpijskiej kurzawy chcą słynąć,
I zakres w całym pędzie wartkich kół ominąć;
Tamtych wieniec palmowy, szlachetny i drogi,
Władce świata z samemi porównywa Bogi.
Ten radością szaleje, gdy gminne Kwiryty
Pocą się, by go podnieść w najwyższe zaszczyty;
Ów, jeśli do swych gumien zbierze plon szczęśliwie,
Wychowany Cererą na Libijskiej niwie.
Kogo ziemia ojczysta miłością zapala,
Tego nawet nie znęcą i skarby Attala.
Ni on kiedy w okręcie Cypryjskim pogoni,
Niewprawny i nieśmiały na Mirtejskiej toni.

A gdy Afryk faluje Ikaryjskie wały,
Wzdycha Bogom domowym kupiec osłupiały;
Niechże tylko naprawi i żagle i łodzie,
Znów on trwożny ubóstwa zaręcza się wodzie.
Tych, gdy wino Massyckie do siebie zanęci,
Pasą chwile bezczynne snem słodkim ujęci,
Pieszcząc siebie w rzeźwiącym kasztanowym cieniu,
Lub na miękkiej murawie, przy świętym strumieniu.
Innym oboz roskoszą, trąb wrzawa zawzięta
I wojna krwi niesyta, od matek przeklęta.
W mglistym ranku myśliwiec zasadzki się ima,
Prośba go młodej żony w domu nie zatrzyma,
Gdy nań łania, gończemi wytropiona, leci,
Albo rwie dzik Marsyjski kłem rospięte sieci.—
Ty! co wieńczysz w nagrodę czoła wieszczów dzielne,
Z chlubą przez nie wyrównasz Bogi nieśmiertelne.
Chłodny gaik z Faunami lube Nimf gromady,
Unoszą mię z powszedniej motłochu biesiady;
A gdy wdzięcznej mnie liry Euterpe udzieli,
Polimnija Lezbejską lutnią rozweseli,
I ty nazwiesz mię jeszcze poetą lirycznym,
Dumnie gwiazdy potrącę czołem niebotyczném.

# DO SESTIUSZA.

Solvitur acris hiems...
*Hor.*

Taje zima, a fawoni
Ciepłym tchnieniem wiosnę goni,
Rybak spycha łódź na wody,
Trzoda wybiega z zagrody.
Rolnik wdzięczną wita niwę,
Łąk nie bielą śrony siwe.
Gaj zieleni, a Wenera
Przy xiężycu Nimfy zbiera
I na lekkie wiedzie tany,
Z Gracijami naprzemiany;
Gdy Wulkan wstrząsa z Cyklopy,
Kołatem młotów kuźń stropy.
W ubogą chatę śmierć blada
I w pałace Królów wpada!.....

Na krótkie życia koleje
Próżno, Sesti, kłaść nadzieję,
Grożą cienie, noc okrutna,
I Plutona wieczność smutna,
A tam nigdy cię drużyna
Nie obwoła Królem wina.

# AKTEON.

*(Ovid. Met. Lib. III.)*

Już słońce na południowym stanąwszy zakresie,
Równa cienie przedmiotów, spiekły promień niesie,
Gdy wdzięcznym wzywa głosem towarzysze hoże,
Młody Hiant, krążący przez dzikie bezdroże:
»Łowcy! już sieć przemokła, broń we krwi obmyta,
»Dziś zabawa i zdobycz źwierzyny obfita,
»Jutro zaś, gdy jutrzenka swe blaski rozleje,
»Znów nas ujrzą ochoczych te smugi i knieje,
»Już słońce z równych wyżyn szczepi skwarem niwy,
»Zbierzcie siecie splątane, zwieście łuk myśliwy!"
Wykonane rozkazy, czujność zaniechana.
Łąka była w ustroniu, Gargafją zwana,
Dla swych wdzięków zwiedzana przez córę Latony,
Którą cienił ze świerkiem cyprys zasępiony,
Środkiem grota sklepiona od przyrody dłoni,
Największe dzieło sztuki swym składem przegoni

Bieląc wejście zaklęte lustrem morskiej piany,
Kąchą w barwy grającą odziała jej ściany;
Tam, ówdzie biją klucze zdrojem chłodnej wody,
A te wody przystraja kwiat pięknej urody.
Tu zwykła Pani łowów, pracą uznojona,
Odświeżać wieczne wdzięki dziewiczego łona.
Gdzie jak tylko przybyła, pierwszej z Nimf powierza
Strzały, kołczan, łuk drogi, tak zgubny dla źwierza.
Druga, łowczą jej szatę z miękkich ramion ściąga,
Trzecia węzły misterne obówia rozprząga,
Ich mistrzyni Izmena bierze w splot jej włosy,
Choć swe wijąc po łonie, nie dzieli na kosy.
Kiedy inne do innej usługi, koleją,
W naczynia bursztynowe srebrne wody leją.
Gdy tak lasów królowa pieści się ochłodą,
Akteona złe losy do jej groty wiodą;
Dążąc przez nieznajomy gaj znużonym krokiem,
Trafia na nią, wzrok pasąc nieszczęsnym widokiem,
Gdzie ledwo wszedł w zbronioną śmiertelnym uchronę,
Nie mogąc mu się zakryć Nimfy obnażone,
Dziewiczym płoną wstydem, krzyk obudza gaje,
Wśród ich ciżby Dianna, również naga staje.
Wyższa władzy potęgą i wyższa z urody,
Wznosi postać królewską nad orszak Nimf młody,
A jak wsteczny od słońca obłok barwę zmieni,
Gdy go pierwszy o wschodzie promień zaczerwieni,
Jak poranne jutrzeńka rozwija szkarłaty,
Tak się ciało bogini zapłania bez szaty,
A choć je w tłumném gronie swych służebnic mieści,
W skrytszą stronę uchyla twarz i wzrok niewieści,

I kiedy jej pod ręką tak braknie oręża,
Wodą własnej kąpieli miecąc na twarz męża,
Gniewna wola, gdy zdołasz, nieś wieście na strony,
Żeś śmiał widzieć boginię bez żadnej zasłony.
Wtém łani długowiecznej rogiem skroń mu kryje,
Ręce w nogi przemienia, wzniosłą kształcąc szyję,
Dłuższe ucho wybiega z jej mściwych zezwoleń,
Bark żylastych osada wyrasta mu w goleń,
I włosem centkowanym po ciele przyodzian.
Mknie z trwogą pędem łani Autonejski młodzian...
Widząc w zrzódle swe rogi, wrzasnął obcym dźwiękiem,
Łzy leje z cudzych oczu, knieję wzrusza jękiem;
Cóż, powróci do domu, czy zostanie w lesie?
Gdzie trwogę, a tam hańbę w ślad z sobą zaniesie,
Gdy waży, psy go zoczą: piérwszy czarno-nogi
Z ostrowęchym, szczekaniem rozgłos wznoszą srogi,
Pędzą z gór w lekkich skokach, wiatr walcząc w przegony,
Pamfag, Dorcej, Orybaz z Arkadijskiej strony.
Nebrofon silny, Lelaps, Pterel cienkonogi,
Do nór przydatna Agre, Hileus, Toron srogi,
Z wilka poczęta Nape, Pemena od trzody,
Harpia z tych idąca ściga je w zawody.
Ladon, Dromas, Tygr, Kanax i Stykta i Alce,
Śnieżny Leukon, kosmaty Azbol, stają w walce;
Silny Lakon, Tuz zjadły z ostropiersią Ellą,
I Liciska Cyprijska w biegu wiatry dzielą.
Tuż Harpal czarnomordy z Melanem do ligi
Lecą a lecą, tocząc pianę, na wyścigi.
Lachne, Agriot, Hilakt... któż wszystkie policzy.
Pędzone wściekłą żądzą szarpania zdobyczy,

Przez skały, jary, knieje, grzmi echa, szczęk srogi,
Przez bagna, trzęsawice, bezdroża i drogi.
On, gdzie sam wprzód dopadał, tam krok szybki roni,
Przebóg! zgraja poddanych swego pana goni.
Chce wołać: o poznajcie, ja Akteon jestem!
Słów mu braknie, wrą lasy szczękiem i szelestem.
Klem czarnokudłej z grzbietu pierwsza płynie rana,
Terydam, Orezytrof szarpią mu kolana,
Bieg je spaźniał, lecz sadząc wprost na głos przez góry,
Skradły drogę tłum mnożąc i hałas ponury.
Już w dognanym oprawcy kły mordercze nurzą,
Drgają członki szarpane, krwią ciepłą się kurzą.
Już miejsca braknie ranom, nieszczęsny gdy ryczy,
Zmieszany z wyciem łani ludzki jęk dziedziczy;
A gdy w niczém dawnego nie poznają pana,
Podobny proszącemu pada na kolana,
Niosąc błagalne czoło on jęczy i płacze,
A gończych podżegają zwykłym głosem szczwacze;
Za Akteonem każdy rzuca wzrok dokoła,
Nieczułego myśliwca głos po głosie woła,
Boleją, że tak świetnej nie dzieli zdobyczy.
On głowę na swe imie wznosząc smutnie ryczy,
I pragnie widzieć z nimi, gdy podobne rany,
Innej szarpią ofiarze zawzięte brytany.
Oskoczyły go zewsząd krusząc kość, rwąc żyły,
W udanym kształcie łani, krwią pana się zmyły,
Co póty zginąć nie mógł, tysiącem blizn ranny,
Aż męczarnią nasycił gniew mściwej Dianny.

# PAETON.

*(Ovid. Met. Lib. II.)*

Jak tylko ukończyła Klimena przestrogi,
Wnet się ochoczy młodzian zabiera do drogi,
Etiopy swe mija, Indów kraj przebiega,
Gdzie promień spiekłej gwiazdy wieczny skwar zażega,
Chciwy ojca uścisków, dąży na wschód nieba,
Olbrzymie dźwignął baszty w powietrze gmach Feba,
Jaśnie złotem, gra w blaski ognistych pyropów,
Kość słoni i alabastr migoce ze stropów.
Błyszczą srebrne podwoje niezgasłym polorem;
Lecz Wulkan przeniósł skarby swej sztuki wytworem.
Wyrył morza, co ziemię oblewają wały,
Wyrył niebo i wszystko co ma świat wspaniały.
Wodzie dał modrych bogów, z nich Egieon karki
Wielorybów ujeżdża potężnemi barki,

Tryton głośny i Protej u Neptuna trzody.
Dorys z córkami, których część wspływa nad wody,
A część siedząc na skale suszy włos nadobny,
Kształt, jak siostr, ni zbyt różny, ni też zbyt podobny.
Ziemia dźwiga źwierzęta, lasy, miasta, kraje,
Męże, bóstwa domowe, zdroje, Nimfy, gaje,
Nad tém niebios opona z gwiazd złotych blask zionie,
W drzwiach sześć znaków na prawej, sześć na lewej stronie.
Ledwo wszedł syn Klimeny pod te lśniące dachy,
Niepewnego rodzica przebiegając gmachy,
Postrzegłszy niesie ojcu radośne wejrzenie,
Lecz go wstrzymały blaskiem rażące promienie.
Na złotym jaśniał tronie Feb odzian szkarłatem,
Wdzięcznym błyszcząc szmaragdem, krwistym lśniąc granatem;
Jemu z prawej i z lewej tron wieńcząc wspaniale,
Stał dzień, rok, wiek, godziny, o równym podziale.
Młoda Wiosna kwiecistym wieńcem stroi włosy,
Nagie Lato obwija skroń plennemi kłosy,
Jesień rumiana sokiem nabrzmiałej jagody,
Zima warkocz nastrzępia śniegami i lody.
Gdy tém młodzian zdumiany, rzuca wzrok dokoła,
Przezorne słońca bóstwo nań czule zawoła:
„Jakiż powód twej drogi, wejścia w niebios ściany,
O prawdziwe me dziecię, o synu kochany!”
On na to: „przyrodzenia światłości jedyna,
Ojcze! jeślim mieć godzien imie twego syna,
Toć mię wyznaj przed światem za prawe twe plemię,
Błagam znaku tej prawdzie przez niebo i ziemię!”

Rzekł, a Feb zdjąwszy z głowy ognie silnych błysków,
Tak cieszy strapionego, wśród częstych uścisków:
„Aniś godzien, zawoła, bym się zrzekał ciebie,
Ni skłamany Klimena płód wydała z siebie.
Ty wątpisz? proś o dowód zgodny z twym zamiarem,
A ja, że ty, nie cofnie, uczczę cię obdarem,
Na czarny Styx przysięgam, gdzie mój wzrok nie wgląda."
Wyrzekł, syn koni ojca na dzień z wozem żąda.
Feb zadrżał przed tą prośbą, a bijąc swe dłonie,
Po dwakroć i po trzykroć o strapione skronie:
„O jakżem nierozmyślnie wyrzekł me zaklęcia,
Dla twego tak płochego, synu, przedsięwzięcia!
Gdyby gwałcić przysięgę nie wzbraniały nieba,
Niebaczny, tego tylko nie wziąłbyś od Feba;
A gdy jeszcze odradzać mam chwile sposobne,
Zważ, jak dumne twe chęci, w skutku niepodobne.
Wbrew twym siłom, młodzieńcze, błagasz o te dary,
Śmiertelny nieśmiertelnych powziąwszy zamiary;
Co mówię, czego Bogi dotknąć się nie śmieją,
Spełnić ich udział marną poisz się nadzieją.
Nikt, prócz mnie, dosiąść wozu nie będzie dość mężny,
Sam ojciec bogów, władca Olimpu potężny,
Co rzuca grom z prawicy, w czarnej hucząc chmurze,
Nie władnie im: cóż nadeń większego w naturze?
Piérwszy tor w górę sięgnął, na te ledwo szlaki
Mogą wzlecieć spoczynkiem wzmocnione rumaki,
Zasklep niebios najwyższy średnią toczy drogę,
Zkąd widzieć świat bez trwogi sam nawet nie mogę.
Z ostatniej, bym nie runął w wód morskich głębinie,
Tetys mię doń przyjmując zimną trwogą ginie.

Zważ, że się całe niebo wciąż wiecznym obrótem,
Wzniosłe gwiazdy opędza nieustannym lotem,
Bym tej sile potężnej nie uległ, wbrew dążę,
I wsteczną drogą niebu porwanemu, krążę.
Czyż tak zdołasz mą sprzężę pogonić przed tobą,
By cię wartka oś świata nie uniosła z sobą?
Sądzisz, że tam las, miasta, świątynie bóstw, nieba?
Mimo dzikie potwory toczyć rydwan trzeba,
A choćbyś i nie zbłądził z zakreślonej drogi,
Masz jednak wsteczne tobie mijać byka rogi,
Łuk Hemoński, lwie paszcze na zdobycz zawzięte,
W ogromny kąt ramiona niedźwiadka zagięte,
I w inną stronę raka krzywiącego barki,
Nie twój udział powściągać niehamowne karki,
Gdy z ich piersi, pysk, nozdrze, tchy płomienne zionie,
Walczących z lejcem, ledwo me zhamują dłonie;
Gdybym cię więc nie zgubił przez nieszczęsne dary,
Póki czas sprzyja, synu, zmień twoje zamiary.
Świadectwa żądasz po mnie, weź go z mej rospaczy,
Żem twój ojciec, ta boleść niech ci wytłumaczy.
Spojrzyj na mnie! ach gdybyś przeniknął mą duszę,
Jak dręczących boleści ponosi katusze!
Wkońcu, ile ma bogactw świat, obiecz go okiem,
Co z wód, ziemi lub niebios ujmie cię widokiem,
Proś, a strapiony ojciec spełni twe żądanie,
Proś, lecz o to, coć darem, nie zgubą zostanie.
Po cóż się rzucasz do mnie w błagalne objęcie,
Nie wątp; na Styx przysiągłem, spełnią się twe chęcie."
Skończył przestrogi, jednak syn na nic nie zważa,
Stały w zamiarach, jazdy żądzą się rozżarza.

Zatém ojciec po zwłoce prowadzi młodziana,
Gdzie błyszczy drogi rydwan, świetny dar Wulkana.
Na złotych ciężył osiach, złote kół okręgi,
Złoty dyszel i srébrne szpic promiennych pręgi.
Chryzolitem i perły wysadzone szory,
Łamią błysk ogni słońca świetlnemi kolory.
Gdy Klimenid przegląda wóz i koni stroje,
Czujna jutrzenka wschodu szkarłatne podwoje
I różane rozwarła przedsienia; gwiazd grona
Lucyfer najpoźniejszy w morskie spędza łona.
Widząc ojciec, że świat się rumieni z niebiosy,
I że ostatnie rogi błyszczą Heliosy,
Każe wprzęgać godzinom konie do rydwana,
Prędkie boginie rozkaz spełniając Tytana,
Ambrozią wskarmionych wśród lubej swobody,
Z pysznych żłobów prowadzą dzielne ogniorody.
Kładą srebrne munsztuki, w złote zdobią szleje,
A bóstwo na skroń syna dzielny balsam leje,
By go wiecznych promieni nie raził blask żywy,
W które mu wieńczy głowę ojciec nieszczęśliwy,
Co śród westchnień niosących ciemną losów groźbę,
Daje smętny ostatnią i radę i prośbę:
»Jeśli zdołasz, bądź pomnym na moje przestrogi:
Spinaj mocno leje w dłoni, odrzuć bodziec srogi,
Dowolnie one śpieszą, trudno wstrzymać żartkie,
Ani tocz przez pięć pasów kół obiegi wartkie,
Tor ukośny obłękiem zgiętym się roztacza,
I za występy granic potrójnych nie wkracza.
Biegun śpiekły mijając zmarzłe Arktów zbiory,
Pewną pogonisz drogą w kół rznięte przetory,

Lecz, by ziemia i niebo równie się ogrzało,
Ni spadaj, ni się wzbijaj w górę nazbyt śmiało,
Gdyż tu gmachy niebieskie, tam świat się zapali.
Srednia kolej najlepiej twą zgubę oddali.
Nie wybiegaj na prawo, gdzie jest wąż skręcony.
Ni w lewą pędź rydwanem, pod ołtarz zniżony,
Resztę losom polecam, te niechaj prowadzą,
I lepiej nad cię twojej przyszłości zaradzą,
Już kryje brzeg Hesperu, noc wilgotnę w sobie
A Jutrzeńka niknącej przyświeca żałobie,
Bierz wodze, lecz gdy serce złą ci kolej wroży,
Ujmij się mojej rady, zamiast twej podróży,
Nim się stroskany ojciec z tobą nie rozstanie.
Póki na złe żądanym nie pędzisz rydwanie."
Skoczył w lekki wóz młodzian, wziął wodze do ręki
I miotany radością czyni ojcu dzięki.
Tym czasem konie słońca świetny i bezsenny,
Z tym sprzężon wiatronocny, a przy nim płomienny,
Gniewne, tłuką w zapory, rżą i miecą żary.
Gdy Tetys, jakie wnuka nie wiedząc zamiary,
Rozwarła bram podwoje, błysnął obraz świata,
Cug ognisty, codzienną koleją wylata.
Roztrąca, rwie kopytem, chmur zawadnych fale,
Lotem bystrym ścigaiąc Eur wschodni, w zapale,
Lecz nazbyt wóz był lekkim, a jak morskie łodzie
Nie dość ciężko ładowne, chwieją się na wodzie,
Tak się lekko przerzuca w napowietrznej fali
I podobny próżnemu na strony się wali.
Czuje to i w czwał pędzi zaprząg znamienity,
Rozhukany, waśniący, w bok z drogi ubitej

Z jej utratą woźnica lejc nie ściąga w dłoni,
A zlękły, choć ją znajdzie, już niezwróci koni.
Toć najprzód, zimny Trion zaczyna się kurzyć
Co próżno do wzbronionych wód, chciał się zanurzyć,
Wąż przy zmarłym biegunie za martwo rzucony
Skrzepły, gdy nagłą spieką został ożywiony
Jad i złoście znów warzy po życia powrócie!
I ciebie wóz twój dźwignął, leniwy Boocie!
Gdy tak, wzniesion nieszczęsny, w najwyższe przestrzenie
Ujrzał w bezdnie przepaści ziemi położenie,
Zadrzał sobą, strach blady wystąpił na lice,
A blask silny, pomroką zakrył mu zrzenice.
Teraz to chciałby zrzec się wozu, koni, drogi
I tej chluby przed światem, że go rodzą Bogi,
A Meropa już raczej wyznać się plemieniem;
Miotan, jak okręt fali gwałtownem wzburzeniem,
Któremu, gdy strzaskanych maszt żagli niestaje.
Sternik go opiekuńczym bóstwom w straż oddaje,
Cóż pocznie? wiele przebiegł, lecz więcej przed okiem,
I raz zachod zawczesny, znów wschod mierzy wzrokiem,
Niepewny czy lejc rzucić czy też spiąć go w dłoni.
Przerażony, zapomniał nawet nazwisk koni,
Widząc zbladły, że całe niebo się najeża
Potwornym larw obrazem i gadu i zwierza.
Jest miejsce gdzie niedźwiadek krzywiąc łuk ramiony
Zaległ przestrzeń dwóch znaków ogromnemi człony;
Widząc go tak oblanym czarnych jadów potem,
Że się sroży śmiertelnym nastrzępiony grotem,
Srogiej trwodze nieszczęsny dał lica pobladłe
A gdy się tknęły karków, z rąk wodze wypadłe,

Runą w bok zlękłe konie i nad swiaty górne
Pędzą, wściekłą swawolą zhasane, niesforne,
Gwiazd najwyższych minąwszy nieruchome łoża,
Wartki rydwan unoszą w Arktyczne bezdroża.
Zhukane, rozigrane, to lot górny wzniecą,
Znów rade w przepaść goniąc, po nad ziemią lecą.
Widząc niższym od swego, wóz brata wysoki
I w ogniu chmury, zduman xiężyc srebrnooki.
Już płomień dosięgł ziemi najwyższej kończyny,
Co pozbyta wilgoci pęka w rospadliny.
Żółkną smugi i knieje, drzewa ogień wali,
Zboże własnym przesuchem na niwach się pali.
Jakież straty mam liczyć?— płoną miast pokłady
Płoną lasy, gór wierzchy, wznioślejszej posady.
Dymi się łono Atos, Tmolu, Tauru, Ety,
I żrzódłorodnej Idy osuszone grzbiety.
Cylix, Hem Eagrijski, Helikon dziewiczy,
Etna już dwa pożary w swém łożysku liczy.
Dwógłowy Parnass, Eryx, Cynt ojczyzna Feba,
Rodope dotąd śnieżna, oparta o nieba,
Cyteron ofiarniczy żrą płomienne fale,
Wprzód zmarzły Otrys, Mimas, Dyndym i Mikale.
Scytią skryć nie mogą zimy legowiska,
Skwarzą Kaukaz, zniżone powozu ogniska.
Pind, Ossę i wygarby Olimpu potężne,
Apenin napowietrzny, Alpy niebosiężne.
Widzi nieszczęsny młodzian, cały świat w pożodze,
Pierś mu spiekłym powietrzem wydyma się srodze,
Wóz pod nim rozpalają zajęte pożary,
Już on dłużej niemocen znieść rosnące skwary,

Tych wiejących popiołów, żużli rozognionych,
Ani dymu wyziewów, w chmurze roztoczonych,
Twierdzą, że wówczas ginąc strasznemi upały,
Etiop i Libijczyk od ognia zczerniały.
Wyschłych źrzódeł Najady z rozpuszczonym włosem
Świadczyły wielkość straty swych jęków rozgłosem,
Beocii Dyrcejskie, Ardze Amymony,
Efirze zginął strumień, Muzom poświęcony.
Same rzeki spotkane przez płomień w ich biegu,
Nie mogły sięgnąć łonem odeschłego brzegu.
Wre Don, ognistym nurtem, Kaik Teutrantejski,
Izmen, Penej odwieczny, Erymant Focejski,
Płowy Likorm, powtórnie płomienny Skamander
I w tysiącznych zakrętach płynący Meander;
Melas, Eurot, Faz, Ister, Eufrat, Ganges dawny,
Alfej, Termodon, Tagus złotym piaskiem sławny,
I nad głośny Meoński brzeg łabędzim śpiewem,
Toczy nurty Kaister, ognistym wylewem.
Pierzchnął Nil w krańce świata, pragnący ochłody
Siedm źrzódeł licząc wrzących, siedm łożysk bez wody.
Niszczy pożar rosnący, Hebr, Strymon Izmaru
I rzeki Hesperijskie nie unikły skwaru:
Klokocą nurty Renu i Padu z Rodanem,
Rzyga Tybr, władca przyszły, ognistym bałwanem.
Oblask łuny do piekieł wdarł się rospadliną
Drżą bogi wiecznych ciemnic, Pluton z Prozerpiną.
Płowieje piaskiem rola, zniżają się morza,
Rodząc z siebie cyklady, góry i podgórza.
Toną martwe psów morskich ciała na głębiny,
Po nad wodą nie śmieją wspławiać się delfiny;

Skrył się Nerej z Dorydą i młode boginie,
Przenieść skwaru nie mogąc, w ogrzane jaskinie.
Trzykroć Neptun twarz gniewną wzniosł nad morskie wały,
Trzykroć go wstecz cofnęły duszące upały.
Ziemia jednak, bogini płonów dobrotliwa,
Gdy ją ocean głębią, jak wprzód nie opływa
Gdy źrzódła siękną w matki chleborodne łona,
Wznosząc twarz dobroczynnę, do piersi spalona,
Zacienia dłońmi czoło a przez wnętrza drżenie,
I dla skwaru, w miejsc niższych gdy zspada przestrzenie,
Na ten ledwo z ust spiekłych, głos zdobyć się może.
Jeśli tak chcesz lub godnam, o najwyższy Boże!
Czemuż nędzna nie ginę pod gromem Twej woli,
I swą kaźnią nie ulżę powszechnej niedoli!
Ledwo zdołam otworzyć usta na te głosy,
Dym się kłębem z nich wije nad płonące włosy,
Ogień z oczu, prysk żużli leci zewnątrz łona;
Takąż mam za me skarby nagrodę, strapiona!
Że corok wzorywana, żyźny plon wydaję,
Że mię i brona szarpie i pług w skiby kraje,
Że wam rodzę kadzidło, pastwiska dla trzody;
Lecz mię karząc gdym winna, za cóż karzesz wody?
Za cóż Neptun potężny, w łonie morskich fali,
Ma ginąć od pożaru, co go zewsząd pali?
Jeśli cię bratnie z memi nie wzruszą cierpienia
Zlituj się nad Twém niebem wyrwij go z płomienia;
Tleją bieguny, Atlas wydany tym skwarom,
Ledwo zdołać już może niebieskim ciężarom.
Gdy mię skażesz na zgubę, Niebo i wód tonie,
Dawny zamęt niechybnie świat cały ozionie.

Zbaw więc jeszcze, co zdołasz z tej klęski o Boże!"
Wtem, gdy mówić i cierpieć już więcej nie może,
Kryjąc lica spalone w głąb' swojego łona,
Zapada w przestrzeń bliższą, królestwa Plutona.
Zatem, Ojciec najwyższy świadcząc się na bogi
I na tego, co wydał zaprząg skrzydło-nogi
W trwodze, by świat ostatniej nie doznał zagłady,
Straszliwy dąży w gmachow najwyższe posady.
Zkąd zwykle, odzian chmurą, w gniewne huczy grzmoty,
Piorun miota, iskrzący potrójnemi groty.
Lecz gdy teraz nie zdoła żadnej zciągnąć chmury,
Ani runąć ulewę z spieklej niebios góry,
Zagrzmiał a piorun jęty potężnym zamachem
Przebił piersi młodzieńcze, świat rażąc postrachem.
Zhukany tém w ostatek, cug rwie się na strony,
Pękły wodze ogniste, rydwan roztrącony;
Tu wędzidła, obwody kół, ze złota lane,
Tam, ówdzie, dyszel, piasta, osie zgruchotane.
Faeton, z jasnych włosów ziejący promienie,
Runął w przepaść, bezdenne ścigając przestrzenie,
Tak gwiazda w noc pogodną przez powietrzne kraje
Choć nie spada, a jednak spadać nam się zdaje.

## W IMIENNIKU J. A.

Najmilsza z barwy i woni,
Najpiękniejsze dziécie Flory,
Zaledwo z pączkow wysłoni
Dziewicze róża kolory,
Ledwo jutrzeńki światełko
Ozłoci rosy perełką
Miękkie powaby jej strojów,
Ledwo w okrąg jej zawojów
Promienisty błyśnie wianek,
W roskoszny Maju poranek,
Wnet ją ogarnie, osiada,
Tłumna śpiewaków gromada;
Im ich słucha obojętniej,
Im więcej mieni się, płoni,
Tém chor skrzydlaty natrętniej
Tysiąc jej pochwał wydzwoni,
Kiedy wiosny wychowanka,
Mniej ważąc hołdowne jęki,

Wygląda króla kochanka
Czeka słowika piosenki!..

Milsza od róży rozkwitu,
Przez względy Niebios osobne,
Tych niebios, co tak podobne
Do Twoich oczów błękitu;
Dziewico wyższej zalety,
Przebacz prostaczej szczerości,
Skąpstwu żołnierza-poety,
Że nic nie doda od siebie
Do ofiar drużby, miłości,
Bo i na cóż mu się zdało
Z próżną się szerzyć pochwałą,
Co Pani tak snadnie wiedzieć,
O czém jej zwierciadło wierne
I tłumy kornych niezmierne
Mogły postokroć powiedzieć;
Godność, pochlebstwa mnie broni,
A więc cóż mówić zostaje
Gdzie najszczersza prawda o niej
Podchlebstwem piększyć się zdaje;
Że nic zatém nie przynoszę,
W brew woli, natchnieniu memu,
Powiedz-że mi Pani, proszę,
Czy jestem winien ja temu?

# TRIOLETY.

Miłość tłumioną w iskierce,
W płomień ma czułość gdy zmienia,
Nie zatli ona twe serce;
Niewczesne żale jęczenia.
Bo czyje serce z kamienia,
Cóż temu miłość w iskierce...
Ona nie zatli twe serce,
Bo twoje serce z kamienia.

Rubin z twych ustek zapłonął,
Lubość więzi z twych warkoczy,
Powab twą kibić owionął,
Roskosz i biada twe oczy;
Ach, kogo blask ich otoczy.
Ten ze mną w blasku ich spłonął
Ze mną w ich raju utonął
Ożył we wspomni uroczej...

Żądam nadziei promyka,
Żąda go mokra zrzenica,
Jak żąda dziécię xiężyca;
Lecz tak mnie błyśnie i znika,
Jak żywa struga ponika,
Jak xiężyc drażniąc przyświeca
Srebrnemi blaski promyka,
Gdy Jasio żąda xiężyca.

Jak te napróżno strumienie
Na wsteczne jęczą kamyki!
Kamienie, głuche kamienie;
Tak i mej duszy westchnienie,
Wiatr, drażniąc niesie w las dziki,
Jak te napróżno strumienie
Na wstrętne jęczą kamyki,
Kamienie głuche kamienie! —
Płacze niemowlę i prosi
Dostać mu cacka na niebie,
Tak i ma proźba u Zosi,
Bo do nieczułych w potrzebie
Napróżno łza się zanosi,
Tak ją niepamięć zagrzebie,
Jak modłę Jasia na niebie,
Gdy xiężyc dostać on prosi.

A kiedy płacze i bieży
Skarząc się na to przed mamą,
I mnie ta równie należy
Na los się skarżyć tak samo.

Żem ja najczulszy z młodzieży
A Zosi serce ze stali.
Jak to niemowlę, gdy bieży
Skarżąc na xiężyc przed mamą.

# WSPOMNIENIE.

Widziałem, jak dziś pomnę jej oko urocze,
Gdy z pod rzęsy przywartej gwiazdą natchnień płonie;
Rozsypane nieładem w pierścieniach warkocze.
Na śnieżnej piersi, na bijącém łonie
Tak igrały ponętą, jak igra z oddali
Słońce w szybach kryształu lub na żywej fali.
Czarnym łukiem brew strzela na wyniosłém czole,
A jej kibić auzońską wyścignie topolę;
Barwą zorzy pokojne przystraja oblicze,
Usmiech wiosny na ustach z rubinu wyrzniętych
I namiętnym kochankiem jeszcze niedotkniętych
Pełną czarą nieziemne wylewa słodycze;
Pajęczy odział muślin wdzięki tajemnicze,
Od oczu pożądliwych i myśli nieświętych. —
Widziałem ją w szczęśliwym tak niegdyś poranku
Gdy z uśmiechem, niezabądź podała mnie z wianku
I znowu ją widziałem wśród rowiennic grona
Równie piękną, gdy wijąc czarodziejskie kręgi

W całym wdzięków tryumfie i lica i łona
Wlokła do się przytomnych mocą swej potęgi.
Nadaremnie w świątyni kryła ją zasłona
Wzniosła się, a tłum korny wyszemrzał: to ona.—
Z nim wówczas ją wyznałem i niemy pospołem,
Nad jej władzy potęgą w podziwie tonąłem,
Pasąc jej ruchy, kibić, łowiąc oko skromne,
Głos i uśmiech... roskoszy, kiedyż cię zapomnę!...

## W IMIONNIKU R. D.

Gdy na zhąsanej uśnie topieli
Eur władca burzy i poseł,
Krzyczą żeglarze czynni, weseli:
„Do wioseł, bracia do wioseł!"

Już się pod rudlem morze zapienia,
Już okręt mierzchnie w oddali,
Gdy słane za nim drużby westchnienia,
Odtrąca głuchej szum fali.

Poco stoicie, patrząc w tę stronę
Gdzie skrył się za świata szranki;
Sięgnąż doń matki dłonie wzniesione
I krzyk szalony kochanki...

I tęsknia ojca i siostry jęki.
Co włos rzuciwszy na łono,
Świeci na skale i z białej ręki
Żegnalną wieje zasłoną...

Idźmy — los woła, okręt moj czeka,
A choć grzmi niebo, wypłynę,
Choć duch źle wróży, serce wyrzeka,
Lecz znów tu może zawinę.

A gdyć już nie dam wieści o sobie,
Cudzą przysypan gdzieś dłonią,
Wspomnij w czas o mnie, gdy mnie o Tobie
Wspominać Nieba zabronią.

## EX PROMPTU.

Zima w czarną strojna chmurę,
Chłodnym śniegiem ziemię pruszy;
Myśli tęskne i ponure
Jak te chmury błądzą w duszy.
Jęczą jak ten wiatr w krzewinie,
Wróżą, jak to krukow stada,
Co wzlatuiąc nad pustynie,
Krzykiem, burzę zapowiada...
Tu wczoraj wesele brzmiało,
A dziś wszystko zmilkło, znikło,
Tylko wspomnienie zostało
Z tęsknotą do mnie przywykłą.
Wczoraj byłem w uciech raju
Złym duchom w uczcie radości,
Jak przechodzień w tłumach gości,
Jak cudzy w rodzinnym kraju;
Bo nie mogłem tak już doznać
Jak tu niegdyś czułem, doznał,

A nie chciałem inak poznać
Jakem niegdyś uczuł, poznał!
Choć się wszystko wbrew stawiło,
Co uładza, znęca, draźni,
Choć tu wszystko, tak jak było,
Prócz miłości i przyjaźni......

# W IMIONNIKU.

Wiersz mój wpisując w to różane cacko,
Gdzie znijdą krocie pochlebczych mamideł,
Mamże go splamić myślą świętokradzką
Przynosząc mirrę do błahych kadzideł?
Skrzywdzęż Twą xięgę gminniejszym wyrazem
Żebrząc za piosnkę dzięków lub wspomnienia?...
Choćbym tą drogą przeszedł do zbawienia
I najszczęsliwszym przed Twym padł obrazem,
Że w tém Jej wola, choćbym czuł i wiedział,
Nigdy tu jednak dośćbym nic powiedział.
Uboższy z wiedzy i słowa odgłosu
Na to coś wzięła od Nieba i losu
A zbyt już może korny i nieśmiały,
Bym oddał równe zaletom pochwały.
Wdzięki... ich wartość przede mną odgadło
Tysiączne oko, serce i zwierciadło;
Wieńczyć przymioty i urok daremnie,
Przyznać to mogli szczęśliwsi ode mnie.

Co więc Jej niosę, co w niej widzę, słyszę,
W Imie uczucia nic tu nie napiszę,
Tylko w przybytku, gdzie Jej czesć oddają,
Rzucony na twarz z hołdowniczą zgrają,
Będę w milczącym podziwie z daleka
Sławić pół wieka i czcić ją pół wieka,
Dzieląc się przez połowę modły pokornemi
Między Bóstwem na Niebie, a Panią na ziemi.—

## MELANCHOLIK.

Północ i cisza, — a gwiazdy migocą
Nad sennem łożem żywiołów i człeka;
Któż on? co jego ani dniem ni nocą
Snem się nie zemknie powieka.

Nigdy mu uśmiech nie rozjaśnia lice
Nikogo radém nie spotyka okiem,
Jak świt jesienny tak jego zrzenice
Smutnym zamierzchłe pomrokiem.

Jak powiew wiatru, chod jego niestały,
Jak odgłos echa, słowa rozprzężone
A dumne czoło, jak nadbrzeżnej skały
Gromem i falą tłuczonej.

Patrzy na ludzi, jak sternik na głazy,
Poi się łzami, oddycha westchnienie;
Sto razy sławi, przeklina sto razy
Znikłego szczęścia wspomnienie.

Jak kwiat uwiędły, rzucony na grobie,
Tak bez nadziei wśród losów igrzyska,
Żyje sam z sobą i podżega w sobie
Trawiące duszę ogniska.

Świat go nazywa mianem niejednakiém,
Gdy nań wychodzi z xiężyca promieniem,
Młodzież odludkiem, pożyli dziwakiem,
Zimnym dziewice kamieniem.

Ach on nie kamień o piękne! o boże!
I on rwał kwiaty i on się nie smucił,
Jak wy szczęśliwy i szczęśliwszy może
Aż tak nie marzył, nie nucił.

«Przestań mię dręczyć Syreno przeszłości,
Nigdyż cię z myśli, z serca nie wyżenię?
Twój powab niesie całą śmierć wieczności
Za jedno lubej wspomnienie.

O błogo temu, przez Nieba łaskawsze,
Błogo przez losu przyjaznego wydział,
Kto ją lub widzieć zdolnym będzie zawsze
Lub kto ją nigdy nie widział.

Miłość... — jak chciwie wpiła się ta zmija
I co dzień w serce jad czarniejszy leje,
Czuję już koniec doli mej dopija
Ostatnią trawi nadzieję.

Tych niebo wiedzie z zwycięstw do zwycięstwa
Tego podnosi by innych ciemiężył,
Czemuż choć tyle nie dała mu męztwa
Abym sam siebie zwyciężył.

Patrzcie jak błyska, jak się niebo chmurzy,
Jak się grom z trzaskiem rozpada i kruszy!
Słabe to widma i echa tej burzy.
Co na dnie mojej wre duszy.

Tysiące urwisk minie żeglarz śmiały,
Sławniejsza dzielność im trapiona srożej;
Lecz są ukryte nieszczęścia i skały
Ich nikt ominąć nie może.

One w dzień burzy grożą mnie rozbiciem,
Ja płynę jednak, ciemny w moich losach;
A gdy jej obraz utonie z mém życiem,
Pojdę go szukać — w Niebiosach!"

## DO TRZYNASTU....

Głuchy szmer tylko... a jednak w tej sali,
W imieniu prawa, stu gości zasiada;
Lecz, czy to schadzka z hołdem stu wassali,
Obrzędnych, widzów, czy sędziów gromada?
Nie uczta jednak, lub zimnej zbyt treści,
Gdzie żadna piękność okiem cię nie draśnie;
Sto ust a cicho, w Arabskiej powieści
Zjazd stu Emirów podziwia tak właśnie.
Zeszli się, radzą, na tej radnej chwili,
Znać, cóś ważnego sobie uradzili,
Bo każdy, tocząc wzrok jasny lub chmurny,
Biały lub czarny rzucał los do urny.
I znów się tłumią, roschodzą na strony,
Zgodniż, czy tylko te zgody udane?
Gdy część ich wznosi gwar zadowolony,
A część uchyla czoło zatroskane....

Liczą, spisują, znów ciągną narady,
Ci obwołani, owym kres nadziei;
Aż ktoś me imie wymówił z gromady:
»*Veto!*"—po czasie, już byłem w kolei.
Wzbudzon jak ze snu, spojrzałem do koła,
Lecz twarze w maskach. żadnej przepowiedni...
Amen—i liczą, przysięgły obwoła:
»Trzynastu *prawych!* na lewo *pośledni!*"
Tylkoż trzynastu?—jak skąpa, ostróżna,
Skryta przychylność, jak liczba złej miary,
A jak na pozór ta rzesza usłużna!...
Myślałem wówczas, pełen gminnej wiary,
Dziwny jej symbol z ust do ust przechodzi,
Jak czas odwieczny, krzewi się, rozrasta,
A gdy dadź ucha jego prawdom godzi,
Zle, kogo liczba nawiedzi trzynasta.
Alboście mędrsi, albo mnie się marzy,
Jednak rzecz dziwna, gdy tego nie wiecie,
O czém wam co dnia radzi mówić starzy,
I co napamięć umie lada dziecię.
Tak, kiedy ludzki wieśniak zwie gości do domu,
By użyć błogiej chwili z zażyłym sąsiadem,
Choć cześci, win i jadła nie szczędzi nikomu,
Lecz nieraz idzie uczta kwaśno i nieladem.
Ten gdyra na złe czasy, a tamten na karty,
Bo pierwszy przegrał w Ziemstwie, gdy drugi u wiska,
Wkoło przekąs, domówki, jakieś ckliwe żarty,
A każdy, cedząc chwile, zżyma się i sciska.
W bawialnej tyle matron, tyle córek, zda się
Najmilsza gospodarzy; jest na co się gniewać,

Jest w każdej i zawiść i plotka w zapasie,
A jednak wolą tylko wzdychać i ziewać.
Próżno Jejmość za wszystkich i prawi i słucha,
Milkną goście, raz poraz przerzadza się drużba,
Aż mężu,— o trzynastej poszepnie do ucha,
Zliczył, tak... więc to właśnie ta liczba złowróżba,
Teraz, choćby mu stoły sam Karem zastawił,
I wytoczył im gwoli szampańskie piwnice,
Już on skną powiatu na długo się wsławił,
Płacąc workiem i sobą liczby tajemnicę....
W ów dzień miesiąca serce młodzieńcze
Miłością komu zapłonie;
Zgubne zapały; bo wiem i ręczę,
Xiądz nie połączy ich dłonie;
Lecz tak kochany, z przymiotów słynny....
Fraszki,— najczulsza z ziemianek
Drożej srebrnikiem, gdy przyjdzie inny,
Przeda swój pierścień i wianek.
Spójrzyj, za gronem śledząc weselném,
Kogo dziś pieści twa miła;
Zajdź, tak cię spotka wzrokiem bezczelnym,
Jak gdyby twoją nie była....
Szaleńcze, mógłżeś, hańbiąc ofiarę,
Szukać w niej zalet do wzoru,
Marnować miłość, nadzieję, wiarę,
I wszystko, oprócz honoru!
Ludzie osądzą to po swojemu,
Podług lat, serca, głów, kasty;
Lecz jest, co sądzi i wierzy temu,
Że winien, Lipca trzynasty....

A gdy w poranek jesienny, chłodny, posępny i cichy,
Tuman powiśnie na górach, gaje na poły odzienie,
Gaje, tak żółto-czerwone, o ciemnej borów krawędzi;
Cała na ówczas przyroda, zda się jak człowiek, co przeżył
Wiek młodociany roskosznie, a teraz o tém rozmyśla,
I duszą tęskną zgaduje nadejście zimy swej bliskie;
Wszystko tak senne, tak martwe, sam tylko czuwa myśliwy,
Słyszysz? jak w trąbkę uderza.... Widzisz? jak pędzi przez pole....
Zawrzała psiarnia w gęstwinie, umilkł dojeżdżacz i nagle
Wygrzmiał w róg hasło ochocie, jak, gdzie i na co ma czuwać.
Leci przez knieje, wiszary, grająca gończych nawała,
Zeschłe druzgoce gałęzie, z podnóg rozmiata liść kruchy...
Lecz próżno gończy dotrapia, próżno chart rwie się ze smyczy,
Nic w lesie strzelec nie dojrzał i nic na polu strzemienny.
Aż wkrótce jeden po drugim pies się zanosi, ucina,
Rozjętą paszczą wiatr chwyta, starym się tropem doławia.
Cyt! walę znowu... a gdzie tam! do stada chyba cietrzewi,
Spłoszonych ze mchów na lasy, albo do słomki samotnej,
»Albo do kroćset szatanów, na te bagniska spędzonych."
Rzekł, wydzierając się chróstom, Pan Podkomorzy zzjajany:
»Wraz mnie psy pobrać na sfory, strzelcom zatrąbić pojezdne,
To stara pałka, ten Bujwan na godną wsadził nas knieję;
Ledwom nie trafił do okna (*) sadząc po kępach trzęsawic,

(*) Oknami zowią studnie rozlane ze mchów i bagnisk; gmin ma je zawsze za bezdenne.

A tu w półsusa przez parow, na pół janczarkę strzaskałem."
Długo się dąsał Pan gniewny, a Bujwan mruczał pod nosem,
Bujwan, co wyrósł z tą knieją i co na łowach osiwiał,
I co tak jeszcze niedawno przed Panem zwalił odyńca,
I co, gdy wszyscy odbiegli, nad Panem przebił niedźwiedzia.
»Właśniem ja, prawi, tu winien, że dziś, gdy w pole wyruszym,
Lada samopał lub młokos, rad przed starszymi rej wodzi.
A był też dobrym i Bujwan, niegdyś za czasów Marszałka,
Bo Pan Marszałek, prócz niego, z nikim w tej rzeczy nie radził.
Wówczas to ludziom ochota, aż miło wspomnieć mospanie!
Dom zawalony źwierzyną, a nigdy jesień nie przejdzie,
By każdy sąsiad, z łask naszych nie miał lub sarniej pieczeni
I łap niedźwiedzich na przysmak, lub ze dwóch szarków na kołku.
Lecz dziś.... naprzykład, ten Sędzic właśnie jak z pilnej potrzeby,
Co nie zna pola ni gonu a lata, krzyczy za wszystkich,
I wszystkim prawi kazanie i wszystko psuje, jak na złość.
Wiemyć kto ptaszka przyswoił, kto na lep wziął go do klatki;
Wiemyć, nie w ciemię nas bito, lecz mniejsza, siądź tam jej u nóg.
Słodkie jej śpiewaj androny, lub muskaj wąsik przed lustrem;

Ale się włóczyć za trąbką, bydź jak na przekor, trzynastym....
Każdemu przed nos wyskoczyć z lasu, jak Filip z konopi,
I mrużyć ślepie jak rarog, po co? by strzelać gawrony,
A to mnie pejcza nie warte junactwo takie, mospanie!...."
Mógł Pan złamać broń przypadkiem,
Mógł i panicz psuć im łowy;
Lecz się dąsał, choć ukradkiem,
Na poczet strzelców gajowy;
Prawił, w krociach wskazał zdarzeń,
Jak zgubna liczba trzynasta....
Cóż? Sędzic śmiał się z tych marzeń,
Lecz Bujwan wierzy i basta.
Czas na wszystko: na zboże, na kwiaty, na drzewa,
Wówczas sadzi ogrodnik i rolnik zasiewa,
A kto się z dobrą porą ominie, rozbrata,
Będzie mądrym po szkodzie i po stracie łata;
Bo drzewa spasie owad, pole zgnębią chwasty,
Zasiane przed Prorokiem (*) za tydzień trzynasty.
Wiosna, wiosna! z gór potoki
Niosą się, szumią i pienią;
Skowronek pędzi w obłoki,
Młodziencze gaje zielenią,
Nad niemi niebios opona,
Tak błękitna, jasnołona!
Tak roskoszna, pożądana,
A jak wieczność nieprzejrzana....

---

(*) S. Eliaszem.

Gdy zaświta ranek Maju,
Dziewczyna bieży do gaju,
Nie za trzodą, nie po kwiaty,
Nie po wodę, ani ziółka,
Lecz przyjadąż w jesień swaty,
Jak jej powróży kukułka:
Gdy *w cot* (*) swą piosnkę wykuka,
Młodzian jej ręki poszuka,
Kiedy *w niecot* tegoż lata
Będzie, choć z wdowcem, bogata;
Lecz bywa, z jakąś tęsknicą
Milknie, za nótą trzynastą....
O biedna wówczas dziewico!
Albo biedniejsza niewiasto!
Zlegnie tobie ojciec stary,
Lub siostrę złożysz na mary,
Pożegna cię brat lub mama,
Bóg wie, a może i sama....
Z tych marzeń, w obec jawie, którąm wstecz odrzucił
Gwar natrętny przytomnych wyrwał mię, ocucił,
Z marzeń, co w lata rańsze, gdy się młodość święci,
To jak wieszcze przyszłości, to jak sny pamięci,
A zawsze swym magicznym kogo olśnią wieńcem,
Pójdzie niemi zawładnąć lub ich zostać jeńcem...
Śpiesz, nim los ci rozbije tę mydlaną bańkę,
Mieniąc drużbę podejściem, a żoną kochankę,
Pustynią Eldorado, a tkań ideałów
Wiązką na cierń z posiewu niebieskich migdałów;

---

(*) Cot i niecot, parzysta lub nieparzysta liczba.

O myśli! karmią twoją kto się raz zatruje,
Twym kluczem raj odemknie i sercem uczuje;
Kogo ujmiesz w swym domu, kogo wdzięk twój skłóci,
Ten ci serce i pokój na wolę porzuci,
A zostanie jak tułacz między ziemską bracią,
Martwić ich swym wyrazem, czynem i postacią;
Obcy ich błahej woli, żądzy i potrzebie,
Nędzarz dumny da mało, mniej weźmie dla siebie;
Mniej, bo on choć trzynastu gdy posiędzie ze mną,
Niełowionych zabiegiem, ni prośbą nikczemną,
Nieobjawionych, nieznanych,
Będzie czternastym z wybranych.
Śmierć i życie spełnij z niemi,
Łzę i uśmiech, los, niedolę;
Z nimi w niebie i na ziemi,
Radość, troskę dzielić wolę.
Z nimi on ciosom dostoi,
Czulej wyzna szczęście bratnie.
Słodziej go roskosz upoi
I bicz nędzy lżej go zatnie;
Bo gdy rozjawi głąb paszcze sinie,
I niebo zagrzmi nad głową.
Świetny, czy z drużby połową zginie,
Czy ujdzie z drużby połową.
A więc trzynastu! z wami wbrew, skrycie,
Na zastęp, szturmem ku miastu,
Wam ramie w ramie, po śmierć i życie,
Ale, wam tylko, trzynastu!......

## W IMIONNIKU....

Czémże mam uczcić Twą kartę,
Przynosząc Twojej pamięci,
Coby nie było mniej warte
Od mych dla Cię życzeń, chęci...
Kędy z czasem świat poświęci
Tłum grzeczności, pochlebstw roje,
Tam wyrazy wnoszę moje:
Proste, szczére a życzliwe,
Będąż podzięki obrazem,
Za dni błogie, dni szczęśliwe,
Przemarzone z Tobą razem...
Tak mnie ich lube wspomnienia,
Jak lube sny wyobraźni,
Jak miłości objawienia,
Jak objawienia przyjaźni.
Przyjm, na tę przyjaźń, coć święcę,
Nic ją nie zerwie, nie skruszy,
I uwierz siostro piosence,
Co brzmi uczuciem mej duszy.

# DO BOGA.

Śród wieków i przestrzeni, Prawdo jaśniejąca!
Którą, choćby śmiał badać, nikt zbadać nie może,
*Początek* — bez początku i *koniec* — bez końca!
Kto jesteś, sam wiesz tylko niepojęty Boże!

Z padołu łez i nędzy lud woła do Ciebie,
Niewdzięczny Twej dobroci, Twych darów niegodny,
A jednak ufny w Panu na ziemi i niebie,
I powraca na łono Ojca syn wyrodny!

Lecz długąż ma się poić przebaczeń nadzieją,
I mdłą prośbą kołatać do Twojej litości?
Gdy ledwo od łez jego gromy Twe stępieją,
Znów je odostrza święta dłoń sprawiedliwości.

Kiedyż błyśnie piorunem Twa dobroć bez granic,
I rozgniecie potwory, co mają Cię za nic?...
Ważysz... a w duchu tylko najwyższej Istoty,
Cierpliwością bluźniącej doświadczasz ślepoty.

Stanie się!... już ostatnia miara przepełniona,
Na jej zgubę upadnie zemsta z niebios łona,
I gdy bałwan Baala rozłamie na dwoje,
Oszczędź Panie Twe sługi, Ojcze dzieci Twoje!

# W IMIONNIKU.

*(Ex promptu.)*

Choć nas smutny los rozdziela,
Lecz się serca nie rozłączą;
Łzy te świadkiem, co się sączą
Z ocz brata i przyjaciela.
O żegnam!... słyszysz?— wyzywa
Zwłoką sprzęża niecierpliwa,
Co na mnie czeka u ganku,
Brzęcząc dzwonkiem bez ustanku.
Oddamże w słowach bez liku
Rzewną tęsknię duszy bratniej,
Co może po raz ostatni
Ozwie się w tym imionniku...
Jeśli nas niebo łaskawsze
Dziś nie rozdziela na zawsze,
Toć nasza gwiazda znów błyśnie
I dłoń dłonią się uściśnie;

Lecz kiedy... ha, wówczas tylko,
Niezmąconą gwarem chwilką,
Wzbudź z tej karty moją wspomnię,
I gdy okiem rzucisz na nię,
Przeklnij łzawe pożegnanie
I westchnij kiedyś tam o mnie.

# Do A... M...

Z marzeń pijąc kielicha,
Kto błogich dośnił lat,
Temu się los uśmiecha,
A z losem cały świat;
Ten niebo odziedziczył,
Co się nam ledwo śni,
On lata dniami liczył
I mgnieniem ziemskie dni.
Gdzie nędze i cierpienia,
Postałże taki człek?
O znęty, omamienia,
Wieszczące złoty wiek!..
A żaglem wyobraźni
Goniące w jakiś kraj,
Miłości i przyjaźni
Gdzie istnie wieczny raj...

W dniu walki, w dniu burzliwym,
Jest jeden tylko czas,
Raz bywa człek szczęśliwym,
Kochając tylko raz.
Do grobu od spowicia,
Gdy twardy gonim los,
Czemuż to nas do życia
Przykuł sumnienia głos;
Oh gdyby zamilkł w duszy,
Wśród groźnych, ciągłych fal,
Jak wielu z tej katuszy
Dźwignęłyb jad lub stal...
Lecz padnie mgła niemocy,
Lepszy nas czeka byt,
Po ciemnej życia nocy,
Gdzie jasny dnieje świt...
Jest wieniec, mój Adamie,
Nagroda wzniosłych dusz;
W złotej go rajskiej bramie
Zawiesił Sędzia-Stróż,
A do tej bramy ścieszka
Wśród znojnych, stromych dróg,
Gdzie pokój, szczęście mieszka
W domu wieczności — Bóg!

## OBRAZ WOJSKOWEGO SZPITALU.

O Curas hominum! o quantum est in rebus inane.
*Persius.*

Północ, lampy ostatniej płomyk mierzchnie, błyska,
I ze mrokiem w niepewne zlewa się pólcienie...
Mogęż marzyć zuchwały u śmierci łożyska,
Gdzie płacz, jęki, śmiech dziki, lub dziksze milczenie..,
A kędy oknem xiężyc pogląda wesoło,
Widz zimny, sam on tylko nieczuły w tej stracie,
Za to okno gdy wyjrzę, jak lubo w około,
Jak tam kwitniesz przyrodo w swej majowej szacie!
Dziwneż Panie Twe sądy, co tak cudnie łączą
Jęk z uśmiechem, z boleścią roskosz, łzy z nadzieją,
W jeden łańcuch, którego czas, przestrzeń nie skończą,
Tak świetny, mocny, ciemną wleczony koleją!...
Tam pokoisz swe dzieci z dobroczynnej ręki,
Co tak żyją na jawie, co tak we śnie żyją,
A tu jawą i we śnie tylko płacz i jęki,
Gdzie się karmią cierpieniem, gdzie łzy własne piją!

Tu im nadzieja nawet wyjękła niestety!
Oh! i nadto wzrok przygasł, by za grobem widzieć..
Te jeszcze jawne mary, te żywe szkielety,
Już nie pomną co kochać, czego nienawidzieć.
Ręce skościałe na krzyż, osłupiałe oczy,
I te usta sinące, i tę bladość lica,
I te piersi, z pod których już tchnienie nie tłoczy,
Smutnym łyskiem orzuca samotna gromnica.
»Już skonał, rzekł i cicho westchnął Kapłan Boży,
»Zmówić zań pacierz, dziatki, litość i potrzeba,
»I z nas się każdy za nim do grobu położy,
»I za nas błagać będziem o modłę do nieba..."
I gruchnęła modlitwa, choć tak zimna, sucha,
Jak łono matki—ziemi, w którém go zamknięto,
Lecz tam przecie nań czeka bez marzeń noc głucha,
Nim go Anioł przebudzi w Zmartwychwstania święto...

DWA URYWKI Z POWIEŚCI

# WYGNAŃCA.

(*tłum. z ross.*)

## I.

W KRAINIE burz, zamieci, śniegów,
Gdzie Lena bystre toczy nurty,
Wśród długich czernią się szeregów
Drewniane chaty, dymne jurty;
Strzeżone zewsząd ostrokołem,
Co go w pół zawiał śnieg głęboki.
Stérczący dumnie nad padołem,
Połyska świątyń krzyż wysoki.
Z owąd posępnie szumi bor,
Tu białe ścielą się polety;
Nad niemi w koło stromych gór
Stérczą bezpłodne, dzikie grzbiety.

Od wieków zimna i ponura
Tych opłakanych stron natura,
Zamierzchłe niebo, w łożu skał
Warczy wezbranej rzeki wał
I wyje burza przez pustynie.
Wolny nie gościł w tej krainie,
Katuszy więźniów dzikiej, smutnej,
Strasząc się zimy tak okrutnej.

Tęskno, powolnie czas upływa,
Jakucka ludom odziczałym,
Gdzie raz lub dwakroć w roku całym,
Z zesłańców tłumem poustałym,
Strażniczy żołnierz przybywa.
Po kupno futer, w czas się zdarzy,
Zajdą Moskiewskich tu handlarzy
W zabyte miasto karawany;
Wzbudzi to nagle ruch targowy,
A Jakuck głuchy i surowy
Wmieszcza pokoleń tłum zmięszany:
Z Jukatrem, Tungus tam stepowy,
Hołdowny *jasak* niosąc idą,
Jakut i zbrojny długą dzidą
Syberski Kozak liniowy.
Wówczas to zima na chwilę
Z smutnej odbiega tej krainy,
Milczący las zaszepce milej,
W zieleń ubarwią się doliny
I zawre Lena pod skałami;
U znękanego troskami

Nędzarza — więźnia w lochu ciemnym,
Tak uśmiech rodzi się czasami,
I gościem błogim a przyjemnym
Wchodzi do duszy; tak ukradkiem
Przestępcy czoło przypadkiem,
Radością zaświeci mile,
I błogo jemu, choć na chwilę.

Lecz któż w porannym tumanie
Tam błądzi nad przepaściami,
Z gwintówką długą za plecami,
W kosmatej czapce, po sukmanie
Szérokim pasem wpół zapięty,
Jak kozak jarzmem nie ugięty,
Odważny, chciwy na zdobycze,
W swojej odzieży wojowniczej,
Wzrok niespokojny i ponury,
Zimna surowość, troska blada,
Na twarz mu z duszy wypada,
Dręczących myśli czarne chmury
Brodzą, pędzone przez niedolę,
Na hardém, wzniosłém jego czole...
Stanął, na zachód wyniósł ręce,
Cisnął z pod rzęsy wzrok ognisty,
I w nieścierpianej duszy męce
Cicho zanócił śpiew ojczysty:

»O rodzinny kraju miły!
»Już cię nigdy nie obaczę,
»Wygnaniec, dziadów mogiły
»Nie odemszczę, nie opłaczę!

»Napróżno wre zgroza w duszy,
»Już nie mogę dla cię słynąć,
»Mnie w tej haúbiącej katuszy
»Los kazał w nędzy zaginąć!

»O stracony kraju miły,
»Już cię nigdy nie obaczę,
»Wygnaniec, dziadów mogiły
»Już nie zemszczę, nie opłaczę!"

Umilkł, i stromym kosohorem
Po wązkiej spuścił się *drożynie*,
Znowu zawidniał tam pod borem,
I w jego skrył się znów gęstwinie.

Kto on? nikt nie wie, nikt nie zbada,
Choć dawno w te wygnańcze strony,
Jak okoliczna wieść powiada,
W kibitce ciemnej przywieziony.

Nie jaśniał uśmiech mu na czole,
Nigdy z nim radość nie gościła,
A starość wczesna przez niedolę
Wąs mu i brodę ubieliła.

# II.

Widziałżeś ty, z jak wściekłym szałem,
Kruszy na wiosnę swe kajdany
I pędzi Lena wał za wałem,
Grzmiącemi jeżąc się bałwany;
Jak rwie zawady jej swawola,
Wspiątrzone lody w pył druzgocze,

Gdy ryczy, wzdyma się nad pola,
Wywraca sosny, skały tłucze,
I miecąc w ciemnic swych głębinie,
Z niemi w bezludnych stepach ginie...
Na głos starszyzny i rodziny,
Łamiąc, rujnując tak przeszkody,
Zbiegł się na krwawe lud zawody
Za byt i prawa Ukrainy,
Tam dni mych wiosną pogardziłem,
Na głośne niosąc się gonitwy;
Ja pola krwią zaczerwieniłem,
I miecz mój, grom codziennej bitwy,
Na karku wrogów poszczerbiłem!

Od bitw Karola i Mazepy,
Krwią się dymiły nasze stepy,
W Ukrainie bój za bojem wrzał;
Całe zastępy martwych ciał
Stały się psów i wilków łupem,
A ziemia zda się jednym trupem.
Lecz próżno siły bunt natężył,
Gieniusz Piotra nas zwyciężył;
Wybiła chwila, w jednej chwili
Własną ojczyznęśmy zgubili!
Zagrzmiała bitwa pod Poltawą,
A Karol tracąc bitwę krwawą,
Z popłochem dotąd mu nieznanym
Pierzchnął, i za nim my z Hetmanem
Prawie pięć dni, bez wczasu chwili,
Przez dzikie polaśmy pędzili.

O wrogie trwożąc się pogonie;
Już zmordowane, schudle konie,
Gardziły biczem i ostrogą,
Już bydź u siodła nie miał mocy,
Znękany jezdziec taką drogą,
Upałem dnia i chłodem nocy.
Przebrnąwszy wkońcu Dniepr pod lasem
W północ, tłum rozległ się popasem;
Siniały stepy na oddali,
Xiężyc ponurzył się w obłoku,
I tylko budził ciszę mroku
Stłumiony szum dnieprowej fali.
Na twardém siodle głową wsparty,
Szorstkim wojłokiem podesłany,
Pod dębem spoczął Król znękany,
Wobec drabantów czujnej warty.
Dalej przy skrzącém się płomieniu,
W martwiącém ducha rozmarzeniu,
Ponury słowem i wejrzeniem,
Hetman rzekł do mnie z rozczuleniem;
»O jakże losy niestateczne,
»Jakże ich sądy dziwne, sprzeczne!
»Daremnie wre potęga w duszy,
»Próżno się męstwem zbroi siła,
»Tak jedna chwila to roskruszy,
»Jak jedna chwila nas zgubiła!

»Lecz stracęż ducha, wolę śmiałą,
»Ugnęż przed losem czoło moje?

»Mnież z losem walczyć nie przystało,
»Gdym z samym Piotrem toczył boje!”
A wzrok mu iskrzył gniewnym błyskiem,
Świadcząc na dumę niezgnębioną...
I przed gasnącém legł ogniskiem,
Gdy mu dwóch jeńców przedstawiono,
Zasuty troską i siwizną,
Wódz przywstał, podparł się na dłoni,
Wyrzekł ponuro: »zkąd, kto oni?
»I co z ich stało się ojczyzną?”—
—»Ja z Baturyna, jeden prawi,
»Tam lud nasz Piotra błogosławi,
»Tam za zwycięztwo Jego sławne,
»Biesiady toczą się ustawne;
»Ciebież Mazepo, jak Judasza,
»Potępia, klnie Ukraina nasza;
»Na pikę gmachy twe podjęte,
»Czerń grabi skarbów twych łożysko;
»Sławne twe imie, dziś przeklęte,
»Brzmi jak ohyda, pośmiewisko!”
Hetman w milczeniu głową skinął,
Gorzko uśmiechnął się przed nimi,
Westchnął, przesłonił się ku ziemi
I w płaszcz szeroki się zawinął.

Ledwo na wschodzie zaświtało,
Znów wstecz nam biegły stepy smutne;
Aż krwią się serce tak oblało
W boleści srogiej i okrutnej,

Gdyśmy pobladli, skamienieli,
Rodzinnych krańców swych dojrzeli.—
Warząc się troską, a rzewnemi
Jak dziecię, łzami się zalałem,
I wziąwszy garść tej świętej ziemi,
Z krzyżem u piersi przywiązałem:
Bydź może, już nie zwiedzę więcej,
Nie ujrzę nigdy braci moich,
Ty, droga garstko, ulżysz męce,
Szepcąc o żyznych błoniach twoich,
Ty ulżysz srogich cierpień bliznę,
Wspominać będziesz mnie ojczyznę.
Nigdyż ją, nigdy nie obaczę,
Sprawdziż los wróżby mej rospacze?...

W stepach zieleniąc się bezwodnych,
Gdzie tylko chwast i oset ściele,
Po smugach dzikich i bezpłodnych,
Wijąc kurzawę my lecieli.
Konie zmęczyły się w ostatek,
Król-zbieg nasz dzielił niedostatek,
Aż z niedobitków garścią Szwedzkich,
W Benderach schronił się Tureckich.
Tu Hetman ciężką zległ chorobą,
(Trosk, lat i trudów to koleja).
Jak nim miotała rospacz dzika,
Gdy mnie przywołał i Orlika,
Chcąc nas przekonać, że przed sobą
Widzi on Iskrę, Koczubęja:
»Ha! patrzcie! kat, z nim idą oni,"

Jęczał i wołał w obłąkaniu:
»Patrzcie, ot już na rusztowaniu....
»Tłum wkoło szemrze i łzy roni;
»Jak pląsa, cieszy się mistrz męki,
»Jego ofiara już gotowa,
»Drzyjcie! on topor wziął do ręki,
»Zaniósł, uderzył — spadła głowa...
»Lud krzyknął.... druga w ślad się toczy!
»O jak ich straszno błyszczą oczy!...

Raz w mych objęciach chciał pozostać,
W czas obłąkania i szaleństwa:
»Ja widzę Piotra groźną postać,
»Ja słyszę straszny śpiew przekleństwa.
»Jak krwawo w Cerkwiach płoną świce,
»Dymem się wieńczą kadzielnice!...
»To Metropolita zawzięty
»Z chorem potępia sławę moją:
—»Mazepa z rodu w rod przeklęty!
»On zgubić chciał ojczyznę swoją."
To znowu, blady, przerażony,
Gdy noc mu powiek nie zakryje,
Cień Koczubeja widział żony,
Porwaną przez się ich Marię.
Raz jęczał, modlił się ze łzami,
Znów, dziki tocząc wzrok na strony,
On wołał, śmiał się jak szalony;
Przytomny sobie znów czasami,
Tak w nas zanurzał wzrok powoli,
Jak strzałę troski i niedoli.

W dziewiąty wieczor, widać było,
Z ostatnią walczył życia siłą,
Dumą i wiekiem dotyrany,
Miał oddech słabszy, przerywany.
Pijąc boleści czarę do dna,
Chciał, zda się, tłumić w sobie mękę,
Podszedłem, wziąłem go za rękę,
A ręka była ciężka, chłodna,
Patrzyły oczy nieruchomie,
Pot wyszedł na twarz przy skonaniu,
I wtém, w ostatnich sił przełomie,
Powstał na łożu, w obłąkaniu,
Jak gdyby jeszcze im podołał:
„Pietrze! Ukraino!" zawołał,
Z tém brzmieniem usta się zawarły,
Padł topiąc we mnie wzrok umarły....

Jak marmur niemy, niewzruszony,
Ja stałem przed nim pośród tłumu,
Bez sił, bez zmysłów i rozumu,
Jak gromem troską uderzony...

Uświetnił obrzęd pogrzebowy
Sam Karol, tęskny i surowy,
Idąc na czele swej drużyny,
Za trumną wodza Ukrainy.
Tam Szwed i Kozak łzy wyleli,
Jak gdyby łzami wróżyć chcieli,
Żeśmy z nim razem o tej chwili
Los i nadzieje swe zaryli!

# DO NIEJ.

Niepojęta, najmilsza! gdy twe lube imie
................................ w tym rymie,
Gdy cię z krzywdą pół świata wzbogaciło Niebo,
A poznać było szczęściem, ubóstwiać potrzebą
Którą kochać!.... o przebacz świętokrackiej myśli
Że się nazbyt zuchwale z swą żądzą wykryśli.
Możesz okryć mię wzgardą, obwołać szaleńcem
Gdybyś jednak kazała mnie zostać twym jeńcem
I współczuła mej duszy, duszą swoją tkliwą
Ach szczęścia najgodniejsza byłabyś szczęsliwą!
Jakkolwiek mierna dola, mierne me dostatki
Póki jednak Opatrzność nie wyszła z mej chatki
Mógłbym jeszcze na tyle zebrać, powiem śmiało,
Coby twoim rozkazom, woli twej dostało.
Pod jej skromną uchroną, w czas burzy i znoju,
Dałbym życie za chwilkę twojego pokoju,

A wychodząc na walkę z losy przeciwnemi
Zastąpiłbym cię od nich piersiami mojemi,
W niejbym przed burzą Niebios i przed ludzką złością
Bronił cię łzą, modlitwą, zasłaniał miłością.....
Nie mam gmachow co dumnie wznoszą się pod chmury
Nie błyszczy u mnie złoto, nie lśnią się marmury,
Można jednak z łąk moich, z plonu mojej niwy
Bez złota i murmurów przesnić wiek szczęśliwy;
I dla mnie zbiera pszczołka wonne plastry miodu
I mnie jesień przynosi owoce z ogrodu
I nabiały z mej trzody i z mych gumien zboże
Przyjdź o luba! to wszystko u nóg twych położę.—
O gdybyś moją była! szczęśliwy kochanek
Z kwiatów mej wyobraźni uwiłbym ci wianek
I najpierwszą piosenkę, po Bogu na Niebie,
Codzień składał przy tobie, śpiewał ją dla ciebie,
A twe imie w jej nócie, acz cichej i skromnej,
Mógłby jeszcze powtorzyć za mną wiek potomny.
Zdoła tobie szczęśliwszy nieść dostatków więcej
Ale zdołaż ode mnie kochać cię goręcej?
Poznaż on twoją wartość, oceni zalety,
Uczciż duszę Anioła pod wdziękiem kobiety?
Biada, biada! kto miłość śmie kruszcem zamienić
Depcąc skarby co nie chciał, lub nie mógł ocenić;
Lecz zguba nieszczęśliwszym gdy chciwemi usty,
Złotą czarą znęceni jad spełnią Lokusty;
On ich życie truć będzie im dłużej, tem srożej,
Czas te rany policzy, zgoić nie pomoże;
Jęknie serce i zmija żalu się ocuci,
Żądłem skinie na przeszłość lecz ją nie powróci!...

O bodaj nie doznali nigdy równej doli,
Których smutna uległość swej mieć nie śmie woli
Co wiarą źle pojętą, goniąc na cierpienia
Z własnej winy stworzyli winę przeznaczenia!..

Tak wracam marzyć codzień, gdzie ta ustroń głucha,
Gdzie wróg mię nie wyśledzi, natręt nie podsłucha,
Codzień tu przypominam jej słowa i wdzięki,
Łącząc z szumem tych gajow echo mej piosenki;
Nieraz siedzę w ich cieniu, oparty na dłonie
A gdy myśl, jak kotwica w przyszłości utonie,
Chciwy zgadnąć me losy w jej nurzam się fale
Skarbiąc sercu najdroższe perły i korale;
I gwiazdzistych jej ziaren czarujące blaski,
Tak snuję do miłości ponętnej przepaski,
Jak gdybym od mej lubej wziął wyraz najtkliwszy
Jakbym został jej wdziękow jeniec najszczęśliwszy.

Snie marny! co mej wiosny trujesz dnie i noce
Co mi niesiesz z twych kwiatów tak gorzkie owoce,
Gdy goniąc myśl namiętną przez twe płonne kraje,
Ocykam się na jęki, by cierpieć powstaję,
O bodaj twój mię powab nigdy nie ułudził
Nie usypiał nadzieją, rospaczą nie budził.

# EDEN.

## Śpiew Fakira.

*(Z poematu: Olga Chocimska.)*

Gdzie świat się kończy, a wieczność zaczyna,
Między przybytkiem Boga i człowieka,
Jest lepsze życie, piękniejsza kraina,
Od naszej ziemi daleka.
To Eden, czelne dzieło Wszechmocnego dłoni,
Dla nagrody wybranym, uchrona oddzielna,
W niej się zbrodniarz nie pastwi, prawy łzę nie roni,
Po doświertnej niedoli, dola nieśmiertelna.
Tam znajdziem błogi nocleg po znojnej podróży,
Najeżonej cierniami doczesnego bytu,
Tam się wiecznie rozrzuca kwiat powonnej róży.
Pod wiosenną oponą jasnego błękitu.
Przez nędze, troski, cierpienie,
Tam, tam śpieszcie bracia moi,
Kędy dziewic rajskich pienie,
Zachwycone serce poi.

Tam śpieszcie, bo nad serbet słodsze te dziewice
Z wieków w wieki wciąż piękne, ledwo na rozwiciu,
Płonące lubą żądzą Hury jasnolice,
Na swém łonie was uśpią, w nieskończoném życiu
A nic tak wdzięczne gaje dolin Kaszemiru,
Nie tak błyskiem czarownym lśni gwiazda elmazu (*).
Odziany winoroślą luby kraj Salgiru
I nadeń ulubieńsze dziewice Kaukazu
Tak wdzięczne owe ustronie,
Gdzie rzezwiący maju ranek
Rubinową zorzą płonie,
Jak usta rajskich kochanek.
Gdzie szemrze lekka palma u zdrojow kąpieli
I warkoczem zielonym ich łoże ocienia
Tam rzucona lubieżnie na kwiatow poscieli
Szle wybranym Proroka dziewicze westchnienia....
Lecz ten ją tylko uściśnie,
Kto przeniesie życia słoty,
Walcząc dotrwa, aż zabłyśnie,
Nowego bytu dzień złoty;
Ten wyzwie miłość z jej oka,
Temu miękkie poda ramie,
Kto tu, w myśl księgi Proroka,
Potęgę Dżaura przełamie
Po tej zdobyczy,
Tam, na jej łonie,
W morzu słodyczy
Utonie....

(*) Diament.

Mniej wdzięczne przebacz Chanie, twoje dziś kochanki,
Czarnobrewe Rusinki i Lechickie branki,
Czarujące, zalotne, choć ich postać miła,
Chociaż młodość je karmi a piękność powiła;
Mniej wdzięczne, bo czas rządzi ich wdziękiem i niemi
A jak więdnie hiacynt w polach Kandaharu,
Chłodem burzy jesiennej i letniego skwaru,
Tak ich krasa uwiędnie z kwiaty różanemi
Lecz nie mija temu wiosna,
Kogo Allah w dżennet (*) mieści,
Kogo dziewica miłośna,
W roskoszy łożu upieści.
Tam go wiecznie oświecą jej ponętne oczy,
Dłoń powolna pieszczotom, w jego spocznie dłoni,
Jemu bielszą nad śniegi z pod ciemnych warkoczy,
Jak xiężyc z za obłoku, pierś swoją wysłoni
A ten, nieziemną uściśnie,
Kto przeniesie życia słoty,
Walcząc dotrwa aż zabłyśnie
Nowego życia dzień złoty.
Płyńmy więc stale, ufnie, nim dójdziem ostoi,
Przez krwawe dżaurow morze, za twym żaglem Chanie
Bo temu, kto się wiarą i cnotą uzbroi,
Temu tylko wylecą Hury na spotkanie;
Nie spełni tam słodyczy, kto tu nie pił jadu,
Ani się tam rozśmieje, kto tu łez nie roni;
Ocean wrzących piasków, nim zdrój Firuzbadu
Orzeźwi, sny wędrowca swą palmą osłoni,

(*) Dżennet, rajskie ogrody podług Mahometa.

A więc mężnie wciąż tej ziemi,
Do tych błogich krain świata,
Gdzie ty gonisz z wybranemi
I gdzie duch mój dziś ulata!...

## DZIESIĘĆ PRZYKAZAŃ.

Gdyś siebie, Panie w naocznym obrazie
Zjawił mężowi, co lud twój przewodził,
Dałeś twe prawo na Synajskim głazie,
Pod strażą jego by się człek odrodził;
Dziesięć prawd wówczas, wyrzekło twe Bóstwo,
Na mnóstwo wieków i narodów mnóstwo,
Na całą ludzkość i na przyszłość całą
I na to wszystko, co ze «stań się!" — stało....
Dziesięć ich tylko: a każde tak święte,
Jak wszystko, w twojej mądrości poczęte;
Tak krótkie, jasne, tak dobrocią tchnące
Jak Twoja łaska, na światów tysiące....
Znając tę drogę do niebios podwoi,
Ach czemuż codzień, po modlitwie Twojej,
Gdy je powtarzam, święcę i rozumiem
Czemuż ja, słaby, dotrwać im nie umiem!
Rozumiem, święcę, władzą tego tchnienia,
Któreś wlał we mnie na Twej chwały podział;

Mnie, twój najświętszy zatlił blask promienia,
Mnie, coś na walkę tą gliną przyodział:
Twój gdy zwyciężę, gdy upadnę — biada!
Tak chcesz, tak rzekłeś, tak wiara powiada.
Wiem, zgubi rospacz, lub zbawi zwycięztwo,
Lecz, kiedy wrogom ducha nie wystarczę,
Pozwol gdy siły upadną lub męstwo,
Skryć się za twego miłosierdzia tarczę;
Coś iskrę prawdy rzucił w błędu ciemnie,
Coś zło i dobro tak połączył we mnie.....
Piérwszy twój przykaz, o Boże! przed tobą
Nie mieć bóstw cudzych, ja dochowam święcie.
Wyznać cię w Tróycy, i Jednym osobą,
Na tamto wiarę na to mam pojęcie,
Wolę, na wszystko, bo jakem rozumny,
Mieć prócz ciebie nad sobą, nie śmiem, nie chcę, dumny,
Drugi i trzeci przykaz, czwarty, piąty,
Szósty i siódmy, ósmy i dziesiąty,
Tak boskie w Niebie, tak ludzkie na ziemi,
Słowem i dziełem chcę spełnić z wiernemi;
Chcę, a gdy chęci moj upadek splami,
Pozwól, tę plamę, niech omyję łzami;
Boś rzekł: dość na to kropli kornej łezki,
Nim będziesz sędzią, nasz Ojcze niebieski!
Lecz twe dziewiąte, Twórco, Sędzio, Panie!
Gdy go wymawiam, tonę w nieprzytomność,
Ach, to dziewiąte, Boskie przykazanie,
Jakże mą trapi ułomność!!!
Z bliźnim, jak z bratem, ja stanę pospołu,
Bronić i wspierać i mieć go na pieczy;

Nie dotknę jego ni osła, ni wołu,
Ni domu, ni żadnej rzeczy.....
Lecz gdy mnie wolno czuć, myśleć, oglądać,
Mogęż, ach mogęż, nawet nie pożądać?...
Cóż nada walka, gdy duch w ziemnej zbroi,
Pierwszym tej walki ciosom nie dostoi.
Lecz każesz, walczę.... Tyś mej chęci świadek,
Broń — a gdy padnę, przepuść mój upadek;
Nie karz mię w gniewie, o jakeś litościw!
Coś w zlepek błota wcielił treść nieziemną,
Biję w pierś grzeszną: Boże, bądź miłościw!
Ojcze, miej łaskę nade mną!...

# DO HALINY.

Eheu! fugaces labuntur anni.
*Hor.*

Minęła wiosna, jak mija życie,
Gdzież róża, słowik, jej gońce?
Oh na tak ciemnym niebios błękicie,
Dawnoż jaśniało to słońce,
Co ledwo błyśnie z za chmur obwodu,
Znów się gdzieś straci, zabłąka;
Nie brzmi o wschodzie ni u zachodu,
Hymn mu, jak niegdyś, skowronka,
Dziś gaj i łąka w ciężkiej żałobie,
Tak przedtem wonna a strojna!
Przyroda milknie w zakrzepłym grobie,
Blada i martwo-spokojna.
Modre jezioro i co nurt leje
Potok i rzekę lod ścina,
Stoi bez ruchu choć zielenieje
Pod śnieżnym płaszczem jedlina.

Dziś przejdziesz tylko wędrowca śladem,
Gdzie niegdzie widnym z zamieci,
A przemknie chyba wilk głodnėm stadem,
Lub cietrzew drogę przeleci.
Patrz, mrozną zorzą, jak ten słup szary
Wzbija się, w górę ucieka;
Co wznosić zda się, z dymem ofiary,
Modlitwę Bogu człowieka!....

Ta zimna tęsknia w każdym widoku,
Ta martwość w każdym żywiole,
Czyjejże duszy, sercu i oku,
Własną nie wrazi niedolę!..
Bo o przyrodę troskać się zbytnie,
Wiosna jej znowu powróci,
I las i pole znów tak zakwitnie,
Jak znów się na czas zasmuci.
Nic jej potężnej siły nie wstrzyma,
Tysiąc zim, wiosen, ją czeka,
Dumna Halino, wiosna i zima
Raz tylko mija dla człeka!
Nie zawsze będziesz porywać okiem,
Świetnieć w dni młodych zakresie;
Czas, co tak szybkim goni nas krokiem,
Na skrzydłach wdzięki uniesie.
Dziś się jak róża, twe usta śmieją,
Jak słońce, oko ci jaśnie,
Jutro, jak róża, usta zwiędnieją,
Jak słońce, oko przygaśnie.
Koniec... oh jego żelazną wolę,

Nikt żadną mocą nie zbędzie;
Próżne kadzidła, jęki a bole,
Modły i śpiewy łabędzie.
Nim zimnej czasu nie dotkniesz ręki,
Nim twe triumfy policzy,
Śpiesz jakby cudem słynące wdzięki,
Ustroić w wieńce zdobyczy,
Pijąc z młodzieńczych roskosz co chwilę,
Mgnienia cukrując w godzinie.....
Lecz mię Halina słucha niemile,
Ckliwą, ma piosnka, Halinie,
I tak dowolna dumna w swej krasie,
Gotowa stąpić za przedział,
Co jej przypomni, może po czasie,
Żem smutną prawdę powiedział.

# GRECZYNKA.

## NA ODJAZD XIĘŻNY Z. K. DO GRECII W 1831 r.

Gdy wieńczona gwiazd gromadą,
Lampo nocy świecisz blado,
O cóż milszego nad ciebie
Wówczas na ziemi i Niebie!
Choć w okrąg tłum świateł liczę,
Okola mię zmrok ponury,
Nim ty, jak łabędź, z za chmury,
Wdzięczne wysłonisz oblicze.

Tak poznaję w dziewic gronie,
Choć się niemi piękność szczyci,
Greczynkę o śnieżném łonie
I o tej wiotkiej kibici.
Palące, jasne jej oczy,
Jak niebo, pod którém żyje
A czarne, jak splot warkoczy,

Gdy niemi podniosłe czoło
Dwakroć i trzykroć w około
Wężem pokusy obwije....
Nie z róży pieszczącej oko,
Ona z lauru nosi wieniec;
Zbroczony wroga posoką
Dzielny go zyszcze młodzieniec.
Pomsta ojców, matek, braci,
Do jej serca tor jedyny,
Tej, co w Heleny postaci,
Karmi duszę Bobeliny...
Wracaj dziewico szczęśliwa,
Wracaj na łono tej ziemi,
Kędy cię serce przyzywa
I matka z braćmi twojemi:
Nim ósme zabłyśnie zorze
Na jasném niebie Hellady,
Ucisz się, ucisz o morze;
Błagam was siostry boginie,
Skryjcie się dżdżyste Plejady
A wy z Polluxem Kastorze,
Miejcie w opiece ją swojej,
Niech mi bezpieczna dopłynie,
Na brzeg rodzinny zawinie
Aż tam, w Metońskiej ostoi,
Aż tam, gdzie Nais Eurota
Świętym ją zdrojem upoi,
Gdzie miłość kraju tak zbroi
W żelazne ramie Majnota.
O córo wolnej krainy

Nawałą wspomnień wezbranej,
Z tygrysa paszczy wyrwanej
Zaszczep tam nowe wawrzyny;
Wygnaniec z domu rodziny
Z pod zimnych niebios wychodzień,
Wyrzucony z własnych progów,
Choć nie przestępca, nie zbrodzień,
Przyjdzie, może, czcić twych Bogów,
Idry, Majny, Salaminy!
I w Dodony świętym lesie
Paroski ołtarz im wzniesie;
Tempejską różą uwdzięczy,
Majnotskim oćmi cyprysem,
Ateńskim laurem owieńczy,
Scytyjskim splami podpisem.

# WIDZENIE.

## Do J. P.

Wróciłem od ciebie wczora,
Tak rozmarzon, trzezwy niby;
Była ciemna, słotna pora,
Deszcz w zamierzchłe bębnił szyby.

Drzemał w kącie pokojowy,
Głucho budząc senne miasto,
Wybił zegar ratuszowy
Trzy kwadranse na dwónastą.

Ozwała się dwakroć na nie,
Straża kramów pantoflowa,
I dalekie psów szczekanie
I.... zasnęło wszystko znowa.

Lecz nie spał jeszcze poeta,
Bo poziewać przy kominku,

Drzemać z piórem, ta dieta
Nie należy do spoczynku.

A więc, co za cztery złote
Dziewczę z Pertu zakupiłem,
Nota bene, Walter Skotta,
Nie rozciąwszy położyłem.

Nie chcę, nudna. Chodzę, myślę:
O Deju (*), koniach, miłości,
I o wszystkiém głębiej, ściślej,
I o niczém w szczególności.

Jużem przebiegł do połowy
Pstry, marzeń, wspomnienia rynek,
Jużem przejrzał, z nog do głowy,
I brunetek i blondynek;

Jęła się kleić powieka,
Gdym ostatnią z myśli tłumu
Wybrał, o szczęściu człowieka,
To nec plus ultra, rozumu.

Jak wielu straciło głowę,
Co błędną ścieszką omamień
Śledzili szczęścia osnowę,
Filozoficzny ów kamień.

Chcąc pić z tej czary uroku,
Wojownik go szukał w boju,
Kochanek w kochanki oku
Mędrzec w sumnienia pokoju.

---

(*) Pisano w 1830 r.

Od wieków z ziemi do nieba
Wrą jęki, modły bez końca,
Ten żebrze złota, ów chleba,
Tam wiatru, ciszy, chmur, słońca.

Kłamiąc ciągle głodne ciało,
Chciwość kurczy się i żali
Tak jest, tak dotąd bywało
A więc będzie i tak dalej.

Nie zwalczył Macedo świata,
Krez wszystkie skarby nie zabrał;
Trucizna zdobycz Sokrata,
Boski Homer w wieńcu żebrał.

Losie, nadziejo, złudzenie,
Fałszywa wróżko niemocy....
Stań się stało! — prysły cienie,
Spadła czarna szata nocy.

Patrzcie! schodzi z niebios toni
Bóstwo, widzę nieomamion,
W słonecznym wieńcu na skroni,
Płaszcz modry wieje mu z ramion.

Śnieżnym pławione obłokiem,
Śród brzmienia, śpiewu i woni,
Śmiejącém się strzela okiem
I dolę sypie ze dłoni.

Ledwo zbliżone do ziemi,
Zrównało pany i sługi;
Rzeki się nurty mlecznemi,
Różami stroją się smugi.

Skruszyło zbroje a kordy,
Rdzą szpecą lemiesz i radło,
Zaklęło kłótnie i mordy,
Złoto skróś ziemię przepadło.

Pod basłem miru i zgody,
Ze świętych uczuć ofiarą,
Zlały się w jedność narody
Pod wspólném prawem i wiarą.

Jak dnieją zorze ze świtem,
Tak wiecznie, błogo zadniało,
Tak jasnym niebo błękitem
Całą tam ziemię odziało.

Czas ciągłym wdzięczy się majem,
Bez spieki letniej syt plonem;
Bryznęły deszcze tokajem,
Czerwienią zdroje burgonem.

I na końce świata cztery,
Przez cztery ziemne żywioły
Płyną Rodszylda dessery,
Karema piętrzą się stoły.

Cukrowe pianki i ciasta
Rosną w baszty niewidomie;
Pożarem całego miasta
Pali się pudding na romie.

A w miąższym cieniu gęstwiny,
Zroszone poranku łzami,
Pomarańcze i cytryny
Złotemi lśnią się gwiazdami.

To po jazminach krynica
Sączy wody kryształowe;
Tu nóci słowik dziewica,
Tam szumią gaje mirtowe.

I grają liście z wiatrami,
Gdy balsam z palmowych wianków,
Srebrnemi zlewa kroplami
Różową pościel kochanków......

Równość.... ach, ach... stań się stało!
Patrzę, wyżeł kota gniecie,
I dobrze już rozedniało
Gdym się ocknął znów na świecie...

## DO ODMAWIAJĄCEJ PROŹBIE O NIEZABĄDŹ.

Ty odmawiasz pamiątki, niechętnym wyrazem,
Przesądże w tém, pogardy czy skromności maska?
Jam się jeńcem zaprzysiągł przed twoim obrazem,
Droższyż ci od tych ofiar kwiatek lub przepaska?
Kwiat nie zwiększy tam ustroje,
Gdzie się młodość wdziękiem szczyci,
Ni szarfy namiętne zwoje,
Tak lgnące do twej kibici.
Ha, ty dumną nie jesteś, widać ze spójrzenia,
Co wynurza twe serce przez uśmiech i mowę,
Ani może ta skromność, choć cię opromienia
Wzbraniać mi daru twego na szczęścia osnowę.
Więc przesąd? — zdradza rumieniec:
„Gdy tłum tajemnic na świecie,
„Choć nie wierzę, mówią przecie,
„Że niezabądź zrywa wieniec...."
Nie wierz luba, szkodliwym jest tylko dar wroga,
Padli jego ofiarą i nieszczęsnym wzorem,

Niegdyś, Ajax zuchwały z potężnym Hektorem,
Lecz niezabądź miłości święci się u Boga.
On jeńcom jej błogosławi
I z rozwartej niebios sieni
W ich się wyznaniu objawi,
Nad ich zachwytem przemieni. . . .
Tak niegdyś, radząc z sobą, za słowa wybrzmieniem
Rzucił światów ciężary na przestrzeń bez końca,
Ogrzał je treścią swoją, miłości promieniem,
A ten promień ich bryły przetopił na słońca;
A te słońca, gdy z siebie, wieczne ognie leją,
Strojąc lasy zielenią, ciągnąc owoc z kwiatów,
Tchną życiem na przyrodę, szczęściem i nadzieją,
Są okiem Opatrzności, miłością dla światow;
Bo ta miłość, skrzydłami wiejąca złotemi,
Gdy grzeje zimny zarod, pieści i ocienia;
Zarod przyjął jej tchnienia usty młodzieńczemi
Sławiąc przez nią wcielenie Stwórcy do stworzenia,
I zabrzmiał hymn dziękczynny chwałą, z końca w koniec,
Z przed aż do wieków ostatka:
Że pierwszym gońcem Boga, był miłości goniec,
Ta pierwsza córa twórcy, pierwsza tworów matka.
Lecz cię może uśpiły te Platońskie dziwy;
Ciebie, coś zdolna korzyć i kornym królować,
Gdybym został nauczać zdolny i szczęśliwy,
Uczyłbym cię jak kochać, a nie rozumować.
Oh zaprawdę, uczuciem serce przepełnione,
Za uścisk odda życie, za pierścień koronę.
Ale ja niemam korony,
Ni bogactw strojących dumnic,

Tylko złote z niw mych plony
I me nadzieje sprawdź u mnie,
Skromną przyszłość, dobre imie,
Co go z twojém w dań miłości,
Wplotę do wieńca w mym rymie
I poszlę do potomności....
To ma własność jedyna, gdy ją tobie święcę,
Oddaję co mam wszystko, dadź nie mogąc więcej,
A ty, luba, skąpisz dla mnie,
Jednej szarfy, kwiatu z wianka;
On by mnie cię stokroć najmniej
Wspomniał od ranka do ranka.
Lecz gdy przesąd czy skromność wbrew modłom mym staje
Przepuść, błagam, okradłem cię pani, wyznaję,
Jak próżną była czujność, będą niepokoje,
Porwałem na niezabądź droższe skarby twoje.
Z taką chciwością, pośpiechem,
Tak namiętnie, pożądliwie,
Że jeśli kradzież ta grzechem,
Któż kiedy grzeszył szczęśliwiej!...
Od zjadliwej potwarzy, od zazdrości oka,
W miejscu znaném mnie tylko, zmogłem je umieścić.
Dzień natrętnie ciekawy, więc gdy noc głęboka
Uśpi świadki, ja lecę z niémi się napieścić.
Skradam się, staję u kresu,
Myśl rozmarzam, łechcę, poję,
Aż jak przez wpływy magnesu
Z marzeń świat cudow wyroję.
O bodaj to bez przebudzeń,
Spełniać ambrę tych uludzeń,

Bydź tak świetnie błogo-wiecznym,
Jak Cherub, w płaszczu słonecznym!...
Któż wówczas zdąży za mną, kto mnie tor zakryśli?..
Gdy natchnieniem owiany, pół-ziemny, pół w niebie,
Brylantowym kluczem myśli,
Odmykam, wchodzę sam w siebie....
Sledź za mną, wszak te skarby wykradłem u ciebie
Od czasu ich porwania, noszę, tu, przy sobie,
W sercu mojém, w tej żywej urnie do ukrycia,
Gdzie je świeżo zachowam aż do końca życia,
A potem.... potem z urną, w moim zamknę grobie.—
Patrzmy, lecz myśli wzrokiem, tu wspomnienia same,
Zbyt niechętne wyrazom, zbyt ciemne dla oka;
Więc je zważmy jak śledzą widok w kosmoramie,
Wenecii, Kairu, Aten lub Tiwoli,
Podrobnie, chciwie, powoli,
Ukryci od natrętów, gdzie cichość głęboka.—
Obraz piérwszy— To właśnie chwila jej poznania.
Jak ta chwila znać piękną była całej ziemi!
Patrz na zachod, co płonie wstęgi różowemi,
Słońce, paląc ostatni promień pożegnania,
Zdaje się nim wpatrywać w twarz ciemnących światów,
A przyroda, wonią kwiatów,
Poi odzież zieloną letniego wieczora....
Poznać miłą, o kiedyż była milszą pora!
Ach w tej chwili ją poznałem,
Od tej chwili ukochałem...
Ledwo szelest przez podwoje
Dał echo jej objawienia,
Jeden wyraz... pół-spójrzenia....

I straciłem wolą moję.
Tak sokoł, z strefy Niebios zwija żagle skrzydeł,
Goni zdobycz i pada zdobyczą u sideł.
Będzież równy upadek moją wieczną zgubą?...
Choć będzie, w zgubie nawet, moją wieczną chlubą;
Bo czy ją tu oceniam zbyt drogo lub tanio,
Jedno wyda spójrzenie,— niewierny, patrz na nią....
Lecz czemuż zamyślenie omgliło te lica?
Groźna cichość przed burzą, martwa w jej ustanku....
Czemuż, zda się, łez pragnąć ta smętna zrzenica,
Mogłaż je wylać z pełna, w tak wczesnym dni ranku
Mogłaż stać już u kolei,
Gdzie gorzknie roskosz z dosyta,
A z nasion róż i nadziei,
Cierniowy wieniec wykwita?...
Nie sądzę... lecz jej postać, jak widok świątyni,
Czczącej bóstwo Hellady w mirtowym ogrodzie,
Gdy uragan z Afryckiej wezbrany pustyni,
Zazdroszcząc jej pokoju uderzy w przechodzie.
Wstrząśnie, zachwieje z posady,
Lecz gdy zwalić nie podoła,
Tłukąc o słabsze zawady,
Runie drzwiami i skłóci zacisze kościoła.
Zmiecie kadzidła, rozleje wonie,
Skruszy naczynia ofiarne
I syty klęską, ku innej stronie,
Zwróci swawole bezkarne,
Patrz wówczas, choć przybytku jeszcze pozor wdzięczny,
Lecz wewnątrz nie tak było przed burzy napadem,
Też i skarby a świecą zamgłone nieładem.

Jak świeci po dniu jasnym, blask nocy miesięcznej...
Zmieńmy obraz i wrażenie:
Półdzień, słońce oblało skwarem przyrodzenie.
Nakazała przejazdkę, któżby nieśmiał żądać,
Śledzić za nią, choć chwilkę dłużej ją oglądać.
W rząd pojazdy, kołujem przez chropawą drogę,
Jak żółwie, nogę za nogę.—
Cóż znowu,—pojazd piérwszy wstrzymał wszystkie razem
Chcą znać przejść się, nadbiegam, «wody" szepcą w tłumie;
Postrzegłem ją siedzącą na darniu w ich kole,
Zlała skronie i uśmiech wybłysnął na czole,
A była tak omdlałą... szczęśliwy kto umie
Różnić z twarzy mdłość ciała od troski cierpienia;
Gdy piérwszą tłum dostrzeże, tę rzadki ocenia;
A gdzie domysł, stem wniosków, w dziwoląg się skryśla,
Jeden, często błąd spędza, przyczyn się domyśla.
Tak do głazu, dłotem wbita,
Myśl przedwieczna śpi ukryta,
Tysiąc jej głoski zlicza nim jeden wyczyta.
Gdyby zostać tym jednym, jakbym chciwie czytał!—
Jej nieśmiałem, więc świadki gdym o powod pytał,
Rzekli, «może od wstrząśnienia,
„Z przelęknienia, z osłabienia."
«Nie są z resztą tak dziwne te mdłości w kobiecie."
Jakże marnie myślałem, człek patrzy po świecie!
Gdy widzi same tylko, krwią płynące rany
I tylko cios maczugą lub stalą zadany;
Lecz, zważmy, wszak on mówi «od wstrząśnienia może."
A natręt, lecząc serce, tém go wstrząsa srożej,
Co doń przekąs lub morał, tak ulgnie, przekona

Jak do skroń męczennika, cierniowa korona.
Oh czemuż się wylewam w te smutne wyrazy,
Zawszeż piosnce mej trzeba, choć brzmienia boleści,
Zbyt widać łez i cierpień spełniłem z jej treści,
Gdy jaśniejsze mej doli zachmurza obrazy.
Tak jeniec, gdy mu zdejmą długoletnie pęta,
Pierwszym słońcem uderzon dotrwać mu niezdolny,
A choć uciekł katuszom, szczęśliwieje wolny,
Lecz długo, długo jeszcze swą nędzę pamięta.
Ani go los nadzieją pewną ukołysze,
Ni on kiedy polegnie na niezmienną dolę,
Bo mu przyszłość nie zetrze, co przeszłość zapisze
Żółcią swoją zjadliwą na sercu i czole.
        Sam czas, tych głosek nie zgładzi,
        Pałających, jak owe z Baltazara ściany,
A choć uśnie szczęśliwy, jeszcze sen go zdradzi,
Wlokąc na śmierć, w zwodnicze krępując kajdany.
Obraz jeszcze... lecz tego nie skreślę obrazu,
Czuć go można jak czuję, ale w ludzkiej mowie
Niema jego odcieniom barwy i wyrazu;
O czém marzę natchniony, świat miłością zowie,
        Lecz roskoszą tej miłości,
        Choćbym spełniał do wieczności,
Jak dość się nie nasycę, dość jej nie wysłowię,
        Bo gdy z woli Przeznaczenia
Stał się człowiek, czém wprzódy była martwa glina,
On, miłość skradł u niebios, lecz nie mógł jej brzmienia
I jej notę pochwycić z arfy Serafina.
Ztąd właśnie, Anioł tylko wyśpiewać to zdolny,
W jasną chwilę zeznania co się działo ze mną,

Gdy przez wyraz rozprzęgły, drżący, poniewolny,
Śmiałem zgłębiać o sobie, twoją myśl tajemną.
Nikt dowolniej, rozmyślniej nie upadał jeńcem,
Nikt się nigdy nie uniosł w słodsze zachwycenie,
Kiedy z rysów natchnionym oblanych rumieńcem,
Brzmiało pierwszą nadzieją twe lube milczenie...
Szczęśliwi! waszym odtąd ja nie zajrzę losom,
Są jeszcze... lecz te skarby, ceny wam nieznanej,
A wiadome jedynie, jej, mnie i niebiosom,
A nigdy myśli o nich, w słowa nie odzianę.
Bo słowo dziecię ziemi, myśl, w niebie poczęta,
Myśl dziewicza, jak ona, jak ona, mnie święta.

## Do.....

O dość mnie jeszcze, choć tylem stracił,
Przez ostre z losem zatargi;
Ani też z pełna on się wzbogacił,
Gdy nie mógł wydarć mej skargi,
A karcąc nadto, po całej stracie
Dziw głupca, mędrka przestrogę,
Wolnemu od nich, samże tu, bracie,
Chcesz mnie, ostatni, zajść drogę?
Nie śledź w tém sercu, jeszcze dla ciebie
Świętej, bydź może, ruinie,
Zkąd nic, lub tylko chęć twa wygrzebie
Rozbite doli naczynie.
Uczcij te zgliszcza, zwikłaj doń ślady,
Niech tu, co wszystko wziąć łaknie,
Złości, walącéj w przepaść z posady
Choć tego łupu zabraknie.
Niedość żem jeszcze skrył się głęboko,
Gdy mię twa śledzi źrzenica,

Zdradzaż przed tobą łza, moje oko,
Albo niepokoj, te lica?
Bo gdzież, łza świadek, rana co boli,
Gdzież pocisk utkwiony we mnie?
A żem niechciwy szczęśliwszej doli,
Nie zbadasz, nie śledź daremnie.
Nie trułem skargą wasze biesiady
Więc któż ci władzę mógł nadadź,
Że się dziś łącząc do *ich* gromady,
Pragniesz mię leczyć, spowiadać,
Może zbyt poźno, albo niewcześnie,
Z nawały wspomnień, w obawie,
Niewieście żale wyjąkłem we śnie
Lub słowo zgrozy na jawie;
Lecz w obec ludzi, w żadnej potrzebie
W żadnej nie dałem ich stracie,
I tak mą boleść chowam u siebie,
Jak wy swą radość chowacie.
Mniejże chwil od was trawię wesoło,
Że twa mnie przyjaźń źle marzy,
Także mnie smutek wybił na czoło,
Lub żółć boleści na twarzy?
Dziecko! w twej duszy świeżej, młodzieńczej,
Nie lęgnie jeszcze trosk zmija,
Wychodzisz na świat, tak kwiat się wdzięczy
I pączki słońcu rozwija.
Świat... Ty go poznasz, lecz z marzeń budzić
I gorszyć jego cię złością,
Jak nie chcę marnem dziwactwem nudzić,
Nie straszę jego miłością.

Ciosy co trują, rażą i dręczą,
W łonie przyszłości twej drzymią
Którą dziś witasz przymierza tęczą
Pomiędzy niebem a ziemią.
I tak bezpiecznie, szczerze, do świata
Przyjazne ściągasz ramiona,
Jak irys ciemną chmurę oplata,
Jak ufność, z wężem u łona...
Cofnij więc modłę bydź jej powolnym,
Nie śmiem, nie ważę się zgodzić;
Jedno rozgrzeszyć nie będziesz zdolnym,
Drugie nie zdołasz nagrodzić,
Tamto nie pojmiesz, bo na twe lata,
Bo dla twej wiosny kielicha,
Nadzieja świeże wieńce zaplata
I słońce milej uśmiecha.
O bądź mnie takim przez wieki, zawsze,
Pij złotą czarą z twej doli,
I niech ci niebo szczerzej łaskawsze,
Tak lubo marzyć dozwoli.
Dla mnie dość będzie w lepsze dni moje,
Nad twoją czuwać koleją,
Ważyć sny twoje, marzenia twoje,
Cieszyć się twoją nadzieją.
A jak gwar cudzy wtórzy to echo,
Śledząc choć martwe głos żywy,
Tak cudzą jeszcze sycon pociechą,
Twym szczęściem będę szczęśliwy.

# OWIDIOPOL.

Od wieszcza Rzymu liczy swe dzieje
Nędzna mieścino twe imie,
A szydząc, marne wikła nadzieje
Omyla kroki pielgrzymie.
Co przyszedł ze mną od granic lodu
Nie po Stambulskie to szale,
Ani po wonne kadzidła wschodu,
Birmuckie perły, korale;
Ale, za słodszą nad twoje wina,
Za rzewnych wspomnień namową,
Z grobu poety i Rzymianina
Uszczkwić gałązkę laurową.
W odludnym gaju moru i topoli
Z pamięcią jego pogościć,
Spójrzeć na miejsca wielkiej niedoli
I większej sławie zazdrościć....

Lecz gdzież choć ślady owych pamiątek?
Gdy badam okiem i słowy,

Gdzież choć ubogiej spuścizny szczątek,
Kamień Nazona grobowy?
Próżno te miejsca pytam ciekawy
Zamglone w jego tu śpiewie,
Gdzie legło tyle nędzy i sławy;
Czas to zapomniał, gmin nie wie;
Gdy dziejów snadniej kłamiące usta
I karta z góry przedana,
Poświęca wiekom pamięć Augusta,
Łaskawcą mieniąc tyrana,
Jak wiele wówczas kryje noc ciemna,
Jak wielu dotknął jej palec,
Których zabija przemoc nikczemna,
Grzebie dziejopis-służalec....
Lecz co nie dźwignie dłóto i farby,
Co pióro dziejów ominie,
Wieść nieprzedajna jeszcze te skarby
Odgrzebie w wieków ruinie.
I na tysiączne rozrosła echo,
W tysiącznej nócie i mowie,
Zaśpiewa o nich w gmachu, pod strzechą,
Na wieki wieków opowie.
A wieniec świetną promienny chwałą
Dźwignie nad padoł wysoko,
Wyżej jak zawiść nie sięgnie strzałą
Nie dojrzy głupca myśl, oko.
Wówczas duch wieszcza w hymny weselne
Zabrzmi, gwar ziemny przytłumi
I nad koleje, losy śmiertelne,
Wiecznym polotem zaszumi!

Twoje tu niegdyś błękitne fale,
Echa twych brzegów, Euxynie!
Wtórzyły lutni Auzońskiej żale,
W głuche roznosząc pustynie.
Tu, przybłąkany z północy krańca,
Dziką swą mową zadońską,
Podrzeznial sławne jęki wygnańca,
Scyta, żłopiący krew końską.
Tu gdzie go skazał władca niestały
Śmierć mu wsączyła do blizny,
Od Sauromackiej zjadliwszą strzały
Pamiątka zniklej ojczyzny.

O Mistrzu! twoje mię niegdyś, pienia
Świętym zatliły płomieniem;
Twoje, przez wieki płynące brzmienia
Z mojém się zlały natchnieniem.
Tyś mię najpierwszą żądzą zapłonił
Myśl stroić w szatę ponętną,
Gdyś jej dziewicze wdzięki odsłonił
I wstrząsnął duszą namiętną.
Wstrząsnął, zaronił iskrę niebieską,
Która za marzeń podmuchem
To lśni na oku tęsknicy łezką
To świeci natchnień wybuchem,
Lub mię ostrzega przez cię niestety!
Jak się z mamonem nie mierzyć
Jak dość nie ufać sercu kobiety
I względom pańskim nie wierzyć.

## SPOWIEDŹ POETY.

O jakże ciężko błąkać się po świecie,
Im dalej idę, gorzej coraz ze mną,
Z wyżyn Edenu spadłem na zamiecie,
Z wiecznego światła w tę pustynię ciemną.
Smagany gwarem wyrobniczej mowy;
Jak bez napisu ów kamień grobowy,
Damże zabyciu rozwiane marzenia?
Wychodzień Nieba, tułacz na tym zimnym globie,
    Wiodę byt mój z świata bogów,
Ich wspomnieniem natchniony, żadnegoż wspomnienia
    Nie będę żądał o sobie
    Od mych i braci i wrogów?

Był ranek, śniłem dolę tak błogi, szczęśliwy,
Odziany kwiatem życia — różaną młodością,
Spotkałem człeka, piękność i przyrody dziwy,
I stałem się już cały przyjaźnią, miłością....

A kochałem rad wszystko, co tylko Bóg stworzył,
Bez podejrzenia, bez granic,
Aż mię człowiek nie zdradził, grom niebios nie strwożył;
Trwoniącego uczucia i nadzieję na nic.

Miłość była szczęściem mojém,
Karmią, natchnieniem, żywiołem,
Paliłem się jej w ofiarę,
Aż zemdlony tym napojem,
W łożu roskoszy zasnąłem,
Ostatnią spełniwszy czarę....

Gdym się ocknął, był półdzień na niebie i we mnie,
Pierzchły marne widziadła, a jawnie zostało
Tylko boleść wspomnienia, potyrane ciało,
I to serce zranione, co woła daremnie...

Sen krótki, jego wszakże zwodnicze marzenia,
Błyszczące doli ponętą,
Jakąś mocą i jakąś wolą niepojętą,
Od roskoszy do natchnienia,
Od ułudy do ułudy
Nosiły mię w swej krainie.
Tom patrzył na niebios cudy
Jasném okiem Archanioła,
Tom spadał na morz głębinie;
Miotany żądzą zuchwałą;
Próżno czyha śmierć do koła,
Pierzchła, a jam doszedł śmiało,
Z potęgą duszy i czoła,
Tak wysoko tak głęboko,
Jak nie runie kotwica, nie dosięguie oko,

Jak rozum nie dogłębia i myśl nie dostrzela,
Byłem dalej od Rossa, wyżej od Herszela,
Byłem na pokładach ziemi,
Kutych ze złota, elmazów,
Tam noc wieczna, a jednak przed oczami memi
Płonęły szyby kruszców i krawędzie głazów,
Gdyby je choć raz słońcu wykazało piekło,
Półświataby się braci za ten łup wysiekło.
Wszedłem paszczą rozwartą śpiącego Drakona,
Bez piorunów Pizarra i czarów Jazona.
Bom tak widział daleko, tak czułem z daleka,
Jak z Niebios widać serce pod piersią człowieka.

Oh serce!... samymż tylko odkryte niebiosom,
Ten loch zbójczy, świątynia, skarbiec i katusza,
Co się czołga przed losem i panuje losom,
Gdzie gości Niebo, piekło, nasz rozum i dusza,
Gdzie się rodzą, tleją, palą
Żądze, pomysły, nadzieje,
Aż ognistą Hekli falą
Z nich się namiętność poleje....
Chytre węzły, ciężkie pęta,
Czarowne jego ogniwa.

Lecz ty zniesiesz to brzemię, istoto szczęśliwa!
Czyje serce nie żąda, nie cierpi, pamięta,
Czyje oko, jak kreta, cały wiek nocuje,
Nie widząc dnia uśmiechu, straty swej nie czuje,
On kocha, a kocha — siebie,
Bo więcej nie zna nikogo.

Prawda, on nie był w niebie, a byłemże w niebie,
Com za serca roskosze tak zapłacił drogo?

Pomnę... błogi śnie młodości!
Przy niej byłem szczęścia blisko,
Ach! jej imie i nazwisko,
Jak dziś, skarby jej wdzięków czuję, pomnę, widzę,
Opłacić je nic mogłem niczém, prócz miłości,
Jak niegdyś, dziś ją jeszcze kocham, nienawidzę,
Niepewny, byłaż Herą, Fryne, Odaliską?...

Gdym latał i po światach koczujących gościł,
Co jak iskry na modrém sklepieniu migocą,
Nigdym wówczas Cheruba skrzydłom nie zazdrościł,
Jak ognisty meteor, co błąka się nocą.
Tak na żaglu rączych skrzydeł
Duch gonił w nieznane strony,
Duch mój, wolny ciężaru i jego wędzideł,
W zachwyceniu zapomniał, że latał wcielony;
Młodość, jak szatą weselną,
W którą się radzi stroić kochanka, kochanek,
Obwiła go na chwilę w tę odzież śmiertelną,
Co ponika we mgnieniu, jak ich ślubny wianek,
Co jej urąga, złorzeczy,
Sumnienie, nasz sędzia-świadek,
I co ją plami, niweczy,
Czas, namiętność i przypadek,
Gdy potém, spójrzawszy na nię
Westchniesz, jak pan starej szaty,
Stroskany, że niebacznie błyszcząc nią przed laty,
Znosił prędko, a nową sprawić już nie w stanie.

Śniłem znów, znowum się łudził,
Lecz błogo, żem choć odeń w czas się tak przebudził:
Wojna... ona sto razy, ona tysiąc razy
Igrała mną w olbrzymie snując się obrazy.
Patrz, ostatni depcąc szczątek,
Gwałt się nad nim bestwi, pasie;
Aż dźwignął się kraj pamiątek,
Wnuk hełm dziadów przywdział na się,
Krwawą pomstę zapowiada,
Obiega wsie, gór wierzchy i zwaliska grodów,
To on, to mściciel z ich kości!
Grzmią niebiosa, błysnęło!.. i w trzykrotne biada
Zlało się echo narodów!...
Ach to obraz Helleńskiej sławy i wolności,
Drogi, kupić nie mogąc życiem go mém całém,
I nie widząc w nim siebie, jak dziecię płakałem.
Dla Marsa potężnych darów,
Nie dość żądzy i zamiarów,
Nie dość piersi mężnej, twardej,
Nie dość i życia pogardy;
Szczęśliwy, kto na sławę mógł zdolności użyć,
Wielki, kto chcąc panować, umiał wprzódy służyć,
Dzielny sokoł, cóż pocznie z swą potęgą świetną,
Gdy mu szpony zostawią, a skrzydła podetną?

Nowy sen, inna znowu obrazów odmiana,
Ciągnie się w stepach Dżeddy wschodnia karawana,
Skwarne słońce, i głodna pustynia dokoła....
Pójdęż gdzie żądza mię woła?

Pójdęż od mogił ojców, za rodzinny domek,
Na zgliszcza Persepolu, Balbeku obłomek,
Śledzić szczątki państw i tronów,
Liczyć groby Faraonów,
Bydź z Humboltem chmur wyżej, roślin, orła, ludzi?
Nie, to droga nie moja, daremnie tak łudzi.

Między mną a przyrodzeniem
Był jeszcze druh — pośrednik, tłumacz serca jęków,
Nie wiem, Anioł czy szatan, co go zwą natchnieniem,
Oczarował mą duszę potęgą swych dźwięków,
On mię z wyższym pomysłem zapoznał, oswoił,
On mnie swą arfę nastroił.
Jakem świętą roskoszą natchnął się, zapłonił,
Hymn pierwszy dawcy memu gdym w jej strony dzwonił,
Jak starannie, z jak wielkim radości zapałem,
Ów dar, mój skarb jedyny, strzegłem i chowałem!
Z nim byłem, w moje niegdyś najpiękniejsze lata,
Bogatszym i szczęśliwszym od całego świata.
Czemuż ze mną tak krótko, gdy tak mile gościł?
Jakże prędko czas drużbie naszej pozazdrościł,
I chmurą okrywszy ciemną,
Zwaśnił, rozłączył go ze mną!...

Dzisiaj w obce, w te smutne zagnany pustynie,
Mamże ja błogosławić tej czarnej godzinie?
Kiedym w pierwsze na ostrą niemoją wszedł drogę,
Którą skończyć nie zdołam, a rzucić nie mogę?

Gdym młodość, zdrowie, pokój, daleko wyprzedzał,
Druh stary, on mię nieraz pocieszał, odwiedzał,

I nieraz go dojrzałem, zbyt krótko niestety,
W burz gromie, wdzięku niebios, w spójrzeniu kobiety.

Nieraz, kiedy wódz biesiady
Porwał mię do swej gromady,
I śród wrzawy, śmiechu, gwarów,
Chytrych nie szczędził puharów,
Oczarowany ich winem,
Gdy nieraz gotów byłem wylać się przed gminem,
Jak stróż on stawał przede mną,
Wyjaśniał ducha noc ciemną,
I swém potężném skinieniem,
Znów zamykał me serce troską i milczeniem.

Teraz ostatni sen — jawa,
I ten obłąkał mię właśnie,
Jak nocny ognik, zdala co błysnąwszy gaśnie;
Ja — zbłąkany wędrowiec, a ten ognik — sława,
Co jak szatan w burzy mroku
Złudza przechodnia swym blaskiem;
W polu, za rzeczką, pod laskiem,
Patrz, tam i ówdzie mignęło...
Kto dójdzie, dotrzyma kroku,
Ten jeszcze ujrzy wschod słońca,
Lecz o jak wielu zginęło,
Niemocnych wytrwać do końca!
Wieluż doszło, któż porwał jej wieniec przed zgonem,
Czy się gwałcił ze Skottem, czy szalał z Byronem?
Gdy cię pedant, ciarlatan, lub gazeciarz lada,
I sądzi i potępia, karze i spowiada;

Spocznij Mistrzu, boś stworzył!— próżna radość, praca;
On ją splami, obrazy twoje powywraca,
Rozćwiartuje twe myśli, i w bezczelnej dumie
Pochwali się przed gminem, że cię nie rozumie...
Przed gminem, co niepewną błąkany koleją,
Rad, jak fala, tam płynie, gdzie wiatry powieją,
Co uwieńcza na oślep zwoleńce i wrogi,
Dziś buduje, a jutro obala swe bogi.
Sarkniesz nań, to się rzuci i potarga strony,
Zbledniesz, biada! Twój wówczas pomysł rozwieńczony,
Pójdzie na krzyż, ofiara zawiści przyjazna,
Smagana dzwonkiem głupca i grzechotką błazna.

*1858 r.*

# DUMANIA W CHOCIMIE.

Gasną zorze po za górą,
Dzień utonął w chmur powodzi;
Jakże tęskno a ponuro,
Xiężyc z za gaju wychodzi,
Wyszedł i czuwa wysoko,
Jak bezsenne nocy oko.

Promień jego w wodzie błyska,
I omszałe baszty kryje;
Między skały i urwiska
Dniestr błękitną wstęgę wije
I gdzieś we mgle niknie z szumem,
Jak Bóg wieczność przed rozumem....

Pływa tuman po dolinie,
A na górach drzemią lasy;
Lecz choć oko w ciemni ginie,
Myśl w umarłe goni czasy
I z ich grobu chwyta szczątek
Najdroższych dla się pamiątek.

W państwie nocy i milczenia,
Sam tu czuwam bez bojaźni,
Goniąc luby cień wspomnienia
Lekkiém skrzydłem wyobraźni,
I w marzeniu topię chwile,
Wsparty na wieków mogile.

Zkąd co wieczor, co poranek,
Zwał do modłów stróż meczetu,
Bluszcz na niemy wszedł krużganek,
W północ tylko z minaretu
Echu straży, budzon we śnie,
Wtórzy puszczyk tak boleśnie.

Tylko trzykroć gwar niepewny
Zmyla czaty i patrole,
Jękże to Greckiej Carewny (*)
Wtórzą skały, baszty, pole,
Czy złych duchów nocna rada
Szydząc, hasło odpowiada? (**).

I tylko z Podolskiej strony
Słychać głos rodzinnej mowy,

(*) Miejscowe podanie głosi, że jakaś Xiężniczka Olga, z rodu Cesarzów Greckich, pani na Chocimie, w czasie zagonu Tatarów, po zdobyciu przez nich zamku, ażeby uniknąć jassyru w haremie Hana, rzuciwszy się oknem do Dniestru, po dziś dzień nocą na nowiu xiężyca ma się wynurzać nad wodę. Dziwnie bydź miała piękną, że zaś dziwniej jeszcze była cienką, sam się przekonałem, ledwo głowę mogąc przesunąć przez to gotyckie wąskie okienko, dla zmierzenia wzrokiem przepaści skoku i stopnia odwagi czy rospaczy, tej heroiny — Westalki.

(**) Wołającemu szczególniej od strony starych koszar Tureckich w cichy poranek lub wieczor, złamane echo o mury, wąwoz i skały nadbrzeżne, dość wyraźnie odpowiada po trzykroć.

Cudzém echem podrzeźniony,
Tylko słowik u dąbrowy,
Co zarosła dawne szańce,
Nóci piosnkę swej kochance.

Okop własne zaległ rowy,
Mierzchnąc jako stara sława;
Dawno zasuł żwir Dniestrowy
Ślady mostów Władysława,
Nowsze tłumią przeszłe dzieje,
Fala falę tak zaleje.

Gdzie te baszty śpią w ostatnie,
Sterczą kości z pod kurhanów,
Sześć tu wieków orły bratnie
Krwią się pasły bisurmanów;
Tu wygrzmiały wrogów bicze,
Sobiescy i Chodkiewicze.

Tu żelazna pierś na mordy,
U rodzinnej ziemi krańców,
Płosząc tłumne, wściekłe hordy,
Zgubę niosła dla pohańców,
Tu, gdzie budząc ze snu cisze,
Wiatr dziś tylko chwast kołysze.

Patrz na wzgórza tej równiny,
Na te naspy śród padołów,
To pradziadów naszych syny,
Wzrosłe ze krwi i popiołów,
Stróże mogił ich od wieka,
Świadki zmiennej doli człeka!

Cyprys czoła im nie kryje,
Choć pomnik zasług nie święci,
Lecz ich sława u nas żyje
W sercu, w dziejach i pamięci;
Westchnie ziomek, obcy wspomni,
Potomnym rzekną potomni!...

Męże! gdzie wasz duch ulata,
Wyczytajcie z losów xięgi,
Że niema szczęścia dla świata,
Jak niema wiecznej potęgi;
Z ruin grodów wstają grody,
Wieki, berła i narody.

Gdzie miecz, ogień, łzy i pęta,
Niósł dumny czciciel koranu,
Już ta ziemia krwią przejęta,
Innemu dziś kwitnie panu;
Dniestr bezpieczne rosząc łany,
Przestał poić bisurmany.

Rażąc gromem i postrachem,
Wzbił się ptaków król dwógłowy (*),
I nad Hemu pływa gmachem,
Jakby gieniusz grobowy,
Czarném skrzydłem się roztoczył
I xiężyca blask zamroczył!

Wy, których drogie wspomnienie
Ducha mego skarb jedyny,

(*) Pisano w 1829 r.

Ucieszcie się święte cienie!
Ległych tu w imie rodziny,
Jak się cieszy zemstą miłą
Prawnuk nad waszą mogiłą....

Na północy wciąż to ciemniej,
Rzedną gwiazdy na zachodzie,
A dokoła, jako we mnie,
Chmurno, tęskno znów w przyrodzie,
Szumniej wzbiera Dniestr raz poraz,
Myśli, sercu rzewniej coraz.

I wionęło od Podola,
Xiężyc zaszedł do obłoku;
Żegnam was góry i pola,
Lube sercu, miłe oku,
Na których jedno wejrzenie
Toczy się łza i westchnienie!

## NA PRZYLOT BOCIANA.

Witaj mi gościu z nilskiej krainy!
Gdy nasza wiosna wybłyśnie,
Ty wracasz gniazdu twojej rodziny,
Z pod milszych niebios umyślnie.

Ciebie nie znęci błonie Iraku,
Ni żerne bagno w Giłanie,
Ciągniesz na północ, wędrowny ptaku,
Chlubo mej lipy i panie!

Tu gdzie rozrosła pięknym nieładem,
W majowym stroi się wianku,
Tu bądź mi gościem, stróżem, sąsiadem,
Ojczystej ziemi kochanku!

A jak rozległy, jak kraj ten długi,
Na cztery strony, szeroko,
Zabierz w swe państwo rozlewia, smugi,
Jak sięgnie skrzydło i oko.

Niech cię nie trwożą te liczne sioła,
Lubą im będziesz pociechą;
Tu przed pogonią orła, sokoła,
Pod ich ukryjesz się strzechą.

Bo gdzie cię zdradzą, biada tej ziemi,
U nas nikt ciebie nie skłóci,
Ani twych dziatek;— odleć tam z niemi,
Powróć gdy wiosna powróci.

Pięknież bo wówczas witać go wzrokiem,
Gdy śledząc gniazdo z pod siebie
Toczy się kołem czarném, szerokiém,
Po siniejącém tak niebie.

Aż jak gość zeszły z powietrznych światów,
Po nad te zdroje szumiące,
Brnie z takim wdziękiem wśród toni kwiatów,
Pysznie wezbranych na łące.

To znów mię chyższym lotem omija,
Z karmią dla piskląt gdy żenie;
Dziobem ujęta, patrz, jak ta zmija
W złote go wiąże pierścienie.

Lub jak tam, między nieba i ziemi,
W swym domku z dziatwą się pieści,
Chodzi, klekoce, i po nad niemi
Rozwartém skrzydłem szeleści....

A patrz jak patrzę, a czuj jak czuję,
I śmiać się nie będziesz ze mnie,
Lecz go polubisz, jak ja lubuję,
Z nim się podrużysz wzajemnie.

Błogosław Panie temu domowi,
Jego uchronie i doli,
Co dlań gościny swej nie odmówi,
Drzewa na gniazdo pozwoli.

Ja nie odmówię, o na me życie,
Żadną nie dotknę cię stratą;
Po burzach wiosny, twoje przybycie
Wróżyż szczęśliwsze mnie lato!...

Niebaczny, cierpiąc za własnym progiem,
Do swej nie wraca uchrony,
Próżny, co tęskni za twym nałogiem,
Wędrówkę wznawia szalony.

Wierzcie, bom latał i lepsze chwile
Trwonił, marnował po świecie,
Gdziem tyle zyskał.... a błądził tyle!
Przez ostrych losów zamiecie.

Dziś, wspomnią tylko ich snuję wątek,
Na cudze patrząc igrzyska,
Pielgrzym u kresu świętych pamiątek,
U mych pra-ojców ogniska.

Tu, albo nigdzie; po zysk lub szkody,
Odtąd za morza i lądy,
Nigdy i nigdzie z mojej zagrody,
Po żadne skarby Golkondy.

A gdy najdroższa gościa i pani
Uświęci sobą ten kątek,
Może tu zacznę, przy niej i dla niej,
Przyszłości milszej początek!

Siebie i wszystko jej na ofiarę,
Miłość i wiarę z nadzieją.
Gdy źle poczętą dni moich czarę,
Lepsze następnie doleją.

O wówczas błogo, szczęśliwie, jedni
Roskosz najsłodszą z jej grona,
Kropla za kroplą aż do pośledniej
Wypijem z serca i łona....

Wówczas, tak wówczas... potém, a potém,
Przez lata, z sobą jedynie,
Czas liczyć będziem za twym powrótem,
Swojej i twojej rodzinie.

Gdy zagrzmi Niebo, gdy los zawarczy,
Niech męztwo miłość ożywi,
A gdy z nas każdy wzajem wystarczy,
Dość jeszcze będziem szczęśliwi.

Szczęśliwi!—gdybymż to widmo zhasał,
Tą gwiazdą olśnił się rajską,
Tu się od *reszty* wnetbym opasał
Potrójną ścianą Kitajską.

Bo kto w omylne gonił rozdroże,
Kto wspomni jego narzeka,
Wie, że choć gorzko, bezpieczniej może,
Z ludźmi od ludzi z daleka.

Przed tłuszczą, lada cacku przedajną,
Przed zimną jaśnią tych Panów,
Tu, gdzie mię obiegł niwą rodzajną,
W cichém ustroniu *Stefanow*.

Tu żyć, a z czasem i dni zakończyć,
Kędym je począł tak mile!
Ztąd odejść, tylko by się połączyć
W jednej z ojcami mogile....

A więc, o ptaku, bądźmy tu razem,
Jakkolwiek *pobyt* niedługi;
Z wiosny do wiosny, milszym obrazem
Strojącej dla nas te smugi.

Aż do ostatniej, gdy twe podróże
Przebywszy zdrowo i cało,
Spójrzysz i poznasz, przeczuciem może,
Kogo w tym domu nie stało....

# PIÉRWSZE NIEMOWLE.

Zbliż się tu, droga! skróć oddech na chwilę,
Patrz, jak śpi cicho, jaki pokój lica....
Oh patrz, to uśmiech ożywił ją mile,
Mdławy, niepewny, jak promień xiężyca.

Matko, ty marzysz, milcząca, natchniona....
Nie twójże uśmiech z jej ustek zaświecił,
Czy święty Anioł ten promień rozniecił,
Tchnął pierwszym blaskiem doli do jej łona?

Jakże zachwyca... tyleż szczęścia razem
Spłynęło na mnie z tym jednym uśmiechem!
A tak mnie błogo, lubo z tym obrazem,
Że drżę go zmącić słówkiem, pół-oddechem.

Zwieszony marzę... lekka myśl przelata
Od tej kolebki całą przyszłość twoją,
Drogie niemowle! i wieńce ci splata
Z marzeń najświeższych, co jej światy roją.

Widzę cię dla mnie najmilszą nadzieją,
O dni twych zorzy, w tém dniejącém życiu,
Nim mgnienia uciech pędzone koleją,
Z pączka twej wiosny dadzą kwiat w rozwiciu.

Gdybymż, o gdybymż w tej wiosny godzinie,
Ujrzał twe barwy, mój najdroższy kwiecie!
A gdy i słońce doli na cię spłynie,
Toć chlubny, dumny, najszczęśliwszy w świecie.

Stanę ci wsparciem, obroną i stróżą,
Czujny przewodnik w drodze życia twojej,
Sobą cię samym osłonię przed burzą,
Omyję łzami, miłością napoję.

Tak dalej, dalej... w różnej losu dobie,
Aż z sił opadły, w ostatnim zawodzie,
Wzajem się wesprę w mój wieczor na tobie,
Bezpiecznie, czule, na dni mych zachodzie.

Za to, jak dzisiaj, z błogiém rozrzewnieniem
Patrzę natchniony w twe maleńkie łoże,
Starzec naówczas z ostatniém westchnieniem,
Błogosławieństwa dłoń na cię położę.

Drogie niemowle, będęż o cię trwożyć,
Zgadnęż, twym losom jaka gwiazda świeci?
Co jeśli.... bodaj nie przeżyć, nie dożyć
Chwili, gdy Anioł twej stróży odleci....

*1839 r.*

# UROK NOCY.

Ciemniej i ciszej na dworze....
Jak mnie lubo o tym zmroku!
Dzień odleciał, jasne zorze
W krwawym zagasły potoku.
Toż świat duchów? we śnie ziemian,
Gdy na dziwną podróż wstają;
Uczta roślin, co naprzemian
Wonią kwiatów rozmawiają.
Nad niemi gwiazd miliony,
Brylantowe oczka mrużą,
I ten xiężyc zamyślony,
Co ich wdzięków chodzi stróżą.
Tak cicho, błogo w tym gaju,
Gdy mu zajaśniesz z oblicza,
O powonna nocy Maju;
O nocy piękna, dziewicza!

Patrz: to jezioro jak dziecię,
W zielonej urnie gdy uśnie,
Sen bez oddechu! o świcie
Niech powiew w czoło go muśnie,
Ocknie się, zmarszczy swe lice,
Gwarem obudzi te knieje,
Spójrzy na zorzę — dziewicę,
I łzami fali zaleje...
Owdzie z dolin, mgły nad rzeką
Ciągną, stanęły — a potém
Czołem dąbrowy się wleką,
I w górach legły namiotem;
Kędy z ciemni ich wygarbów
Błyska dwa, trzy — razy kilka....
Czy tam duchy strzegą skarbów,
Czy to głodne oczy wilka?
Znówże urok? w głąb po łące,
Niby szepce, jęczy, miga,
To jak gwiazdy spadające,
Wciąż, tu, ówdzie hasa, śmiga;
Cyt! jak szemrze, skomle, grucha,
Woła, nóci... jakież nóty!
W imie Ojca, Syna, Ducha!
Po co stoję jak przykuty;
Zle, uchodźmy. — Patrz chorowod,
Co za lica, włos jak heban...
Ha uciekłem! ot i dowod,
Niechże mnie teraz xiądz Pleban....
Znów? to słowik — głośniej, głośniej,
I w tysiąc się nót rozleje;

I wdzięczniej, czulej, radośniej,
Brzmieniem zalewa tę knieję...
Przemknął się wietrzyk wzdłuż po niej,
Brzask na wschodzie, dzionek, dzionek!
Słyszysz tę piosnkę? to dzwoni
Tam, w oknie zorzy skowronek,
Również piérwszy ze stworzenia,
Wielbił Twórcę wśród rozgłosu,
W dzień urodzin przyrodzenia,
Ze ćmy łona i chaosu.
Ileż było o tym świecie
Cudu, dziwu, w tej godzinie,
Gdy dziś jeszcze takie życie,
Tyle cudu, dziwu ninie!
Co gdy błyśnie w słońca wianku,
Zalśni w kwiatach perła — rosa,
Gdy się budzą o poranku,
Morza, ziemie i Niebiosa.

# WYCIECZKA W GÓRY.

DO H. G.

Przez fale kwiatów, drzew ciemnie,
Żwawiej tym gajem, doliną;
Uczuciem wyższa ode mnie,
Jak ja bądź silna Halino.

Masz wolę, zbierz moc z uporem,
Brnąć z jarów w jary, z gór w góry,
Skał leżą, krzewin taborem,
Aż tam na czoło tej chmury.

Dójrzysz tych śnieżyn bieliznę?
Nieb z ziemią granic to straże;
Śpiesz, tam wskróś twoją ojczyznę,
Wkrąg ci pół świata pokażę.

Ztamtąd na dłoni, jak gdyby
Natchniona, dzielna, namiętna,
Zliczysz gór szatry, morz szyby,
Jak błahe szmaty i piętna.

Głową na krawędź chmur wspartą,
Ziemię w otchłani powitasz,
A świat jak xięgę otwartą
Z końca do końca przeczytasz.

Jako z ostoi, tą dobą,
W bezmierną przestrzeń wzrok spławim,
Wyżsi, w przepaściach pod sobą
Losy i ludzi zostawim.

I będziesz wolna, niekorna,
Patrz, jak ów orzeł tam wzbity,
Jak owa sarna nagórna,
Co te przesadza granity

Ha, więc wciąż rzezwiej i chyżej,
Choć podróż znojna, daleka,
Lecz co krok niebo nam bliżej,
Co krok, to padoł ucieka.

Trwożysz?—to obłok nas w okoł
Bławym się żaglem prześliznął;
Drżysz?—to nie zbójca, to sokoł
Uderzył skrzydłem i gwiznął.

To ślad mój kamień osunął,
Co nim sam zginął, tymczasem
Tłum braci przed się w głąb runął,
Waśniąc tym echo hałasem.

To zdroj żwir orze przymusem,
Niżej tam w rzekę się zwija,
Aż zwalon śnieżnym obrusem
W prysk się brylantów rozbija.

Oh nie patrz, nie trwoń tam oka...
Tu śród tych zwałów, usterków,
Nie wyżej jak ta opoka,
Nie głębiej czoła tych świerków.

Spocznij, bo stromiej już coraz
Piętrzy się, jeży ta skała;
Ty, widzę, stajesz raz poraz,
Sercem czy duszą nieśmiała.

Mamże źle wróżyć z tych znaków,
Chceszże już wrócić bez plonu,
Po lżejszy tryumf z pustaków,
Twego tam jeńców salonu.

Oh czyż żywiołów te swary,
To dzikie jawisk oblicze,
Nie milsze nad ich tam gwary,
Nad błahe z małp tych zdobycze.

Cóż, że cię pisk ich zagłuszy,
Uwieńczą dymy kadzideł,
Gdy strwonisz skarby swej duszy,
Dla cię niegodnych pieścideł.

Dumnaś, tak idźmy wciąż wyżej,
Aż na tę skałę potężną,
Tu, tu lżej, śmielej, a chyżej,
Daj rękę, stąpaj, bądź mężną.

Niech męska wola cię dźwignie,
Odwagą serce uzbroi,
Niech, gdy ta słabnąc ostygnie,
Wesprze ciekawość płci twojej.

Czujesz? jak coraz to letsze,
Co krok swobodniej rozwarte,
To górnych światów powietrze
Rzezwe, chmur cieżą nie parte.

Chciwiej go chwytaj w twe łono,
Im lżej cię coraz uciska,
Idź baczniej, wolniej, tą stroną,
Na te ostatnie urwiska.

Tam w górę—przestrzeń już pusta,
W dół—otchłań czarna, straszliwa...
Bledniesz... sinieją twe usta,
Żywiej pierś robi lękliwa.

Wesprzyj twą kibić na skałę,
Bo cię wsparć nie śmiem, nie mogę;
Nim tę uprzątnę zawałę,
Zbierz sił i męztwa na drogę.

Gdy na te zdążym wygarby,
Co zda się z nieba już świecą,
Zdobędziem wieczne tam skarby,
Po nad dwóch światów granicą.

Gdy cię nie cofnie ich dziwo,
Pod ich nie padniesz ciężarem,
O w całém życiu szczęśliwą
Będziesz tych wspomnień obdarem.

Cherub świat lepszy rozłoni,
Do raju swego da klucze,
W strony twych natchnień zadzwoni,
Ja cię dlań hymnu nauczę.

A wieniec z gwiazd ich uwity,
Na dumne wdzieniesz gdy skronie,
Duch twój nowemi zaszczyty,
Twarz nowym wdziękiem zapłonie.

Toż nim ci w obec zabłyśnie
Ów obraz, wprzód go nazowiem;
Przyjm zimnym duchem umyślnie,
Uzbroj się widzieć, co powiem:

Choć tu już ciemną błękity,
Słońce posępniej wciąż świeci,
Lecz gdy te depcąc granity,
Najdalsze matki swej dzieci.

Spójrzysz w rospaczy ku niebu,
Niebo wprzód strojne szafirem,
Jak kościoł we dni pogrzebu
Czarnym zasnuje się kirem.

Będziesz gotowa zaprzysiądz,
Że świat się kończy tą nocą,
Gdy ujrzysz krwawych plam tysiąc,
Jak na tym kirze migocą.

I krwawą kulę bez blasku,
Tak bezpromienną, rażącą...
Plamy, to gwiazdy bez brzasku,
A krwawa kula, to słońce.

Krzykniesz z podziwu, bojaźni,
Krzyki się z dźwiękiem nie sparzą,
Gdzie echo głosu nie drażni,
Śpią burze, gromy nie gwarzą,

Ożyjesz cała we wzroku,
W wzburzonej myśli i duchu,
Co wytężone w twém oku
Dójrzą w okropni tej ruchu.

Krążących światów tą ciszą,
Przelot Aniołów wdłuż po niej,
I zachwycone usłyszą
Brzmienie astralnych harmonij...

I dojrzą nad to, co śmiałém
Słowem nikt dotąd nie ścieśnił,
Nie dosiągł myśli wystrzałem,
W natchnieniu ziemném nieześnił.

Tam więc, lub nigdzie pospołu,
Idź ze mną śmielej i chyżej,
Wyżej a dalej z padołu,
Ku Niebu bliżej a bliżej.

KONIEC TOMU 2GO I OSTATNIEGO.

# SPIS RZECZY

W DRUGIM TOMIE ZAWARTYCH.

*Stronica*

## Sonety.

I. Do Boga . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 7
II. Cecora . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 8
III. Kijow . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 9
IV. Odessa . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 10
V. Kawiarnia . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 11
VI. Kamieniec Podolski . . . . . . . . . . . . . . . . 12
VII. Bendery . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 13
VIII. Chocim . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 14
IX. Pobereże . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 15
X. Smoleńsk . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 16
XI. Napoleon . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 17
XII. Wspomnienia . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 18
XIII—XVIII. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 19—24
XIX. On, Ja . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 25
XX. W Album Xiężny Z. K. . . . . . . . . . . . . 26
XXI. Powrót Żołnierza . . . . . . . . . . . . . . . . 27
XXII. Sąd Ostateczny . . . . . . . . . . . . . . . . 28
XXIII. Upadek . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 29
XXIV. Do Płci Pięknej . . . . . . . . . . . . . . . . 30
XXV. Obudzenie się . . . . . . . . . . . . . . . . . . 31
XXVI. Do G. D. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 32

XXVII. Żądze . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 33
XXVIII. Pycha . . . . . . . . . . . . . . . . . . 34
XXIX. Nadzieja . . . . . . . . . . . . . . . . . . 35
XXX. Omamienia . . . . . . . . . . . . . . . . . 36
XXXI. Poeta . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 37
XXXII. Do...... . . . . . . . . . . . . . . . . . 38
XXXIII. Samobójca . . . . . . . . . . . . . . . 39
XXXIV. Fantazja . . . . . . . . . . . . . . . . 41
XXXV. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 42
XXXVI. Uczta przerwana . . . . . . . . . . . . 43
XXXVII. Do Przyjaciół . . . . . . . . . . . . . 44
XXXVIII. Co lubię? . . . . . . . . . . . . . . . 45
XXXIX. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 46
XL. Tak? nie tak? . . . . . . . . . . . . . . . 47
XLI. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 48
XLII. Kobieta . . . . . . . . . . . . . . . . . . 49
XLIII. Biesiadnicy . . . . . . . . . . . . . . . 50
XLIV. Do F. S. . . . . . . . . . . . . . . . . . 51
XLV. Dżuma . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 52
XLVI. Do ochoczych . . . . . . . . . . . . . . . 53
XLVII. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 54
XLVIII. Szara godzina . . . . . . . . . . . . . 55
XLIX. Wychowanie . . . . . . . . . . . . . . . . 56
L. Do...... . . . . . . . . . . . . . . . . . . 57
LI. Do G. D. . . . . . . . . . . . . . . . . . . 58
LII. Do... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 59
LIII. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 60
LIV. Fenix . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 61
LV. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 62
LVI. Do.... . . . . . . . . . . . . . . . . . . 63
LVII. Pierwszy dzień . . . . . . . . . . . . . . 64
LVIII. Epilog . . . . . . . . . . . . . . . . . 65

## Drobnostki.

I—CXLV. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 69—111

## Wiersze różne.

Obrazy . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 115
Losy Babilonu . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 123
Entuziasta . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 128
Tajemnicza . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 130
Marzenia . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 132
Do Album A. S. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 136
Samotność . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 138
Z Georgik Wirgiliusza . . . . . . . . . . . . . . . . . 141
Przypisanie, do Mecenasa . . . . . . . . . . . . . . . 144
Do Sestiusza . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 146
Akteon . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 148
Facton . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 152
W Imionniku J. A. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 163
Triolety . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 165
Wspomnienie . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 168
W Imionniku R. D. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 170
Ex promptu . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 172
W Imionniku . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 174
Melancholik . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 176
Do trzynastu . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 179
W Imionniku . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 187
Do Boga . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 188
W Imionniku . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 189
Do A. M. . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 191
Obraz wojskowego szpitalu . . . . . . . . . . . . . . . 193
Dwa urywki z powieści Wygnańca . . . . . . . . . . . . 195
Do Niej . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 205
Eden, śpiew Fakira . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 208
Dziesięć Przykazań . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 212
Do Haliny . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 215
Greczynka . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 218
Widzenie . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 221
Do odmawiającej prośbie o niezabądź . . . . . . . . . . 226
Do..... . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 234

Dumania w Chocimie . . . . . . . . . . . . . . . . . . 248
Na przylot Bociana . . . . . . . . . . . . . . . . . . 253
Pierwsze niemowle . . . . . . . . . . . . . . . . . . 258
Urok nocy . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 260
Wycieczka w góry . . . . . . . . . . . . . . . . . . 263
Owidiopol . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . . 237
Spowiedź Poety . . . . . . . . . . . - . . . . . . . . 240